

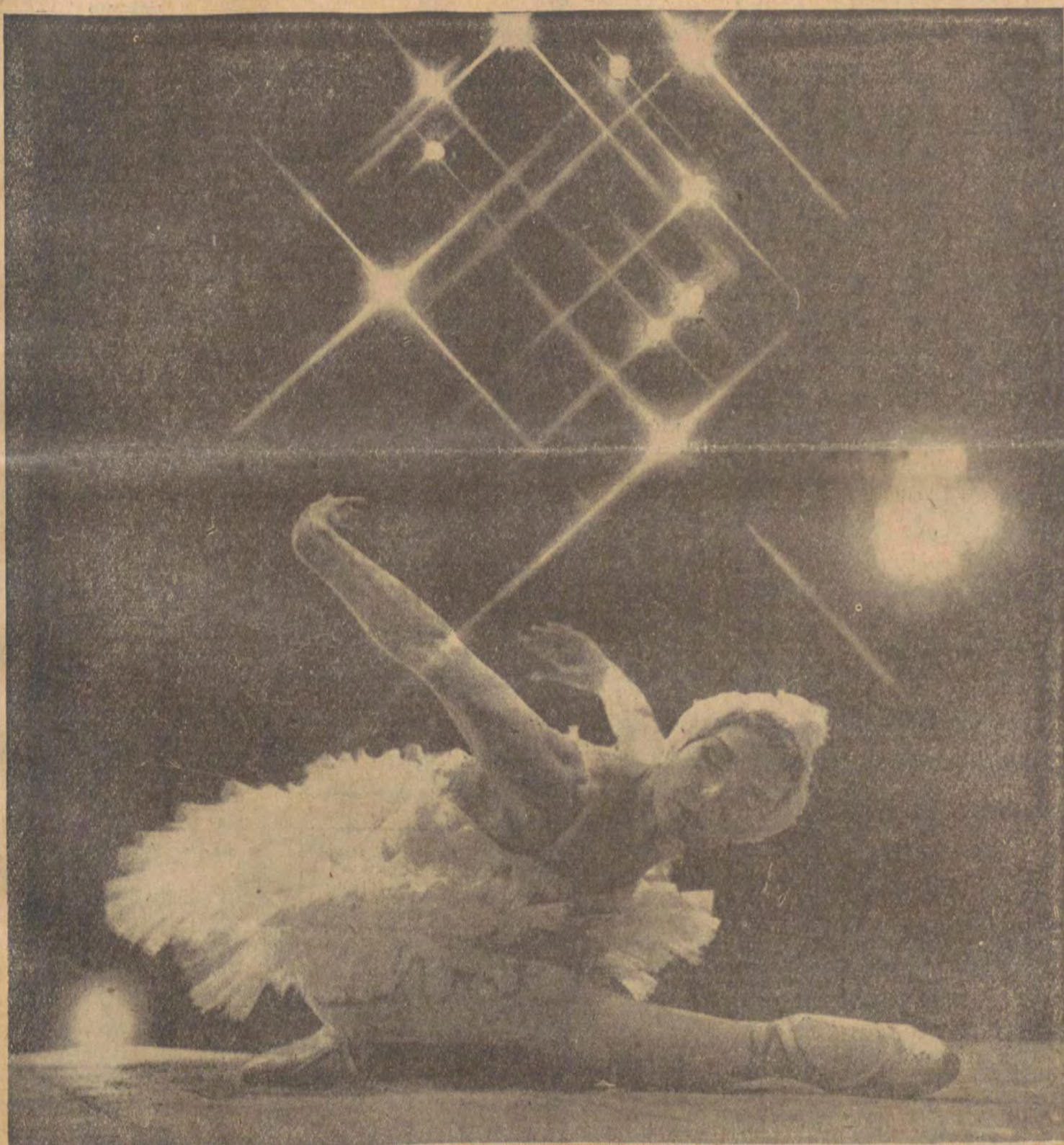
Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku
— swoim Czytelnikom życzy REDAKCJA



51-52 (465-466)
24-31. XII 1967 r.
28 stron
Cena 2 zł

odgłosy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Znowu więc święta spadają na nas śniegiem i obżarstwem. W naszych domach i na placach wielkich miast zapłoną choinki i przy suto zastawionych stołach będziemy sobie koledować w gronie najbliższych, a także przyjaciół i znajomych.

Cheśmy Wam towarzyszyć w tych dniach błękitnego i zasłużonego lenistwa. Jak towarzyszyliśmy Wam w poprzednich 51 tygodniach roku. Jeśli zdobyliśmy choć odrobinę Waszej sympatii, jeśli lubicie zerknąć od czasu do czasu na nasze łamy, aby zobaczyć co tam, panie, nowego w kulturze albo w polityce, towarzysztwo nasze nie będzie chyba zbyt kłopotliwe.

A więc święta. I znów minął rok. Ten rok, który właściwie już mamy za sobą, choć dopiero za kilka dni powitamy Nowy Rok na balach i przy telewizorach, albo w jakiejś kinowej sali, ten stary rok inaczej zapisał się w pamięci każdego z nas, choć żyjemy na tym sa-

mym świecie, w tych samych czasach, w tym samym kraju. Dla jednych był to rok realizowania wielkich planów, inni, przeciwnie, czekali przez cały ten czas, aby dopiero teraz rozpocząć urzędowanie swoich marzeń, jeszcze inni będą dalej czekać: na dyplom, aż dzieci podrosną, na nowe, nareszcie odpowiednie mieszkanie. Ale chociaż los każdego z nas jest jednostkowy, chociaż każdy z nas ma swoje małe i wielkie sprawy, wiele spraw przeżywamy wspólnie; przeżywamy je jednakowo właśnie dlatego, że należymy do tego samego narodu, że jednakowo doświadczaliśmy je w przeszłości, że wreszcie z ogólnoludzkiego punktu widzenia nie możemy pozostać obojętni.

Dlatego na przykład przeżywamy tragedię Wietnamczyków, jak swoją osobistą tragedię, i dlatego gniewa nas i oburza każdy akt barbarzyństwa nad Morzem Śródziemnym.

To było o polityce. A jak ten stary rok

zapisał się w naszej kulturze? Czy za największe wydarzenie kulturalne uznać zagraniczne sukcesy Dejanka, czy może to, że Teatr Wielki w naszym mieście nadal oblegany jest przez entuzjastów opery? Czy za takie wydarzenie uznać napisanie nowej książki przez wybitnego autora X, czy może fakt, że obywatel Y przeczytał książkę, która go bez reszty wzruszyła, bo odnalazł siebie?

Wiele ten stary rok przyniósł propozycji. Ale która z nich jest największa? I jeśli nawet nie zdobędziemy się na wybór, nie będzie wielkiego nieszczęścia, skoro wszyscy zgadzamy się, że dla nas nie był to rok najgorszy.

Niechże nam będzie jednak wolno wtrącić tutaj także swoje trzy grosze. Z okazji Świąt i Nowego Roku, już 1968, chcemy się przyłączyć do powinszowań Waszych najbliższych i życzyć Wam, Drodzy Czytelnicy, wszystkiego, co najlepsze.

„ODGŁOSY”

Hobby pana Drzazgi

Cudzoziemcy o Polsce

Święta na wsi

Kanał naszych nadziei

Rozmowy o ŁKS-ie

Dramat z wyższych sfer

Alchemik Władysława Jagiełły

Wywiady z Antczakiem,
Piechalem i Cwiekiem

Cztery choinki

Nasz Czytelnik
— nasz pan

Raport dotyczący
reakcji

Łowca chrząszczy

Kuprin i Brandes

FILM 1967

Życzenia
naszym teatrom

KONKURS
Czy znasz łódzkie
pałacyki?

Felietony, recenzje itp.

1967

STYCZEŃ

■ KC Komunistycznej Partii Chin i Rada Państwa ChRL zatwierdziły dyktando Mao Tse-tunga, dotyczące użycia regularnych jednostek wojskowych w rewolucji kulturalnej.

■ W Moskwie, Waszyngtonie, Londynie podpisano traktat o pokojowym wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej.

■ 1,8 miliona Japończyków czeka na założenie telefonów. W Japonii jeden telefon przypada na dziesięć osób.

■ „Rinascita” (organ Wł.P.K.) o sytuacji w ZSRR: „Za reformami ekonomicznymi postępuje obecnie proces demokratyzacji kraju”.

Uczony nie jest estowilem, który dostarcza prawdziwych odpowiedzi. Jest tym, który stawia prawdziwe pytania.

LEVI STRAUSS

■ Trzej kosmonauci amerykańscy — Virgil, E. White i R. Chaffel spadli się w wypchniętym statku kosmicznym na Przylądek Kennedy'ego.

■ W Bonn przebywał minister spraw zagranicznych Rumunii. Osiągnięto porozumienie o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych NRF — Rumunia.

■ Premier H. Wilson konferował z prezydentem de Gaulle'em sondując możliwości przystąpienia Wielkiej Brytanii do EWG. „W bieżącym roku? W przyszłym? Kiedyś? Nigdy? — Los nasz pozostaje niejasny” — pisał londyński „Daily Telegraph”.



Ateny, 1967 r.

■ Kościół we Francji odczuwa brak księży. Na początku bieżącego stulecia i ksiądz przypadał na 793 mieszkańców, obecnie na 1.220.

LUTY

■ W Chinach odbywa się przejmowanie władzy przez „rewolucyjnych buntowników” od lokalnych komitetów partyjnych i rad wiejskich.

■ Tygodnik francuski „L'Express” zamieścił informację o korespondentach J. Steinbecka z Wietnamu. Pismo kończy ją słowami: „Każda wojna podlega za sobą ofiarę. Dla tych, którzy byli niegdyś jego czytelnikami, John Steinbeck umarł w Wietnamie”.

■ Z Indii napływają alarmujące wiadomości o pogarszającej się sytuacji żywnościowej w związku z niepomysłnymi zbiorami.

■ W Moskwie, Leningradzie, Władywostoku i innych miastach Związku Radzieckiego odbyły się wielkie protesty przeciwko prowokacyjnemu wystąpieniu hunwejbiniów wobec ZSRR.

■ W Madrycie odnaleziono dwa zagubione rękopisy Leonarda da Vinci, które wzbogacią o 700 stron znane prace włoskiego malarza.

■ Z okazji 49 rocznicy powstania Armii Radzieckiej gen. Kuroczkin oświadczył, iż żaden punkt na globie ziemskim nie znajduje się poza zasięgiem radzieckich pocisków.

■ Liczba żołnierzy amerykańskich w Wietnamie osiągnęła 410 tysięcy.

Mecz między człowiekiem ważącym 70 kg a pociągami tej samej wagi jest, bez wątpienia, jednym z najgłupszych wynalazków naszych czasów.

PIERRE MACORLAN

MARZEC

■ Prezydent Indonezji — Sukarno przekazał władzę prezydencką gen. Suharto.

■ We Francji wybory prezydenckie. Gaullist uzyskał większość załóżmy dwoma głosami. Wielki sukces odniosły partie lewicowe, zwłaszcza komunisty.

■ W Pekinie ukazały się ulotki oskarżające przywódcę KRLD Kim Ir Sena o to, że stoi na czele „kibic rewizjonistycznej”.

■ W roku ubiegłym na świecie wyprodukowano około 25 milionów samochodów. Łączna liczba samochodów na szosach świata wzrosła do 183 milionów. Największym producentem i najbardziej znany z wyprodukowanych samochodów światła są nadsłany Zjednoczone, 210 milionów Amerykanów jeździ w 100 milionach samochodów.

■ Chińskie MSZ w sprawie wojny wietnamskiej: „Uzbrojony w myśl Mao Tse-tunga, 700-milionowy naród chiński uważnie śledzi rozwój wypadków w Wietnamie”.

■ Francja zajmuje pierwsze miejsce w świecie, jeśli chodzi o konsumpcję wina. W ostatnich latach statystyczny Francuz wypijał 124 litry wina rocznie.

■ W roku 1966 zabito ogółem 312 statków, stanowiących 0,48 proc. tonażu światowego.

KWIECIEŃ

■ W Karłowicach Varach obradowała konferencja europejskich partii komunistycznych i robotniczych poświęcona sprawie bezpieczeństwa europejskiego, w której brali udział przedstawiciele 24 partii.

■ W Moskwie odbył się uroczysty pogrzeb tragicznie zmarłego kosmonauty Władimira Komarowa. Prochy bohatera spoczęły w kolumnie Muru Kremleskiego.

■ W depeszy z Wamawy agencja Sinhua opublikowała artykuł pt. „Polski lud rewolucyjny głęboko kocha przewodniczącego Mao”.

■ Stany Zjednoczone wzmożyły bombardowania DRW. Stata eskalacja wojny w Wietnamie — pisał „Journal of Commerce” — stabilizuje interesy i pomaga w zahamowaniu tendencji spadkowych w gospodarce, zapoczątkowanych w ubiegłym roku.

Nie mogę już patrzeć na spódnice, wychodzą mi gardłem.

BRIGITTE BARDOT

■ Zmarł Konrad Adenauer.

■ W Grecji reakcyjne siły wojskowe dokonały faszystowskiego zamachu stanu. Władzę objęła junta.

■ Belgradzka „Borba” w artykule na temat opuszczenia Związku Radzieckiego przez córkę Stalina pisze, że w Waszyngtonie postanowiono wykorzystać przybycie Światłany do USA dla celów propagandowych i politycznych.

■ W ankiecie na najpopularniejszych aktorów w konkurencji żeńskiej zwyciężyli: Michelle Morgan, Sophia Loren, Jeanne Moreau, Brigitte Bardot znalazła się dopiero na ósmym miejscu. Wśród panów pierwsze miejsce zajął aktor ekranu Jean Gabin.

MAJ

■ W Sztokholmie rozpoczęła się sesja międzynarodowego trybunału badającego zbrodnie wojenne w Wietnamie. Inicjator trybunału lord Russell przysłał przemówienie inauguracyjne, w którym oświadczył, że „świat odstąpił z powodu bezczelnej brutalności” rządu USA.

■ Na Kubie trwa kampania walki z biurokracją. Do końca kwietnia w samej Hawanie zredukowano 20 tysięcy pracowników administracyjnych.

■ „Hongul”: Rozpoczęty i kierowany przez wielkiego przywódcę, przewodniczącego Mao Tse-tunga rewolucyjny ruch proletariacki, który przebiega obecnie w Chinach, jest rozgłoszany i bardziej niż w innych państwach i Rewolucja Październikowa”.

■ Władze syryjskie udaremniły spisek antyrządowy.



— Teraz to rzeczywiście wygląda na strefę zdemilitaryzowaną... (Sun)

■ Burmistrz Rzymu w prywatnym liście do włoskiego ministra skarbu zwrócił się o natychmiastową pomoc finansową, w przeciwnym bowiem razie zarząd miejski Rzymu zbankrutuje i będzie musiał zawiesić swoje czynności po raz pierwszy w historii Wiecznego Miasta.

Mówi się, że młodzi nie mają doświadczenia. Oni go nabierają mając władzę. Gdyby nie było prawej ręki, nie widzieliśmy by, że istnieje lewa.

MAO TSE-TUNG

■ U Thant: „Jesteśmy świadkami wstępnego stadium trzeciej wojny światowej. Jeśli obecny kierunek wydarzeń utrzyma się nadal, w moim głębokim przekonaniu, bezpośrednia konfrontacja najpóźniej między Waszyngtonem a Pekinem, a następnie między Waszyngtonem a Sojusznikami Chin — jest nieunikniona”.

■ Ekspansjonistyczne kółka Izraela wzmagały naciski na Bliskim Wschodzie. W kółach obserwatorów politycznych mówi się o planach Tel Awiwu

obalenia postępowych rządów w Damasku i Kairze.

CZERWIEC

■ Naczelnik dowództwa sił zbrojnych ZRA informuje 5 czerwca, że o godzinie 7.00 Izrael zaatakował ZRA, bombardując lotniska na terenie całego państwa. Zjednoczona Republika Arabska powiadomiła Radę Bezpieczeństwa, że kraj padł ofiarą podłej i perfidnej agresji Izraela.

■ Z inicjatywy Związku Radzieckiego zbiera się w Nowym Jorku Sesja Nadzwyczajna ONZ w sprawie napaści Izraela na kraje arabskie.

■ Kraje socjalistyczne zdecydowanie potępiły agresję Izraela na kraje arabskie, zrywając z Tel Awiwem stosunki dyplomatyczne.

■ W miejscowości Glassboro, na trasie Nowy Jork — Waszyngton, na



NATO 1967

(Die Presse)

stało spotkanie premiera ZSRR — A. Kossygina i prezydenta Johnsona.

■ „Sinhua”: „W chwili, kiedy rozlega się pieśń o decydującym zwycięstwie wielkiej rewolucji kulturalnej w naszym kraju, komunikujemy uroczyste narodowe ogłoszenia i całemu światu... 17 czerwca 1967 roku po pięciu eksperymentach nuklearnych dokonanych w ciągu 2 lat i 2 miesięcy Chiny z sukcesem dokonały eksplozji swojej pierwszej bomby wodowej w zachodnich rejonach kraju”.

Rządzenie nie polega na czytaniu przeszłości, lub szukaniu łatwej populizmu.

HAROLD WILSON

■ Zadłużenie państw Trzeciego Świata wzrosło z 10 miliardów dolarów w 1955 roku do 40 miliardów w 1966 roku, natomiast udział tych państw w eksporcie systematycznie spada.

■ Najdłuższą granicą na świecie jest granica chińsko-radziecka. Liczy ona 8 tysięcy kilometrów.

LIPIEC

■ Marszałek Tito: „Agresja Izraela przeciw krajom arabskim i wydarzenia, jakie ją poprzedziły, są częścią składową szeroko zakrojonego planu likwidacji postępowych rządów krajów niezadowolonych i słabo rozwiniętych”.

■ Izrael odrzucił uchwałę ONZ o odwołaniu się do Zgromadzenia Ogólnego ONZ w sprawie cofnięcia bezprawnych decyzji o aneksji okupowanej jerozolimskiej części Jerozolimy.

■ W amerykańskim mieście Newark wybuchły rozruchy ludności murzyńskiej.

■ W Budapeszcie odbyła się nara-



da przywódców partii komunistycznych oraz szefów rządów krajów socjalistycznych. W naradzie nie wzięli udziału przywódcy Rumunii.

■ Hamburski tygodnik „Die Zeit” w artykule „Berlin nie jest Jerozolimą” wystąpił z krytyką prasy zachodniemieckiej za fascynację izraelskim Bliskim Wschodem i „deifikacją” Mosze Dayana.

■ Brytyjska Izba Gmin przegłosowała ustawę o homoseksualizmie. W myśl nowych przepisów homoseksualizm nie będzie karany, jeśli uprawiany jest przez osoby dorosłe i nie publicznie. Ustawa dotyczy tylko mężczyzn.

■ Czou En-laj: „W wypadku wkroczenia na terytorium chiński, ani jeden żołnierz amerykański nie wyjdzie z Chin żywy. Prezydent Stanów Zjednoczonych stoi obecnie przed alternatywą, albo zaryzykować rozszerzenie wojny, albo uznać niebezpieczeństwo ryzyka i cofnąć się. Jeżeli Stany Zjednoczone zaczną wojnę przeciw Chinom, jesteśmy gotowi walczyć w pojedynkę i nigdy nie zwrócimy się do Związku Radzieckiego, by przyłączył się do nas w tej wojnie”.



Po wizycie de Gaulle'a w Kanadzie

SIERPIEŃ

■ Związek Radziecki zapowiedział wszechstronny program rozwoju ekonomicznego na swych obszarach Daleko-wschodnich.

■ Z każdym rokiem zwiększa się liczba analfabetów na świecie. Obecnie miliard ludzi, głównie w krajach zacofanych, nie umie czytać ani pisać.

■ Lotnictwo amerykańskie posunęło się o krok dalej w eskalacji agresji na Wietnam Północny, bombardując obiekty w Hanoi i w głębi dwudziestokilometrowego pasa wzdłuż granicy chińskiej.

■ W USA odnotowano dalszy spadek popularności prezydenta Johnsona.

■ Zakończyły się obrady plenarne Organizacji Solidarności Ameryki Łacińskiej, które toczyły się w Hawa-

■ Stany Zjednoczone przystąpiły do budowy systemu obrony antyrakietowej.

■ NRF udzieliła Izraelowi pożyczki w wysokości 100 milionów marek.

■ W Boliwii zginął plemienny rewolucjonista, legendarny bohater rewolucji kubańskiej, partyzant, mąż stanu, myśliciel — Ernesto „Che” Guevara.

■ W ZSRR ukazało się nowe wydanie „Koranu” dla ludności muzułmańskiej.

■ „Sinhua”: „Obóz imperialistyczny przypomina konającego, który szybko zmika ze świata, jak słońce kryjące się za wzgórzami zachodu”.

■ Komitet Centralny KPZR opublikował hasła w związku z jubileuszowymi obchodami 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej.

■ Spec. operacji morskiej USA stwierdził, że radziecka flota podwodna jest największa na świecie.

■ Rada Najwyższa ZSRR uchwaliła ustawę o przyznaniu 6 miliardów rubli na podwyżkę płac i rent oraz wynagrodzeń dla ludzi pracujących na Dalekiej Północy, Syberii i Dalekim Wschodzie.

LISTOPAD

■ 3 i 4 listopada w Kremlowskim Pałacu Zjazdów odbyło się z okazji 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej uroczyste wspólne posiedzenie członków KC KPZR, deputowanych do Rady Najwyższej ZSRR i do Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej. W posiedzeniu wzięli udział członkowie delegacji 95 krajów, które przybyły do Moskwy na obchody 50-lecia państwa radzieckiego.

■ 7 listopada w stolicy ZSRR, w Moskwie, odbyła się wielka parada wojskowa i manifestacja ludności Moskwy.

Bunt są językiem niewyskuczanych.

MARTIN LUTHER KING

■ Teatr Mały w Moskwie uczcił 80 rocznicę urodzin Johna Reeda, wybitnego amerykańskiego dziennikarza, kronikarza Rewolucji Październikowej, wystawieniem sztuki poświęconej jego życiu.

■ Alberto Moravia, 60-letni pisarz włoski, stanął do egzaminu maturalnego, którego brak przeszkadzał mu niejednokrotnie w otrzymywaniu stałej posady.

■ W Jugosławii w ciągu ostatniego roku 77 proc. ludności nie przeczytało ani jednej książki.

■ W okresie obchodów 50 rocznicy Rewolucji Październikowej w prasie chińskiej prowadzona była szeroka kampania antyradziecka, podczas której postępowano się niewybrednymi słowami na przeróżne zagadnienia polityki wewnętrznej i zewnętrznej Związku Radzieckiego.

„Johnson ma obecnie większą swobodę wyboru” — (Z prasy amerykańskiej)



■ Były kanclerz NRF — Erhard bawił w Izraelu. „Przyjeżdżając, jadąc do Izraelu, profesor Erhard w Izraelu — pisał „Kocznik Rundschauf” — jest nowym dowodem, jak bardzo zmienił się ostatnio stosunek Izraelczyków do Niemiec”.

GRUDZIEŃ

■ Sekretarz generalny KC KPZR — Leonid Breżniew złożył na początku 1968 roku oficjalną wizytę w ZRA.

■ Harold Wilson: „Bez porozumienia się z Europą staniemy się satelitą Ameryki — będziemy skazani na los czegoś w rodzaju kraju zacofanego”.

■ Siły amerykańskie w Wietnamie Północnym osiągnęły poziom 621 tysięcy żołnierzy.

■ J. Furcwa — minister kultury ZSRR: „Ponad 70 proc. ludności byłego imperium carskiego stanowiła analfabeci, dziś ponad 65 proc. ludności posiada wyższe, średnie i niepełne średnie wykształcenie”.

■ We Włoszech na przeszło 20 milionów kobiet, które przekroczyły 15 rok życia, 11 mln. nie czyta wcale książek.

■ W ramach „rewolucji kulturalnej” w Albanii zamkniętych zostało 2.169 kościołów, meczetów, klasztorów i innych miejsc kultu religijnego.

■ Do Moskwy przybyła delegacja partyjno-rządowa NRF z pierwszym sekretarzem SED — Walterem Ulbrichtem na czele.

■ Płaty „szczytu arabskiego” odbędzie się w Rabacie, w stolicy Maroka, dnia 17 stycznia 1968 roku.



I znów — a to już po raz czwarty na tym miejscu — proponowałbym Czytelnikom, abyśmy wspólnie zastanowili się nad mijającym rokiem w polityce międzynarodowej. Komentator chciałby postawić się w tym celu m. in. własną statystyką. Później „Ze świata” ukazała się w bieżącym roku 46 razy. Przyjmując kryteria geograficzne można stwierdzić, że: o Wietnamie pisaliśmy 16 razy, NRF — 13, Francji — 9, Bliskim Wschodem — 8, Indii, Indonezji i Kongo — po 3, Ameryce Łacińskiej i Grecji — po 2, i równocześnie 17 razy komentowaliśmy różne wizyty międzywładznych, 12 razy — stosunki Polski z innymi krajami, 11 razy pisaliśmy o ONZ i jej organach.

Nieskromnie przyjmując, że udawało się nam podejmować w komentarzach najważniejsze w danym tygodniu wydarzenia — można w ten uproszczony sposób otrzymać pewien przegląd najbardziej istotnych problemów 1967 roku. Jest to jednak obraz naprawdę uproszczony, a więc i niedoskonały. Rok tymczasem był bardziej złożony niż jakikolwiek inny. Spróbujmy więc o nim powiedzieć nie przez pryzmat liczb...

Był to rok wielkich międzynarodowych wydarzeń — 50 rocznicy Rewolucji Październikowej i narady europejskich partii komunistycznych i robotniczych w Karłowicach Varach. Pierwsze z nich pozwoliło spojrzeć wstecz — na minione półwiecze, które przyniosło pasmo zwycięstw socjalizmu, drugie — pozwoliło skonstatować, że wbrew antyjednostkowemu, rozłamowemu kursowi, uprawianemu przez Pekin, partie komunistyczne i robotnicze mają jednolity pogląd na przykład na tak zasadniczą kwestię, jak europejskie bezpieczeństwo. Od karłowickiego spotkania kieluskiego od dawna myśl zwolania światowej narady partii komunistycznych i robotniczych społeczeństwa, przybierając formę postanowienia zwolania na luty 1968 posiedzenia konsultatywnego w Budapeszcie.

Rok ten dowiódł równocześnie siły państw socjalistycznych, ich dobroczynnego wpływu na losy świata. Raz jeszcze ludzkość mogła się przekonać, komu zawdzięcza swe ocalenie od nuklearnego zniszczenia.

Był to bowiem zarazem rok dalszych napięć międzynarodowych, wywołanych już nie tylko ciągłym nasilaniem amerykańskiej interwencji w Wietnamie, lecz i izraelską agresją na kraje arabskie. I właśnie wojna w Wietnamie, impas na Bliskim Wschodzie oraz walka dwóch przeciwstawnych tendencji: odprężeniowej i zimnowojennej w Europie — ciążyły na mijającym roku.

Imperializm jednoznacznie obrał politykę wywoływania wojen lokalnych, wzniecających swoimi lub też cudzymi rękoma. Nie ryzykując totalnej konfrontacji z siłami postępu, sięgnął po metodę przenoszenia konfliktów na „peryferia”. Zdając sobie sprawę z przegranej dultowskiej koncepcji cofnięcia świata socjalistycznego — chce bronić uzurpowanych sobie praw do przewodnictwa wojnami lokalnymi, wzniecanymi tam, gdzie sądzi, że są pomyślne dla niego okoliczności. Ma to być jednocześnie strasak dla ruchów narodowo-wyzwoleńczych i sposób na podporządkowanie sobie krajów pokolonialnych.

Lekcja wietnamska uczy jednak, jak złudny i zawodny to sposób. Co bowiem osiągnęły Stany Zjednoczone w Wietnamie? Nie zwyciężając militarnie — przegrały politycznie. Tylko taka może być ocena 1967 roku na wietnamskim froncie, który przebiegał już nie tylko przez indochiński półwysep, lecz i poza nim, dzieląc sojuszników USA i wewnętrzna opinię amerykańską. Dymisja McNamary i zapowiedź ustąpienia Goldberga są zaledwie maleńkimi epizodami tej wewnętrznej walki w Stanach Zjednoczonych, która różnicuje społeczeństwo, a karty prezydentury Johnsona zapisuje najniższą popularnością, jaką kiedykolwiek miał szef amerykańskiego państwa.

Ala Johnson trwa przy swoim i — jak wydaje się — na 11 miesięcy przed wyborami prezydenckimi zdecydowany jest ubiegać się o ponowny wybór na fali wietnamskiej eskalacji. Czy do nich stanie, a więc, czy uzyska upoważnienie swojej partii i czy je wygra, jeśli tak często mówi się w USA o kryzysie zaufania do obecnej administracji, spowodowanym i wojną wietnamską i konfliktem społeczno-rasowym, którego rozmiary wykazało tegoroczne lato? Na te pytania przyniesie odpowiedź nowy rok.

Przyniesie on z pewnością także odpowiedź na pytanie, jak — w kierunku politycznych rozwiązań, czy też militarnych zaostreżeń — rozwiązać się będzie konflikt bliskowschodni. Decyzje Rady Bezpieczeństwa stworzyły podstawy do optymizmu i oczekiwań, że 1968 rok utworzy drogę pokojowemu rozstrzygnięciu problemu.

A w Europie — co przyniosł odchodzący, a czego oczekiwać należy po nadchodzącym roku? Jak już się rzekło powyżej, sytuacja w Europie charakteryzuje przede wszystkim walka dwóch przeciwstawnych tendencji — odprężeniowej, której program proklamowała konferencja w Karłowicach Varach i zimnowojennej, której rzesznikami niezmiennie pozostają USA i NRF, mimo iż często ten właśnie kurs próbuje maskować w różnorodny sposób.

Pierwsza z tendencji, forsowana przez kraje socjalistyczne, zjednuje sobie wciąż nowych zwolenników. Są nimi ruchy liberalne w Europie zachodniej, część burżuazji, a nawet — jak w przypadku Francji — niektóre rządy zachodnie. Jest to tendencja przyszości, która, głęboko chcemy to wierzyć, całkowicie wyizoluje Bonn z jego polityką nieuznawania powojennych faktów i nakreślenia mechanizmu zbrojeniowego. Zwycięstwem tej tendencji właśnie dopomaga aktywność polskiej polityki zagranicznej.

* * *

U progu nowego roku zwykliśmy pytać o jego horoskop. Sądząc, że mimo wszelkich komplikacji 1967 roku, jest on pomyślny, że sytuacja międzynarodowa ewoluować będzie w kierunku odprężeniowym.

W. SŁAWSKI

JAN HUSZCZA

MOJE AZYLE

Każdy ma jakieś swoje azyle: literackie, geograficzne, wspomnieniowe, nawykowe. Nie do wszystkich lubimy się przyznawać, np. do wspomnieniowych lub nawykowych. Mogą być kompromitujące albo, co u nas uchodzi za coś gorszego, śmieszne. Mówmy tedy o azylach literackich.

W tym wypadku nie zawsze chodzi o powroty do dzieł lub fragmentów pióra pisarzy powszechnie uznanych i czytanych. Nie chodzi o dzieła, do których raczą się przyznawać nawet nasi znani krytycy literaccy, którzy (to z rozmowy z Marianem Piechalem) konstruują swoje metody, zawężając współczesną rzeczywistość literacką do paru nazwisk, paru tytułów. Przyznają się wobec takich od miłości do Syrokomli, to wzbudziły pogardliwe wzruszenie ramion. A dla mnie Syrokomla-Kondratowicz — zresztą w dziełach wierszów poety szczególnie popularny i ceniony — to nie tylko autor do dziś dzień żywych wierszy i kilku gawęd, ale przede wszystkim ktoś jakby sąsiad, do którego można saniami zboczyć z traktu, zjechać do skromnego folwarku Borejkowszczyzna, przejść obok szczekających piesków, otępić z burki śnieg, licząc na herbatę z rumem (czasem na rum z herbatą) oraz na wiersze i pogawędkę.

Dworek o słomianej strzecie, z gankiem na czterech słupach, po obu stronach ganku po dwa okna, przed domem duży dziedziniec z wysoką topolą, za domem sad, otoczony parkanem z chruśniaki — oto Borejkowszczyzna. W ciemności żółto świecą okna, bo wewnątrz pali się łuczywo lub żłgi się łójkowa.

Niestety, nie byłem w Borejkowszczyźnie, znajdując się w odległości czterestu wiorst na poł.-wschód od Wilna.

Na ogół nie krytycy, ale czytelnicy i sami poeci miłują poetów. Ileż to zapomnianych a pięknych wierszy wydobyl z kurzu bibliotek Julian Tuwim w trytomowej „Księdze wierszy polskich”! Ile ich wydobyla pracowity i wnikliwy Paweł Hertz! Wiek XX ma również swoich poetów zapomnianych, zapomnianych. Sam znalazłem kilku, którzy nie zdążyli wydać tomiku, ale po paru utworów należałoby przypomnieć. I w swoim czasie próbowałem to zrobić.

Oczywiście, poeci też różnie się zachowują. Kiedy wysłała antologia poezji polskiej z lat 1914–1939, właśnie i niektórzy poeci zarzucali jej autorom, iż zbyt wiele nazwisk uwzględnili. A oni uwzględnili ich za mało jak na pierwszą antologię.

Żyjemy w czasach eufemizmów. Zarówno w wielkich jak i małych sprawach. Dziś przeciwko wojnie mówi się coraz częściej: konfrontacja. O lurze czy po prostu o pomyślach: kawa po polsku. O wierszu kolega koleżka nie powie, że zły lub dobry, wierszujący lub obojętny, ale swoją opinię owinie w watę słów. I w końcu tak naprawdę to nie nie wiadomo.

Teodor Bujnicki, o którym chcę pisać, należał jeszcze do ludzi, którzy przy spotkaniu o przeczytanym utworze mówili właśnie wprost. Z radością lub ze smutkiem.

Czytałem niedawno wspomnienie Czukowskiego o ludowym komisarzu oświaty Łunaczarskim. Poeci — m. in. Błok — mówili mu w oczy, że jego wierszy nie uznają. Nie zmieniali to stosunku tego świetnego człowieka, publicysty i znawcy nie tylko literatury, do autorów ocen, choć przeciwko nim nie wymagałmy zbyt wiele. A na wszelki wypadek nie szukajmy zbyt gorliwie Łunaczarskich wśród swoich bliższych i dalszych znajomych!

Ten sam Łunaczarski (a Majakowski odmawiał wartości jego wierszom i sztukom, poza tym bardzo go ceniąc) pisał po tragicznej śmierci wielkiego poety: „Nie wszyscy jesteśmy podobni do Marksa, który powiedział, że poeci potrzebują wielkiej życzliwości. Nie wszyscy my to rozumiemy, nie wszyscy rozumieliśmy, że Majakowski potrzebował wielkiej życzliwości”. Rosyjskie słowo „laska” tłumacząc w znaczeniu najskromniejszym, bo oznacza ono i miłość i pieszczotę i kłótnię. Dodajmy, że Łunaczarski pisał o poecie, który z temperamentu i ze względu na nowatorski charakter swojej twórczości sam był szczególnie napastliwy, szyderczy, dokuczliwy, szorstki.

Z takim nie ma co rozmawiać. Bo jeśli ktoś zna choćby jeden wiersz, powoła się dokładnie na jeden choćby obraz, wtedy można porozmawiać, szukać kontaktu.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Co za dużo to niezdrowo

Juror jest to nazwa zawodu, czy też specjalności, jaka wykształca się u nas w ostatnich latach. Posada jurora nie zapewnia ubezpieczeń, ani dodatku na dzieci, choć w tym kierunku ewoluje, ale żyć z niej można nieźle. Jurorzy dzielą się na stałych, niejako zawodowców i niestałych. Rzecz prosta — lepiej być jurorem stałym niż powołanym od konkursu do konkursu, tak jak lepiej być pracownikiem stałym niż sezonowym.

Hość jurorów stoi w proporcji prostej do ilości urządzanych konkursów, zaś liczba konkursów rośnie u nas z szybkością jednostajnie przyspieszoną. W roku, który minął, osiągnęliśmy prawie maksimum ukonkursowania społeczeństwa polskiego. Z lektury gazet listopadowych dowiedzieliśmy się, że do konkursów stawiali — fryzjerzy damscy, solidi sprzedawcy rozmaitych branż, działwa szkolna rysowała w ramach konkursu, rozstrzygnięto wielki konkurs mistrzów oszczędności, architektki projektowały a budowlani stawiali domy w ramach konkursu, Zdarzyło się także kilkanaście konkursów literackich, żeby już nie wspominać szerzej konkursów grzeźbiarskich, które włączył brak, dobrej obsługi, też jej brak, konkursów czystości, racjonalnej hodowli kwiatów, psów, rybek w akwariach, czy też konkursów na wzorowego milijanta, kierowcę — dżentelmena, kelnera, studenta, harcerza i meza.

Jurorzy incusują honoraria za swoją pracę i to właśnie trzymają ich nieźle przy życiu, a do zwycięzców selek i tysięcy konkursów płynnie nieprzerwany strumień pieniędzy, bonów, łódówek, samochodów, telewizorów, matocykli, magnetofonów, biletów do Sotki i Paryża. Wpływ konkursów na stopę życiową ich uczestników nie może ulegać najmniejszej wątpliwości.

Instytucja stałego jurora zrodziła niejako automatycznie nowy z kolei zawód — stałego uczestnika konkursów. Także nie najgorzej zawód. Jako juror stały w kilku konkursach bez trudu rozpoznaje stałych dostawców tekstów. Jeżeli np. opowiadanie nie zdobywa nagrody w konkursie pod nazwą „Złote Czołenko”, konkursowicz stały posyła je w takim wypadku na ręce

O wierszach można — i nawet trzeba — mówić różnie, najlepiej prosto. Wtedy może najbardziej przekonująco. Bujnicki w autoporachunku z lat okupacji napisał:
Będziesz wyliczał gwiazdozbiory
I zbierał pył dalekich dróg,
Rytm mórz i jezior, hałas borów
I zamrażających kłopot gród.
Lecz jeśli zechcesz potem złożyć
Z mozaiki skarbów trwałe gmach —
Ręce bezradnie ci opadną,
Z łupem daremnym pójdziesz na dno,
Cale bogactwo twoje przeważą
Jedno krzyknęte szczerze „ach!”

Teodor Bujnicki był poetą bogatym, aczkolwiek nie sądzę, żeby był najwybitniejszym przedstawicielem wileńskiej grupy „Zagary”, do której kiedyś należał z Czesławem Miłoszem, Jerzym Zagórskim, Aleksandrem Rymkiewiczem i in. Za życia był jednak najpopularniejszy.

I oto co jakiś czas sięgam po jego książki z wierszami, satyrkami, przekładami i fraszkami. I nie dlatego, że staję jednocześnie przede mną sympatyczny grubasek, spotykany w zaułkach z arkadami lub w których z wileńskich redakcji. Lubie jego twórczość, choć nie jest równa, choć nie wszystko zasługuje na uwagę. Tak zresztą przeważnie bywa. Pisał dużo, czasem dla zarobku. Pisał też łatwo, był doskonałym majstresem.

W drugim wyborze — bez porównania obszerniejszym, wydanym przez „Czytelnika” w 1961 roku — znalazłem cykl bez tytułu, złe przedstawiony. Jest to bowiem wiązanka sonetów, co się zdarza, gdyż gdzieś ułotnił się wstęp do niej, zapowiadający śmiało założenie, uwieńczone powodem: z każdego sonetu wzięć pierwszy wiersz, pierwszą linię, by powstał sonet piętnasty — równie kunstownie zbudowany i, rzecz jasna, rymujący się, znaczący. Sztuka! Dziś poszukuje się na gwałt autorów librett. Możliwe, że ten byłby autorem, gdyż miałby obecnie lat sześćdziesiąt, urodził się bowiem w roku 1907, zaś skrytobójczo został zamordowany w Wilnie 28. XI 1944 roku, gdy miał zamiar repatriować się do Lublina.

Był poetą przemawiającym bezpośrednio. Dostarcza rozmaitych satysfakcji.

Ma w dorobku utwory liryczno-satyryczne, klejnociki czystej wody. Myślę o „Koncercie”, o „Romantyczności”, która tak się zaczyna:

„Stuchaj, dziewczeczko!”

Ona nie słucha —

próżno Mickiewicz

udaje zucha.

Wzruszony, błądy

czyta ballady,

przynosi kwiatki

i czekolady...

W charakterze aneksu do felietonu w sześćdziesiątą rocznicę urodzin pragnę przytoczyć parę fraszek, które kiedyś były drukowane w pismach, a których nie znalazłem w tym drugim obszernym, pięknym wyborze. Cechuje je wdzięk i elegancja, zjawisko we fraszkach współczesnych nie tak znówuż częste. Zresztą w naszym stylu bycia, w rozmowie, w sposobie noszenia się na dół dominuje antywdzięk, antyelegancja, antyschłodność.

CZTERNASTOLATKE

Czternaście wiosen! Róża

W sukience w zielone groszki.

Na eukierki jesteś za duża,

Za mała na jedwabne pończoszki.

FRASZKA

By się modliły za swych preceptorów,

Ksiądz X... dziełeczki napędza.

Módlcie się za dziełkami za owych grzeszników,

Nie zapomnijcie i księdza.

STENOTYPISTE

Kiedy nad Remingtonem pochyliwszy głowę,
Zaczynasz przepisywać najnudniejszy wykaz,
Maszyna wystukuje cyferki różowe,
A szef — nadęty puchacz — zmienia się w słowika.

MALARCE

Sama jak obraz, maluje obrazy.

Nie wiem, co bardziej mnie wzięło.

Wiec, by nie było przypadkiem obrazy,

Stawię artystkę i dzieło.

jurorów konkursu „Rubinowa Hortensja” w nadziei, że to drugie jury, choć bardzo do pierwszego podobne, okaże się łaskawsze. Jeżeli, dajmy na to, poeta nie zyskuje nagrody w konkursie ZMS, to ten sam wiersz przesyła „Włosie poetyckiej” i jakoś to leci.

Te same twarze zaczynają się pojawiać w telekonkursach, co wskazywałoby na stabilizowanie się kadry konkursowiczów, nie tylko na odcinku młodej, lecz za-pobiegliwej literatury. Pełną stabilizację zdajemy się osiągać w konkursach na piosenkę, gdzie kilka nazwisk i kilkanaście pseudonimów załatwia z reguły melodie, teksty, nagrody, a także grydy i festiwale. Tego rodzaju stabilizację czołowi zwłemi naukowemu monopolom, lecz posługiwane się tą nazwą nie jest konieczne, przeciwnie — może stać się przyczyną poważnych konfliktów w dobrym towarzystwie. I na co to komu?

Konkursy służą dobrze jurorom i uczestnikom, powinny wszakże służyć także idei kształtowania powszechnego zainteresowania jakąś pozytywną dziedziną twórczości, czy też działalności. Tymczasem nie zostało jeszcze dowiedzione, że stali konkursowicze wniesli jakąś rewelację do literatury. Nie szkodzi, może kiedyś wniosła, albowiem konkursy trwają nieprzerwanie.

Ala na tym jeszcze nie koniec jereńdasy z okazji nadmiaru konkursów w Rzeczypospolitej. Myślę, że mają one coś wspólnego z obniżaniem solidności ludzkiej. Kelner, który nas obsługuje — bywa często zły, ale podczas konkursu będzie oczywiście — znakomity. Kultura usług w sklepach jest niska, ale podczas konkursu na wzorowego sprzedawcę — wszystko gra, Anioły, a nie kelnerzy, czy nasi sprzedawcy. Jest więc w tych faktach coś podwójnie mylącego. Po pierwsze — zwycięzca nie stanowi żadnego wykładnika dla reszty, jest raczej jej zaprzeczeniem niż reprezentantem. A po drugie — wytworza się przekonanie, że tak normalnie, z dnia na dzień — nie warto dobrze śpiewać, poczekajmy na giełdę lub festiwal, nie warto zajmować się klientem — będzie konkurs, to się ładnie zajmiemy. Istnieje tedy groźba dewaluacji codziennej, solidnej, rzetelnej pracy we wszystkich dziedzinach, dewaluacja na rzecz działania premiowanego dodatkowo, opłacanego ekstra.

Nie jestem wszakże wrogiem konkursów, lecz tylko przeciwnik ich epidemicznego występowania. Konkursy są jak złośliwe mrówki, jak termity, czy może szarańcza, a mnożą się już nie przez pączkowanie, lecz drogą prymitywnego podziału prostego, stają się niekiedy zwykłym podziałem łupów i w gruncie rzeczy groźną obniżaniem wartości ludzkiej pracy i ludzkiej twórczości w jej codziennym, a więc najistotniejszym wymiarze. Konkursów jest, po prostu, za dużo. A co za dużo — to niezdrowo.

Lgota Mała

Ten śnieg, pierwszy poczerwiał śnieg przy opłotkach zmyły deszcze. Skreśliśmy z głównej szosy w ciasną, nakrapianą kamieniami drogę. Potem była jakaś wieś skuta chandrami i ter kolejowy z zaspany dróżnikiem. Dróżnik otworzył szlaban, puknął się w czoło, i powiedział, że nie pojedziemy. Bo przed nami nie było już drogi, tylko różne bajory i kałuże, i w dodatku karetka pogotowia zakopana w błocie po reszory; przestroga groźna i ostateczna. Ale mój kierowca, to nie był byle jaki kierowca. Wrzucił dwójkę i ruszyliśmy. I zaraz się okazało, że nasz wóz, Wołga, to też nie byle jaki wóz. Czółg. Amfiblia. Pruliśmy przez to błoto, tę glinę powolną jak gumę; lepka maź zalewała szyby, koła buksowały na wybojach; ale żeśmy jakoś przejechali, a za nami ta karetka, i przed samą Lgotą można było odetchnąć, bo droga poprawiła się nagle, połatana tu i ówdzie ceglami.

W Lgocie, owej Małej Lgocie, odszukałem szkołę. Był to wielki budynek o szerokich oknach, pokryty kremowym tynkiem i czarną dachówką. Wyglądał, jak zamieszkała „tysiąclatka”. Ale ja wiedziałem, już wtedy, że to nie jest żadna „tysiąclatka”, budowana z funduszy państwowych. W klasach dzieciaki z nosami przy szybie, dużo rozplaszczonych nosów, wytykały nas palcami. Chcieliśmy wejść do środka, lecz zobaczyliśmy czerwony, wyswiecony do polysku korytarz i las nóg w skarpetkach albo w papuciach, więc zawróciliśmy i kierowca zaczął czyścić buty, ja też, on mi wytłuszczał resztki błota na obcasach, ja jemu kółka pod podeszwę, weszliśmy wreszcie, wściekli na siebie, a tu akurat kończyła się przerwa. Mały chłopiec, piegowaty, z linami, rozmierną głową, potrafił zapalczyćwie drwonkiem. Sypiałem, gdzie kierownik. Tak był pochłonięty swoją robotą, że zignorował pytanie. Wyreczyła go jedna dziewczynka; jest, tylko nie wie dokładnie gdzie; może tam — wskazała na salę gimnastyczną.

Nie była to duża sala. Taka, jak największy pokój w starym budownictwie. Na ścianach drabinki i kosze zrobione własnym przemysłem: nie żadna obrobca obciążająca siatką, a tekstura. W rogu, ułożone w symetryczną piramidkę, piłki, duże na spódzie, małe na wierzchu. Parkiet lśnił jak lustro. Kierownika nie było. Wróciłem na korytarz. I szukałem kierownika w klasach. Jedne puste, w innych lekcje. Dzieciaki ubrane w granatowe stroje wstawiały bez komendy, a jak wycofywałem się zakłopotany; unosiłem wrażeń szerokich buziących pieców, ścian zawieszonych portretami pisarzy, uczonych, i różnymi wykresami, ławkę, z których jedne wyższe od drugich, były spróchniałe wobec utartych szablonów, podłóg klinicznie czystych i nieypowrog, ciepłego dobrobytu. Przypomniałem sobie własne dzieciństwo i szkołę lepka od brudu; to było przecież grubo po wojnie, belfer w spódnicy bił piórkiem po łapach, a kiedy miała przysiąc inspekcja, goniono nas do mycia okien. Nie mam zamiaru długo o tym myśleć. Nie jestem też żadną ciekawą reporterką, aby się rozkładać nad schłodnością szkoły w Lgocie. Ale powiem jedno: tu, z dala od miasta, na wyspie odciętej od świata rozciągał się błotem polnych dróg — nie spodziewano się żadnej inspekcji, ani dziennikarza, ani choćby kogoś z powiatu. Kierownika nie było.

Mój towarzyszy, stał w drzwiach czytelnik. Na wprost półek z książkami był prawdziwy ping-pongowy stół. Grało dwóch: jeden w skarpetkach, a jeden boso. Ten boso był lepszy — wybił gołymi pięciami hukliwe tremolo i miał straszny strzał z forhandu. Lecił do piłki z zaciętością championa... tupa! A jak mu czasem nie wyszło, to mrucał pod nosem jakieś zaklęcia i spływał po trzykroć, żeby odwrócić szczęście — lecz nie na podłogę, a w łapinę, tak symbolicznie nie tylko spływał. A trzeci chłopak stał po środku stołu i siedział nieprzemyślnie z podniecenia. „Dziwne namiętności — osiemnaście”, „Dwadzieścia — osiemnaście”, „Jezuusuuu!” „Jezuusuuu kochany!” Wreszcie przyszła jego kolej, więc też zdjął papucze i skarpetki, i podskoczył do stołu z rakieta.

— Czemu wy tak na bosaka gracie? — zapytał. — Żeby nie niszczyć parkietu? — Atam! Żeby się nie ślizgać!

Pokonałem w sobie chęć, żeby zagrać seta, i wróciłem na korytarz. Jestem niedelikatny — wszedłem do toalety, bo dawno już w żadnej wiejskiej szkole nie widziałem tego przybłuty, a tylko połowie latryny na dworze. Były tam również krany z wodą, i zaraz obok natryski, normalne, choć może nieco prymitywne, utrzymane w idealnym porządku. Potem, szukając kierownika, poszedłem na pierwsze piętro, gdzie już lekcje się skończyły, mogłem więc śmiało zaglądać do klas i do pracowni, i miałem wrażenie, że jestem w zamkowej „tysiąclatce”, a przecież wiedziałem, że to nie to... Zresztą „tysiąclatki”, budowane za ciężkie miliony, tylko z początku są zamkowe i wytworne... potem, jako że mienie społeczne dla niektórych jest mieniem niczym, sprzęt i pomoce naukowe niszczeją, w ściany widać się korozja, brud wdziera się w podłogę... Znam takie przykłady. I nie tylko w szkołach. Ten Dom Kultury w Radomsku (Lgota leży w powiecie radomszczańskim), o którym pisał Stokowski, piękny od zewnątrz niby pałac z bajki, w trzy dni po otwarciu został zdemolowany od środka, przez wandalów, powybijane szyby, popęsłe zlewy, pierwsze chamskie rysy na ścianach. Ale



Fot. St. Ziółkiewicz

szkoła w Lgocie, to nie żadna zwykła „tysiąclatka”, gdzie się meble wozi wagonami, gdzie na otwarcie przyjeżdżają mini-strawie. Ja wam zaraz powiem, jak powstawała, z jakich jest cegieł, i z jakiego polu. Tylko muszę przedtem znaleźć kierownika...

Wszedłem do gabinetu lekarza. Biały, sztywno nakroczony fartuch wisiał przy drzwiach, a na biurku był rejestr wszystkich ośmiu klas, wszystkich uczniów. Potem zajrzałem jeszcze do jakiegoś pomieszczenia w końcu korytarza — przypominało warsztat rzemieślniczy, przy stołach imadła, z nazwiskami uczniów po boku, stopy starannie, fachowo oprawionych książek, a pod ścianą stało coś jakby szafa i od razu można było poznać, że to nie jest mebel ze sklepu, że to ktoś zmałstrował własnym pomysłem. A kiedy zszedłem na dół, mały linanowłosy pieguśk dzwonił na przerwie, i dzieci wybiegały z klas, i zobaczyłem, że kierowca gra z tym bosym malcem w ping-ponga, i bierze cegieł, i z lekka jakby trafia go szlag. A potem wreszcie podbiegła ta rezolutna dziewczynka, i pokazała mi kierownika; wszedł właśnie z dworu i rozmawiał z jakimś chłopcem. Podszedłem i przedstawiłem się. Był uprzejmy, ale powiedział, że tu nie ma o czym pisać i wywiadu nie udzieli. Ja na to, że nie musi, bo już wszystko wiem, bo już przedtem rozmawiałem z różnymi ludźmi w powiecie, a tu we wsi też rozmawiałem, ze Stanisławem Majem, jego żoną, z Fronczakiem i niejakim Kawłim, i jeszcze innymi. Wówczas zaprosił mnie do gabinetu, który był tak zadbane jak wszystko w tej niebywalej szkole, i gawędząc o sprawach pozornie tylko związanych z tematem, zacząłem układać drugą część reportażu.

Henryk Drzazga, nauczyciel, przyjechał do Lgoty tuż przed końcem wojny i zastał czarną, zabita dechami wiosnę. Jego pasja, a także jedynym kontaktem ze światem, było wówczas radio. Henryk Drzazga skombinował sobie radio na detektor, ze słuchawkami, i słuchał tak zawzięcie, aż rozboleły go uszy, więc kiedy przyszła wyzwolenie, postanowił zakrzętnąć się koło jakiejś prymitywnej elektrowni dla własnego użytku, niechby to był wiatraczek czy coś takiego... Jeździł w tej sprawie do Radomska i do Częstochowy, pytał różnych speców, ile by mógł kosztować interes do oświetlenia mieszkania i podłączenia normalnego radia; suma, która specy wymieniła, była na kieszeń jednego człowieka zbyt wielka, toteż wracał zgnębiony do domu i dalej dręczył uszy słuchawkami, a czytał przy chybliwym świetle naftówki. Aż wreszcie jednego razu — zawsze jest w życiu człowieka taki jeden raz — powiedział mi w Częstochowie: jakby się wiesz złożyła, jakby było wielu chętnych, to kto wie... można by przeprowadzić prawdziwą linię z prawdziwym prądem i moglibyście słuchać prawdziwego radia, a kosztowałoby to, nie mniej nie więcej, tylko półtora miliona. Nie chcę się długo rozwodzić, jak się Drzazga wziął do rzeczy, jak się szarpał na wiejskich zebraniach, a wielu chłopów z Lgoty w prąd nie wierzyło, ci znowu ci wierzyli w prąd, nie wierzyli w żarówki, jeszcze inni podejrzewali jakąś grubą aferę, a niektóre baby żęgnęły się znakiem krzyża; nie chcę — powiadam — długo się rozwodzić, dość, że Drzazga wziął na swoje barki całą odpowiedzialność, podpisał rewers na półtora miliona, uzyskał pożyczkę w Łodzi i poparciu z powiatu, i w końcu grudnia czterdziestego ósmego, w samą wigilię, w mieszkaniach ufnych gospodarzy, bo tacy też byli, zapalito się światło, zaś w domu Drzazgi cała, całaś wieś ustąpiła w zdumieniu po raz pierwszy radio. Potem do sieci podłączono wsie sąsiednie i było to pierwsze, wielkie zwycięstwo Henryka Drzazgi, wiejskiego nauczyciela.

Na początku lat pięćdziesiątych, kiedy kraj otrząsał się jako tako z pożogi, Drzazga miał już w swojej małej szkole siedem oddziałów, a nauka trwała w trzech salach, na różne karkołomne zmiany i sposoby. Potem doszła sala czwarta, na opróżnionym strychu, gdzie wchodziło się — nauczyciele, dzieci i przestraszeni inspekto-

rzy — po drabiniastych schodkach. Pewien inspektor krecił nosem i mówił, że tak nie można. Ci inspektorzy, to są czasami cholernie dowcipni. Drzazga nie mówił. Zachodził w głowę, jakby tu szkołę rozbudować. Zrobił szkic pierwszego pietra, a potem szarpał się wraz z komitetem rodzicielskim na kilkanaście tysięcy i zlecił fachowcowi opracowanie dokumentacji nadbudowy, a innemu majstrowi znowu — polecił zbadać fundamenty, i tu od razu powiem, że zdania były podzielone — czynnik oficjalnie twierdził, że można z powodzeniem jedno piętro dobudować, inni natomiast, ci co zbadałi podkopy domu (raczej domeczku) — wykazywali czarne na białym, że fundamenty są płytkie, bez zaprawy, słabe i wahlwe, że jakby zwał wiatr i byłby akurat lekcje, to taka nadbudowa mogłaby się zawałić i wtedy we wsi żałoba. Więc Drzazga choć miał na rozbudowę oficjalną zgodę (he-he!), postanowił inaczej: wybudować nową szkołę. Było to w pięćdziesiątym ósmym, a zaczął od tego, że zrobił plan budynku i zapłacił za fachową dokumentację i wyburzył z ciężkim sercem komórkę i przybudówkę starej szkoły, świadomy wielkiego ryzyka. Potem w sąsiedniej wiosce, Szczepocicach, odnalazł człowieka nazwiskiem Martela, który umiał zamierzonym sposobem „produkować” cegły. Na skraju Lgoty szkoła miała półtora hektara, i tam właśnie Martela zabrał się do zrytowej pracy, ciskając reklamą glinę do dwóch małych foremek, a drugi szaleńiec, Drzazga, konstruował dla tej cegły szope, żeby się nie roztopiła na deszczu, i trwał do miesiacami, aż wreszcie, kiedy było już pięćdziesiąt pięć tysięcy surowych, nie wypalonych cegieł, Drzazga pojechał w Częstochowskie i szukał w prywatnych cegielniach fachowca, który by cegły wypalił, i znalazł takiego Trepkę, który powiedział, że przyjedzie i załatwi sprawę na miejscu. I dotrzymał słowa — na skraju wioski wykopał rów, zasypał go węglem, na tym ustawił wysoką, czterometrową piramidę cegieł przypieczonych miałem węglem, podpalił to wszystko, wziął pieniądze i odjechał, i miało się palić dziewięć dni, ale

już na trzeci, rozszały się ulewę, a szóste-go, gdy ogień dochodził do szczytu, nie było ulewę, a istny potop, ogień zaczął przysgasać, a surowe cegły z wierzchu, rozbiły strugami wody, zamieniały się w płynną glinę, więc Drzazga nie spał nocami, tylko ratował co mógł, pracując na zmianę w czterech ubraniach, a potem w piątym, żoninym, bo tamte zgnęły na deszczu; uratował czterdzieści pięć tysięcy dobrych wypalonych cegieł i przyszła chwila, że nie mając środka transportu, zaczął je nosić na teren budowy, obok starej szkoły, a wraz z nim nosili dzieci, szła taka długa, wijąca się karawana i niektórym malcom mdlały ręce, zobaczyli to chłopci, którzy w nową szkołę nie wierzyli, tak jak kiedyś nie wierzyli w elektryczność, zobaczyli i ruszyło ich serce, następnego dnia dali wozy, przewieźli cegły na plac. I majster, który zobowiązał się wybudować szkołę dokładnie według planu za 100 tysięcy — mógł zaczynać, mając do pomocy pięciu murarzy i paru zapalonych chłopaków ze starszych klas, którzy już tam podobno kiedyś mieli kielnie w ręku. I robota ruszyła...

Tymczasem Drzazga w dalszym ciągu produkował cegły i sprzedawał okolicznym chłopom; ochotników było dużo, więcej niż towaru, więc żeby sprzedawać sprawiedliwie, musiał prowadzić listę kolejności, a zarobiony grosz pakował w szkołę; i to był potrzebny grosz, dziś, kiedy robi rachunek sumienia, wychodzi mu wkład na osiemset tysięcy — rzecz jasna: jego wkład, to także wkład komitetu rodzicielskiego i życzliwych ludzi we wsi, to nie tylko cegły, ale robocizna, transport, porada, to wszystko, co potrafił wytargować, wyprosił resztę dołożyło państwo ze szkolnych funduszy.

W ten sposób, po sześciu długich, znojących latach, w Lgocie Małej wyrosła nowa szkoła. Uroczyste otwarcie odbyło się w maju 1964 roku, w obecności trzech przyjezdnych — dyrektora „Czasu” z Łodzi, przedstawiciela Wydziału Oświaty z Radomska i delegata Wydziału Inwestycji. Więcej nikt się nie zjawił, bo co kogo tam obchodził jakaś wiejska szkoła, kiedy buduje się wielkie inwestycje — elektrownie i fabryki. Ale Henryk Drzazga był szczęśliwy, może nawet najszczęśliwszy w życiu. Dopisał cel — była nie tylko szkoła — coś więcej: natryski, o które wytknęła się musiał tak samo zaciekle („wsłownym, panie Drzazga, takie cuda niepotrzebne”), jak o toalety i rury ściekowe, sale gimnastyczne i kuchnię. Wreszcie, już po otwarciu, szkoła otrzymała telewizor od „Czasu”, nowe radio i aparat projekcyjny z Wydziału Oświaty (popuścił się w tym roku, i Drzazga nie ma środków, aby zawieźć te trzy potężne skrzynie do Łodzi, do naprawy) i jeszcze inne pomoce naukowe, o które dba się tutaj równie troskliwie, jak o sprzęty wykonane własnym przemysłem.

Ale Drzazga niechętnie o tym wszystkim mówi. To już przeszłość, historia, a on teraz ma inne ważne plany i kłopoty. Niedawno Kolo Gospodyń w Lgocie postarało się o wiejskie przedszkole i, rzecz jasna, jest w tym także Drzazgi robota. Usiłował wyburzyć i zbudować drogę: wytargował gdzieś kałwek bepańskiego muru, rozebrał, zapchał tu i ówdzie dziury i wady, ba, zrobił nawet dokumentację szerokiej jedenastometrowej szosy, która biegłaby aż do torów kolejowych — plan ten jednak spalił na palenisku, jako że taka szerokość ścieżki z chłopskich pól zbyt dużo gruntu. Trzeba więc na razie brnąć przez błoto, w gumowych kaloszach.

A największym Drzazgi pragnieniem, powiedzmy inaczej: zamiarem, jest budowa dużej sali z estradą, dla szkoły i przede wszystkim — dla wsi.

I jestem pewien, że jak za trzy lata przyjadę podczas deszczów do Lgoty, będzie już ta sala, i może nawet szeroka, twarda droga do torów. I może senny dróżnik wzmożąc szlaban nie puknie się w czoło mówiąc: „nie przebrnieta”. I karetka pogotowia nie ugrzęźnie w błocie.

Mikro-portrety



ROMAN SYKAŁA

Roman Sykała należy do najbardziej utalentowanych reżyserów średniego pokolenia. Po ukończeniu z odznaczeniem Instytutu Sztuki Teatralnej w Łeningradzie, pracował krótko w Warszawie, po czym przeniósł się do Łodzi. Był to rok 1955. Jego doskonała reżyseria sztuki Macoła „Zatrzymać pociąg”

wprowadziła go w szeregi młodych reżyserów, których nazwiska coś znaczą. Na lata 1956 — 1958 powędrował do Poznania, gdzie sprawował dyrektorską i kierowniczą rolę w tamtejszych Teatrach Dramatycznych. W okresie poznańskim wystawił „Angelię” Leo Ferro i „Wizytę starszej pani” Dürrenmatta, które umocniły jego pozycję jako reżysera. W końcu roku 1958 wraca do Łodzi i już w niej pozostaje, najpierw na stanowisku kierownika artystycznego Teatru 7.15, później jako dyrektor Teatru Powszechnego. Z jego licznych prac inscenizacyjnych i reżyserkich wymienimy najbardziej znane, a więc „Biekitny patrol” Halla, „Skowronek” Anouilha, „Droga do Rzymu” Sherwooda, „Romeo i Julia” Szekspira, „Dziady” Mickiewicza, „Tango” Mrożka.

Roman Sykała dał się poznać również jako reżyser operowy, reżyserując gościnnie „Kniazia Igora” Boredina w Łódzkiej Operze, „Bunt żaków” Szełłigowskiego w Teatrze

Wielkim w Warszawie. Zaproszony do Pilzna (CSRS) wyreżyserował w tamtejszym teatrze z wielkim powodzeniem, „Tango” Sławomira Mrożka. Jest on ponadto twórcą dwu wielkich widowisk plenerowych, zrealizowanych z okazji 25-lecia powstania PPR i 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Zespół Teatru Powszechnego gościł, pod kierownictwem Romana Sykały i z wyreżyserowanymi przez niego sztukami za granicą: na Węgrzech (ze „Skowronkiem” Anouilha), w Czechosłowacji — z „Przygodą z Vaterlandem” Kruczkowskiego, „Przed matką” Lacoura i „Dwunastoma krzesłami” Iffa i Pietrowa, w Japonii z grana w języku esperanto sztuki Wineolberga „Katakai”. Jeśli dodamy, że Roman Sykała angażuje się również w pomoc, okazywaną ruchowi amatorskiemu, że przez szereg lat piastował funkcję dziekana i wykładowcy w PWSTF — otrzymamy pełny obraz twórcy i człowieka współczesnego teatru.

Wiersze o Polsce

ALEKSANDER NIKOŁAJEW

Krew

W dali w okółu zgłiszcz Warszawy
Pułkowy pisarz przy stoliku
Już mnie wypisał — nabył wprawy —
Ze służby w poczet nieboszczyków.

Pomimo to w ratunek wierząc,
Niosły mnie czołpki do szpitala.
Rzekł doktor:
— Uszła krew z żołnierza
I szans dla niego nie ma wcale.

Na to dziewczyna brew zmarszczyła
I powiedziała tak:
— Doktorze,

Półki choć kropkę krwi mam w żyłach,
To zemrzeć żołnierz ten nie może!

On:

— Pośpiech jest doradcą głupim.
Transfuzja — nie resekcja pienia.
Nauka dzieli krew na grupy —
A jaką grupę ma panienka?

Cóż! Chirurg — mówią — w lazarecie
Pierwszy po Bogu wśród lekarzy.
Ten czerpał wiedzę w wielkim świecie
Od najprzedniejszych luminarzy.

Dziewczę sądziło, jak się zdaje —
Nie na jej szkoły tamte słowa —
Ze ludzi pracy wszystkich krajów
Krew ani wątpić jednakowa.

Ścisnęła zęby, raka splekła,
Widzę gotowa sponiewierać,
Krzyknęła w furii Polka wściekła:
— Natychmiast bierz pan krew, cholera! *)

Inne też żył mi użyczyły —
Więc chirurg kazał kłaść na stole...
Mnie nie skalpele ocalały,
Ale gorące serca Polek.

PRZEŁOŻYŁ: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

*) W oryginale po polsku.

ALEKSANDER NIKOŁAJEW

Turysta

Dziwne uczucie, daję słowo,
Kiedy kierują mnie na wojaz
I biorę wkładkę paszportową
Do Kraju, w którym przecież swojak.

Wraz z nim dzielłem dolę krwawą —
Nie mknąłem po nim cadillacem —
Od Terespolu po Motławę
Przepelziłem w żmudzie na czworakach.

Ma we mnie swego patriotę
Błoto, gdzie grzeźły po os wozy.
Prześląknął innym żołnierskim potem
Piach jego traktów i bezdroży.

Przewodnik powie:
— Proszę pana *)
Teraz łaskawie rzucić okiem:
Ta oto piękna panorama...
A wzrok się z innym żył widokiem.

Aż korci spytać z chytrą miną,
Czyby nie można nieco zboczyć...
Ku wsi Szczypiorno, gdzie równina
Wkwa swoje kręte wody toczy?

Na to odpowie mi najpewniej:
— Tam nie wozimy naszych gości,
Trasa wycieczki bowiem biegnie
Przez historyczne miejscowości.

A ja odpowiem:
Dajmy pokój
Płonny dyskuzjom, dobry panie.
Przez tamą wieś onego roku
Pełzłem z historią ramię w ramię.

PRZEŁOŻYŁ: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

*) W oryginale po polsku.

MAKSYM RYLSKI

Żelazowa Wola

We wsi Michałowsko spotkał nas Puszkina sam,
To nie był jego cień — on się ukazał nam,
I wszystkim się zdawało, że zielonym brzegom
Rzeczulka jasnowodna szepcze wiersze jego.

Tak tutaj w delikatnym i w stubarnym sadzie
Słyszeliśmy, jak Chopin krok za krokiem kładzie,
I wtedy myśleliśmy, że tu alejami
Zaraz Fryderyk przyjdzie przywitać się z nami.

A wszystko jest muzyką: te dęby, te sosny,
Te klony wyrzeźbione pod niebem radosnym,
I ta rzeczka, nad którą przy każdej niedzieli
Zastuchani w Chopinie — Polacy siedzieli.

O życia jego blaskach myśliły i cieniach
Od tej chwili, gdy ono nabrało znaczenia
Dla Polski. Nagle dźwięki Mozarta wspaniałe
Znad grobu Fryderyka do nas doleciały. *)

Tu liście i motyle latają przy ziemi,
Trzmielce miod pią z kwiatów, i tylko my niemi,
Pośród przeczystej ciszy w tym niezwykłym sadzie
Tonimy zasluchani w Fryckowej balladzie.

PRZEŁOŻYŁ: ROMAN GORZELSKI

*) Zgodnie z ostatnią wolą Fryderyka Chopina, na jego pogrzebie wykonane było Requiem Mozarta (przyp. autora).



Rys. W. Kondek

GILBERT K. CHESTERTON

Polska

Taki cud by mogli wyczytać na niebie
Patrząc na lot ptaków niegdyś augurowie:
Przez błękit szybuja wielkie czarne orły,
A pośród nich orzeł o podwójnej głowie.

Już techórzliwe sępy w ślad za nimi lecą,
Kiedy opadają podczas bitwy ptaki.
Młczą, nie znaczą nasi drobnii władcy.
Wiemy kto podpisał i gdzie układ jaki...

Ci, którzy kramarczą pracą innych ludzi,
Jak sęp, co pożera swą krwawą ofiarę,
O, zbiorą wnet pióra i szybko powiedzą:
Nie było czarnego, wszystko było szare.

Szare, jak gołębie tamte, które były
W rękach brudnych, chciwych, ciągle szacowane,
Widząc gniew nadszliśmy, trwożliwie się zbliży
I opadły między kramy polamane.

Tak przez samo niebo niegdyś wyniesione,
Wiele razy godło okrywane chwałą,
Pośród czarnych orłów, pośród sępów szarych
Nad wielkim i sławnym domem pozostało.

Tam, gdzie są bitwy świętsze od pokoju,
Tam, gdzie nienawiść jest jak błyskawica,
Zalśnił zwycięski, z tyłu bitew znany
Orzeł, co bielszy jest niż gołębia.

PRZEŁOŻYŁ: ROMAN GORZELSKI

GERHARD FRITSCH

Polska

Stanisławowi Jerzemu Lecowi

Polsko
widziałem cię
zza obłoku, mgły,
w pyle, śniegu, ogniu,
widziałem Wisłę w rozbłyskach,
Bug i Narew, Wartę
w oskrobanej szybie mego Ju,
zwoje szyn i ulic koczowską,
wzgórza wdychające zapach pól,
welon nad Warszawą, Mińskiem, Łodzią,
nadkrakowskie wieże, Gniezna, Gliwic,
widziałem baraków długi sznur,
skrzynie w trumennym ordynku,
w sieci drutów kołczastych
i widziałem także gruz,
ołowane gruz
Muranowa.
Polsko,
karto naszych obłąkanych
lotów,
po której poczwarny żuk motoru pełzi,
szczyty, dygocąc, bredząc i drząc
widziałem ciebie, żołnierz mechaniczny,
marznąć, pocąc się, krzycząc przez sen,
pijany i pelen strachu,
w wirze pogód i poszumie krwi.
Tak pokochałem lato na Podlasiu,
pieśnią grozy zmierzchający Płock,
pokochałem maki, pół rzewność i pył —
jak łańcuchem uwiązany do traktów powrotnych,
w marszu powolnego zamarzania
przez Kutno, Poznań po Schwiebus,
widziałem gwiazdę jaśniejącą
w otchłani ciemnej twego nieba,
ponad oparem naszej nędzy
i wtedy, odnalazłem ciebie,
słowo!

PRZEŁOŻYŁ: ARNOLD ŚLUCKI

GÜNTER GRASS

Pan Kichot

Ciągle to mówię: Polacy są zdolni,
nazbyt zdolni, do czego zdolni,
o zdolnych rękach, ustach do całowania,
zdolni także w melancholii, w kawalerii.

Przyszedł Don Quichotte, bardzo zdolny Polak,
stanął pod Kutnem na wzgórzu,
za sobą zorzę wieczorną zatrzymał
i opuścił białą-czerwono-utalentowaną lancę
i runął przeciw niezdolnym zwierzętom,
skazanym na motory,
wprost w szarość mundurów, z flanki...

Załamal się talent, całowały niezdolnie
— nie wiem: owce, młyny czy tanki —
całowały ręce pana Kichota,
który się wstydział, rumienił z talentem.

Nie znajduję innego słowa — Polacy są zdolni.

PRZEŁOŻYŁ: JAN KOPROWSKI

GÜNTER GRASS

Polska chorągiew

Obfite wiśnie, co z tej krwi wypłyną
Na wierzch, wzburzone i bardzo wyraźne,
Namówią łódkę do czerwonej wyspy.

Mróz pierwszy liczy brukiew, ślepe stawy,
Ogniska polne ponad horyzontem
I ludzi na wół zaplątanych w dymie.

Już dni się kurczą, jabłka na komodzie,
Zmarznięta wolność płonie teraz w piecach,
Wirząc groch dzieciom i stopy czerwieniąc.

Śnieżne chusteczki kobiet w czas festynu,
Serce marszałka, piąta noga konia,
Stuk-puk w stodołę i przyszedł starosta.

Krwawi chorągiew, pozbawiona oznak,
Nadeszła zima, a kroki, gdy pójda
Śladami wilków, odnajdą Warszawę.

PRZEŁOŻYŁ: JAN KOPROWSKI

Alchemik w państwie Władysława Jagiełły

W paryskiej Bibliotece Narodowej znajduje się rękopis z przełomu XIV i XV wieków oznaczony sygnaturą „Ms. lat. 14005”. Jest to zbiór notatek, głównie recept, pewnego austriackiego alchemika, tym dla nas ciekawszymi, że na odwrocie karty 122 znajdujemy w nim ni mniej ni więcej tylko opis podróży autora do Polski i krajów Wschodu. Zajmuje on całe trzy strony i kończy się na odwrocie karty 123. Relacja ta została opublikowana częściowo w 1936 roku przez anglosaskiego uczonego na łamach jednego z francuskich czasopism naukowych. W literaturze polskiej — poza jednym artykułem recenzyjnym p. H. H. H. — nie ma jej wspomnienia, nieżyjący już znawczyń obcych źródeł do średniowiecznych dzieł Polski — o przekazy tym nie ma zupełnie głuchym. Co najwyżej wspomina się o nim marginesowo, z powołaniem na wspomniany artykuł, którego autorka nie mając dostępu do oryginalnego rękopisu nie zawsze mogła trafnie ocenić ustalenia i domysły wydawcy tekstu.

Autorem rękopisu a jednocześnie samym podróżnikiem jest Leonard z Maurperga, jak sam się pisze. Wywodzi się z niewielkiej miejscowości



Mailberg, położonej w Dolnej Austrii, około 30 km w linii prostej na północ od miasta Stockerau, blisko granicy z Morawami. Był alchemikiem poszukującym sekretu recepty na wyrobienie złota, nad czym głośno mówili wszyscy alchemicy epoki; przy okazji handlował nieco szlachetnymi kruszcami, zwiędził szmat świata — poznał Włochy, Francję, gdzie w młodości pracował u jednego z tamtejszych alchemików, Węgry, Niemcy, utrzymywał stosunki z licznymi kolegami po fachu w różnych krajach, wymieniał z nimi recepty i doświadczenia, bezustannie szukał sposobów wzbogacenia się i nie tracił nadziei, że uda mu się odnaleźć ów jedyny tajemny sposób, dzięki któremu nieszlachetny metal zamieni się w najcenniejszy ze wszystkich — złoto. W nadziejach swych nie był osamotniony — podobnie myśleli inni, zarówno w jego czasach, jak i później, i właśnie to pragnienie miało go zaprowadzić w ostatnich latach XIV wieku do Polski, a następnie krajów Wschodu.

Oddajmy głos samemu Leonardowi. Píše on: „Roku Pańskiego tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego czwartego wyruszyłem z Maurperga wraz z Bartłojem, księdzem z Pragi, z czterema kofmami i dwoma sługami i w osiem dni przybyliśmy do Krakowa. Tu szukaliśmy mistrza Demetriusza, który jak nam wskazano przebywał we Lwowie (w rękopisie: „in Liouwia”, co mylnie czytano „in Livonia”, tj. w Liwoni, jak w średniowieczu zwano... Lotwę), do którego też podaliśmy i przybyliśmy w dziewięć dni, bowiem z powodu pewnego młcha imieniem Deodat miałyśmy opóźnienie w Gnieźnie”. Nasz Leonard coś tu pokreślił — widać niezbyt dobrze znał Polskę skoro wyznaczył sobie taką właśnie drogę marszrutę z Krakowa do Lwowa przez Gniezno, a w dodatku chwalił się, że całą tę drogę pokonał w dziewięć dni! Co najmniej w te ostatnie informacje nie możemy uwierzyć. Ale dajmy znów

dość Leonardowi do głosu: „I skoro przybyliśmy do Lwowa, (pewnego) dnia marca, w porze niesporów, odnaleźliśmy mistrza Demetriusza w dzielnicy Ormian, który najchętniej nas przyjął w gościnę do siebie i z którym urządziliśmy wczasy i gościliśmy na odpoczynku ofiarowawszy mu dwieście świeżych śledzi, które z chęcią przyjął. Dnia następnego mój towarzysz, ksiądz Bartłoj, wyjął mi, co było przyczyną naszego przybycia, opowiedział (to) jemu i był zadowolony. Ale ja widząc, że ów mąż jest rad, udałem się by przygotować ucztę i zaprowadziłem mistrza do dzielnicy chrześcijańskiej, do kościoła Najświętszej Marii Panny. Pozostawiając go, zatrzymałem się tutaj o ucztę i kupiłem najpierw na targu dwa koziołki po 14 groszy krajowych oraz rozmaitej dziczyzny i ryby tak wielkie, jakich nigdy dotąd nie widział, i sprawiłem suta ucztę. Przed biesiadą (mistrz) przyjął mnie oraz wspomnianego księdza, mego towarzysza i rozmawiał z nami. Kiedy prosiłmy go, aby wskazał nam drogę sztuki filozoficznej (tj. poszukiwania owego „kamienia filozoficznego”, który wedle ówczesnych mniemań miał umożliwiać zamianę wszelkiego metalu w złoto), obiecając ofiarować mu tyle, ile tylko zażąda, on odpowiedział: „To, o co prosicie, nie jest przez nas (mistrzów alchemików) sprzedawane. Ale abyście nie odchodzili bez pocieszenia, powiem wam pewną i wypróbowaną receptę na wzbogacenie srebra, którą posiadamy bezdennie się dobrze mieli w waszych krajach”.

Mistrz dał im ów sekretny przepis dnia następnego, a Leonard zanotował receptę w swym rękopisie. Demetriusz wskazał naszym podróżnikom dokąd mają się udać w poszukiwaniu alchemicznych tajemnic. Pościł im podażkę szlakiem do dalekiej Kaffi, tam po przerwie na odpocznik skierować się do Jeroliminy, a stamtąd do dalekiego miasta „Thauris”, które re identyfikuje się z Tabriz w Persji. Podróżnicy posłuchali jego rady. W cztery tygodnie stanęli w Kaffie na Krymie, w dwa miesiące później byli już w Jerolimie, wreszcie dotarli do „srebrnej szkoły” w Tabriz. Tu odnaleźli wskazanych im przez Demetriusza mistrzów Floriana, Aleksandra i Olympia, wręczyli im listy polecające jakie ów im dał, co zrobiło jak najlepsze wrażenie. Ale i tutaj pomimo przychylnego przyjęcia, doznali zawodu. Uczeń mędrzej rzekł im, że nie słyszeli, aby kto potrafił wyprodukować złoto. Dali im jednak dość tego kruszcu i srebra, aby starczyło na drogę powrotną. Wiodła ona przez Jerolimę i wyspę Rodos...

Opowieść Leonarda z Maurperga o podróży, którą podjął w latach 1394—1395 przynosi cenne informacje dotyczące spraw polskich. Mniej więcej o szczegóły takie, jak informacje o Lwowie, artykułach kupowanych na rynku itd. Okazuje się bowiem, że w państwie Władysława Jagiełły działał znany wsłócznie alchemik, o którym nasz Leonard dowiedział się, gdzieś na Zachodzie. Jego imię — „Demetriusz” — wskazywał by mogło na pochodzenie ruskie (Dymitr), czy nawet greckie (Demetrios). Pośród Polaków imię to nie było wówczas rozpowszechnione. Tytułowano go „mistrzem” — był więc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa człowiekiem wykształconym, nie wykluczone nawet, że uczył się w którymś z uniwersytetów. Z tego, jak przybył do Polski, nie wnioskujemy, że uważał go za wybitnego uczonego i mędrca godnego szacunku. Najciekawsze jest jednak, że ów Demetriusz musiał utrzymywać jakieś stosunki z ówczesną grecką szkołą w dalekiej Persji, gdzie jego imię było dobrze znane i szanowane. Byłby sam jej wychowankiem?

Nie mnożmy domysłów ponad możliwości, jakie otworzył przed nami tekst źródła. Możemy sądzić, że w państwie Władysława Jagiełły poczynił się już kształtować jakiś swego rodzaju ośrodek wiedzy alchemicznej. Jeżeli działał tu mistrz Demetriusz,

O modzie na buty polskie w Europie XIV i XV w.

W XVI stuleciu dziełopis Marcina Kromera zarzucał, że współczesny mu Polak „gietki jest do przejmowania i naśladowania obyczajów tych, z którymi żyje, zwłaszcza cudzoziemców”, narzekał, że Polacy zbyt często „mowy tych narodów, u których goszczą, chętnie i taćno się nauczają, odzież, ruchy ciała i obyczaje, jako gdzie zapatrzą, naśladować radzi, chluby z takowego wytworu szukają”. Hoidowanie cudzoziemskim obyczajom i zagranicznej modzie stało się od tam ustawnym przedmiotem krytyki w naszym piśmiennictwie, nie tylko w XVI, ale i w następnych stuleciach. O teraźniejszości zaś chyba pisać nam nie trzeba. Bardzo często zapożyczaliśmy nasze stroje z Zachodu, czy — jak to było w XV wieku — ze Wschodu. rzadziej bywało odwrotnie, kiedy obcy przejmowali to, cośmy sami w dziedzinie mody wymyślili.

Mało kto wie, że w XIV i XV wieku cała Europa zachod-

nia została opanowana modą, którą współcześni uważali za polską, i która niewątpliwie w jakiś sposób była związana z naszym krajem. Mysłę o znanych nam wszystkim chociażby z reprodukcji dzieł malarstwa i rzeźby późnego średniowiecza, używanych przez mężczyzn skórzanych cizmach, odznaczających się bardzo wydłużonymi nosami. Były one szeroko używane we Francji i Burgundii, w Anglii, w Hiszpanii, a także w Niemczech, Czechach oraz — choć pewnie w nieco mniejszym stopniu — w Polsce. Na ziemi angielskiej nazywano je od miana ówczesnej stolicy Polski — „crakowes”, „crackowes”. We Francji upowszechniła się zaś inna

ich nazwa, pochodząca od miana Polski — „polaines”, „pou-laines”, oznaczająca raz całe obuwie, kiedy inuzej zaś tylko jego „konczasty” nos. Moda ta rozpowszechniła się już w XIV wieku, pomimo najróżniejszych protestów i głosów oburzenia, jakie podnosiła jej przeciwnicy. Angielski zakonnik będzie koło 1367 roku białad nad tym, że mężczyźni noszą owe konczyste cizmy o wydłużonymi przesadnie palcach, „które zwą się crakowes, a które chyba winny być uważane za diabelskie kopyta, niżli za ozdoby mężów; stąd łatwiej ich wziąć za cyrystów i hullajów niż za baronów, za igrołów niżli rycerzy, mimów aniżeli zbrojnych”. Spowiednicy wypytali penitentów, czy nie skalali się grzechem używania takiego własnego obuwia, sam Włókł pisał, że jest ono istnym dziełem diabelskim, inni dopatrywali się w nim oznaki gorszącej pychy, inni wreszcie gromili nową modę za to, że miała ona ponoć zacierać ową „naturalną” różnicę pomiędzy szlachetnie, a nisko urodzonymi — moda zaś ogarniała coraz to szersze kręgi mężczyzn. Konczyste obuwie jeli już nosić duchowni, modni rycerze przywdziewali zbroje, w których metalowe stopy upodabiano kształtem do długich ciżem. Zakazy wciąż się mnożyły, rzadko jednak z wielkim skutkiem. Były to bowiem czasy, kiedy ustawowo walczono ze zbytkownymi strojami bogatych mieszczan, wydając dokładne przepisy, kiedy, kto i jak ma się prawo ubierać, w zależności od swego stanu, aby nie upodabniał się do osób wyższego urodzenia, szlachty i arystokracji, reglamentowano liczbę gości na mieszczkańskich weselach, ilość i rodzaje potraw i trunków, nie mówiąc już o tak lubianym w ówczesnych wiekach biżuterii. Ograniczenia tego rodzaju były powszechne we Włoszech, we Francji, Anglii, i innych krajach, z terenu Polski znane są ustawy przeciwko zbytkowi, jakie wprowadzono w średniowiecznym Krakowie. Owe zakazy dotyczyły też czasem interesujących nas dziś „konczystych” ciżem. Francuski kronikarz z XIV stulecia Jean Froissart informuje, że król Francji nakazywał pod przysięgą obcinanie owych zbytnio długich nosów — ciżem, ale jak świadczy ikonografia i ówczesne źródła pisane, w niczym nie wpłynęło to na zahamowanie postępu mody. Ustaliło się jednak z biegiem czasu — w wyniku zarządzenia władcy tego kraju — że ludzimi niskiej kondycji wolno było we Francji nosić buty o nosach nie dłuższych niż pół stopy, „bogatzi i godniejsi” — a więc szlachta — mogli używać obuwia o nosach długości jednej stopy, księża — dwóch stóp lub nawet więcej, „co było już najbardziej absurdalne i najśmieszniejsze do oglądania”. — Jak pisał dawny francuski dziełopis. Podobnie uregulowano tę sprawę w Anglii. Według edyktu króla Edwarda IV z 1463 roku, każdy szewc mógł dla ludzi niskiego stanu zrobić ciżmy ze szpicami nie większymi nad dwa cale, w przeciwnym wypadku płacił wysoką grzywnę i groziła mu... kłatwa kościelna.

Jak można było nosić obuwie takiego kształtu? Współczesne źródła pokipiwały z trudności, jakie modnie przybrani młodzieńcy musieli pokonywać np. podczas tańca; często, kiedy trzeba było gdzieś iść, musiano odrywać owe nosy od butów. Tak zdarzało się nieraz na wojnie. Krótsze szpice wpychano od środka mchem czy pakulami tak, aby zachowywały właściwy kształt, niekiedy ozdabiano, nazywano kiejnotami itp. Dłuższe przyklejano do gołen lub kolan, czasem do cholewek, za pomocą srebrnych łańcuszków. Niekiedy koniec wygiętego szpica uwieczano specjalnym zdobnym okuciem, nierzaz w formie galki. Poruszanie się w tego rodzaju obuwie, zwłaszcza w „arystokratycznych” ciżmach o olbrzymich nosach, było nie lada sztuką.

Modę tę uważano na Zachodzie za obcą, polską, jak świadczą o tym nazwy ciżem — francuska i angielska. W Anglii często łączono jej pojawie-

nie się z osobą niepopulareną, dawniej, że poglądu o polskim pochodzeniu tej dziwacznej mody to „wymysł bezpodstawny”, bowiem długie ciżmy „u nas nie znalazły rozpowszechnienia, skoro pojawiły się z zagranicy” (W. Eljasz-Radzikowski). Okazuje się jednak, że tego rodzaju obuwie dobrze znano i w naszym kraju, a również i tutaj pojawiły się zakazy jego używania i to bardzo wcześnie. Bo od XIII stulecia, ponawiane aż po wiek XV, jak słusznie zauważyła autorka jednej polskiej rozprawy poświęconej temu zagadnieniu — V. Włoch. Nie znajdujemy też potwierdzenia innej domysły, mianowicie ten, iż w Anglii „zwano ciżmy z nosami „crackowes”, to tylko może dowodzić, iż takie obuwie noszono w Krakowie wyrabiano i do Anglii sprzedawano”. O eksportie polskim w XIV — XV wiekach wiadomo stosunkowo wiele, nie jednak nie słychać o wywozie butów. Jednakże artykuł nadzwyczaj często wysyłanym przez Polaków do krajów zachodnioeuropejskich były najróżniej skóry i futra. O ich eksporcie z Flandrii powi zapisek z XIII w. — w późniejszym okresie eksport ten cwałował Niemcy, Flandrie, Vłochy, docierał do nadreńskich Kolonii, na jarmarki do Lwowa, do Szwajcarii itd. Gotowe natomiast luksusowe wyroby skórzane Polacy często sprzedawali, chętnie z Norwimbergi, lub za jej pośrednictwem z innych regionów. Ilustracją może tu być historia szwajcarskiego przedsiębiorcy Hansa Fränki z Berna (ok. 1410—1478), który w młodości ucząc się rzemiosła zawiązał m. in. w swej wędrówce i o Kraków, później zaś doszedł do sporęgo przedsiębiorstwa rymarskiego w swym kraju i prowadził interesy handlowe m. in. z Czechami, Polską i Prusami. Skóry i futra, które w XIV — XV wiekach szły na Zachód z ziem polskich nie zawsze były polskiego pochodzenia — często sprowadzano je z Rusi, a zwłaszcza z Węgier. Echa tych stosunków gospodarczych znalazły swoje odbicie między innymi w języku francuskim tych czasów. Otóż to samo słowo „polaine”, „poulaine”, które oznacza „konczyste” ciżmy, znaczyło wówczas także „futro z Polski” bądź „skóra z Polski”. Potwierdza to liczne zachowane rachunki, jak np. pochodzące z lat 1393, 1409, 1419 oraz wiele innych tekstów. Termin ten w podobnej formie i takim samym znaczeniu znalazł nawet ówczesna francuska łacina. Otóż takie właśnie podwójne znaczenie tego samego słowa nasunęło wielkiemu leksykografowi francuskiemu E. Littré domysł, że od nazwy skóry, z której robiono „dziołki” ciżem powstała nazwa tych długich nosów, a za nią i całego ozdobionego nim obuwia. „Polskich butów” wedle wszelkiego prawdopodobieństwa z Polski nie eksportowano, na pewno zaś Zachód sprowadzał stamtąd surowiec, z którego je wykonywano. Ich „polska” nazwa mogła więc pochodzić od polskiego materiału, użytego do ich wyrobu. Ale to tylko domysł.

Modę noszenia tego rodzaju ciżem uważano była — jak wiemy — za obcą, polską. Podobne obuwie wcześniej — może nawet wcześniej niż gdzie indziej — znano i wprawiano w nasz kraj, choć nie nadawano mu tutaj najbardziej przesadnych kształtów. Nie jest tedy wykluczone, że popularny u obcych pogląd nie jest bezpodstawny: dziwaczne „konczyste” ciżmy meskie, które tak karierę zrobiły w Europie XIV—XV wieku byłyby być może naszym rodzinnym wkładem do europejskiej mody. I tak choć raz znalazłbyśmy w enooc średniowiecza jakiś rawnanż... za czasy znacznie późniejsze.

HELENA
I JOZEF
BONIECCY

Mikro-
portrety



Mają za sobą pięćdziesiąt jeden lat wspólnego życia, w tym roku właśnie dostali obaj medale za długoletnie małżeństwo. A znają się od dzieciństwa z Uniejowa, choć losy politycy ich dopiero podczas pierwszej światowej w Niemczech. Tam przyjechał na świat pierwszy syn. Następnie dzieci rodzili się już w Polsce: jeszcze pięciu synów i dwie córki.

Taka gromadka nietawo było wykarmić. Józef Boniecki nie miał zawodu, miał się różnych fachów. Najdłuższy pracował jako woźnica. Żona pomagała mu zarabianiu na chleb zyciem.

W czasie drugiej światowej pięciu synów Niemcy wywieźli do Rzeszy. Jeden z nich ożenił się tam, jak niedługo rodzice, do kraju wrócił z żoną. Innych synów także los oszczędził na obczyźnie przeżył, po wojnie przyjechali do Łodzi. Tylko jeden został na Zachodzie, ożenił się z Angielką, z tym synem mają kontakt listowy.

Dzieci pokonywały szkoły, potakiwały własne rodziny. Najstarszy syn państwa Bonieckich ma własną takówkę. Drugi pracował przy budowie rurociągu Pilica — Łódź, trzeci pracuje jako urzędnik. Mają już własne dzieci.

„Zaraz” — obiecał sobie w myśl Heleny Bonieckiej — „mam 10 wnuków i cztery wnuczki. Najstarszy ma 22 lata, a najmłodszy 7”.

Przy tak licznej rodzinie trudno się razem zebrać, trzeba odpowiedniego pomieszczenia. Ale na złote gody zjechał się dosłownie wszyscy. Dzieci, te dorosłe już dzieci zczyli sobie, aby rodzice po pięćdziesięciu latach politycy się znowu przedpartem, więc państwo Bonieccy stanęli ponownie jako państwo młodzi. Właściwie nie stanęli, tylko siedzieli w fotelach.

Ostatnio pan Józef zaniemógł, przebywa w szpitalu. Cała rodzina z niepokojem czeka na jego powrót. My też życzymy panu Bonieckiemu szybkiego powrotu do zdrowia.

można sądzić, że nie był odizolowany od świata i że jego prace interesowały jakieś kręgi ludzi. Postać mistrza Demetriusza, wydobytą z dawnego rękopisu pozwala nam przesuwać o niemal sto lat wstecz początki badań alchemicznych na ziemiach polskich. W XV i XVI stuleciach Kraków będzie sławny w całej Europie z tego, że kwiłta w nim alchemia. Należała ona wówczas do nauk nie tylko „tajemnych”,

ale przede wszystkim zakazanych i prześladowanych przez władze kościelne, potępianych przez papieża, o czym dobrze wiedzieliśmy w Polsce. Pomimo to trudności znaleźli się tacy, którzy się jej poświęcili. Głośno było o tym w świecie i pewnie dlatego legenda kazała swemu bohaterowi, doktorowi Faustowi, użyć się alchemii nie gdzie indziej, tak właśnie w Krakowie. Ale to już całkiem inna historia.



Rys. W. Kondek

Święta na wsi

W przedświąteczny czas wsie nasze ukazują obrazki z filmowego neorealizmu włoskiego, a niektóre obiekty jak niezgorszy bazar się prezentują. Po praniach maglowanie odchodzi: gdzieś gdzieś domowym sposobem, na stole, przy użyciu warka i zębatej deski; gdzieś znów w maglu korbą pokraczanym. Ciągła przez wsie pielgrzymki z tobołami na plecach, nierzadko chłop się gnie pod ciężarem, a żonka go z tyłu popędza ochotnie. Napelniają się łazgotami sklepy, kłótnie i przezwiska leca, obrazy śmiertelne wynikają, jako że maszupki te wiejskie sklepiki, nie-możebne w nich załoczenie, a naród do miejskich kolejek niegrzywyki. Najwięcej zaś idzie starania o to wonne przyprawę, a już najbardziej zaciekle walki wra o drożdże, które kochany handel w takiej masie dostarcza, że przed Wigilią brakuje.

W tym czasie rusza do wsiach, na rowerze czy pieszo, z czarna walizką, organista. Niesie w ludzkie progi tradycyjny opłatek. Większe i mniejsze pączuski sprzadaje, w zdobnej, kolorowej przepasce, w mniej barwnej i chędogiej też. A jest to zazwyczaj staruszek posiłowy i słabosilny, bo nie masz zbyt chętnych młodzi do podjęcia tego zawodu, choć kościół się u nas nie zamyka, jak szeregają różne szczekadki z Wólnej Europy.

2.

Wczesna zima niesie ulgę w robotach gospodarskich i sporo czasu wolnego daje, a że do świąt i tak trza się suto przygotować, więc aki czas najlepszy do urządzania chrzcina i weselisk. Gęsto spadają młodziki z ambon, z wola ojcowską, lub nie, gdy coraz mniej ona się liczy, albowiem ziemia nie wiąże tak silnie jak niegdyś.

W takich to chałupach, gdzie największa pobijochka się szwakuje i sielna wyżerka, najwężsiej się gotują do przyjęcia Bożego Narodzenia. Pan młody wozzi furka skrzyneczki z „rozmowną”, też przyszy rzeź czyni w inwentarzu, kaszany i kielbaski sposobi. Mili-cjanci, którym nielano było dotrzeć do odległych wsi, dziś zmuszeni są do uciążliwych wędrówek. A z tej to przyczyny, że w wielu zagrodach bucha o święcie lament srogi, w całej zaś wsi zamieszanie i domsty powstają. Złodzielski się używa na ludzkiej zasobności i nieostrożności. To pierzynke ściągają z pło-tą, to kurki przetrzebia, gdzieś znów świnki cicheem wynoszą, czy też łufcikiem od piwnicy dosycha-jące kielbasy sprytnie z drążka po-ściągają. Tak i ciągną przedstawi-ciele władzy z psem gończym, by stroskanym gospodarzom utracone mienie przywrócić.

Nieczęsto ow zamysł spełniają, ponieważ czworonożny Holmes pa-rafialny mniej kształcony niż de-tektywy miastowe. Bywa, iż wy-rwie psisko do przodu, przewodnika obali, z łbem zwieszonym mknie chyżo, niby po śladzie, a okaże się, że w zagajniku polnym sukę do-padł w jamorowych zamiarach.

Na dobry tydzień przed Wigilią targa parafialny kwik niemożebny, albowiem zbiorowe świniobicie się dokonuje. Wywodzi się spasne wie-prze na podwórka, gdzie rzeźnik uważnie rozmach bierze i w łeb toporzykiem mierzy; czasem nie-zbyt celnie łupnie, dopada powalo-

nego świniaka i do ciosu w serce się gotuje, gdy ów wieprz, zamro-czony aby, życia nabiera, wyrwa się spod mordercy swego i gna za-pamiętałe w sad i pole. Rzeźnik z koziorem w łapie sunie ogniście na czele całej niemal rodziny w szalo-nym pościgu, dopadają nieszczęśni-ka, w podwórzu przyganiają i ce-remoniał powtarza się. Leja się ga-ry wrzacei wody na cielsko uśmier-conego, zeskrobuje się szczecinę ze skóry, by za tylne nogi podciągnąć wierzba do belki, gdzie dokonuje się powoli jego rozkład na czynniki pierwsze, w czym cała rodzina ochotnie pomaga. Parkocze w ko-tle kasza i łeb świniński, czyszcze-nie flaków odchodzi, a piekci se używają, co niemiara. W wyczysz-czonych balach bucha para zgoto-wana kasza, stygnie powoli. Potem rzeźnik zawią rekawy, miesza wszystko, juchy dolewa, doprawia różnościami. Smakuje surowizną wo-spodni, krzywi się, że mało pierz-na, gospodarz na brak soli narzeka, wymyślają se pospólnie, każdy swego dochodzi, że nieraz widzie kaszana, od której psy z całej wsi można wytruć. Ale naj-częściej jest ona znakomita, kocha-na, wiejska kaszanka, za którą naj-lepsze frykasy był oddał. I kielba-sy przepyszne wyrabia się w spo-rej maszynce. Uoycha rzeźnik w gardle aparatu miesiwo, korbą kre-ci, nabija się naciągnięty na bla-szana rurkę flak, wije weżem upchanym solidnymi skwarami, czosnkiem i przyprawami. Po obej-ściach dymia paleniska, warza się wyroby w kotłach, podwędzają w łańcowym dymie. Gdzieś znów w sadzie, w beczce bez dna, na ceglach ustawionej, szynki nabie-rają aromatu. Z racji owego świni-obicia dzieciaki mają uciechę, bo bacharzyny, znaczny necherze świni-skie, dostają. Nadmuchiują je, naj-lepiej przez szklaną łufkę ojców-ską, podesuszają przy kominie i za-bawa gotowa! Niech lno chłopaki przydybą kofa, co gołabki podu-sza, to już marny jego żywot. Gnać będzie z dudniacym u ogona be-cherzem, aż mu się gdzieś w po-lu urwie kocie serce, strachem i omdleniem wyczerpane. Jak wi-dać — rzeźnik w przedświątecz-



Rys. W. Kondek

nej batalii najpocześniejsze miejsce zajmuje, tylko trzeba z nim deli-katnie załatwiać. Tym, co na sprze-daj wyrób robią, więcej wody na-szarpocą, by kielbaski były cież-sze, zyskowniejsze. Wódki mu na-leży dać, jeśli lubi, bo inaczej zemści się srodo. Jednym, co skani byli, a weselisko urządzali, nie po-żałowal owego białego proszku do przyprawy kielbas, że im sielnie wynawozili weselnicy całe obiekty, gdyż do wychodka nie zdążali. A gdy już zagrycha w różnych po-staciach gotowa — o napitku się myśli. Po polsku, do gospodarstu się go sposobi: przynajmniej półli-terek na głowę (nie wliczając nie-mowląt), gdyż przy kaszance nie-mie się nie sposób — kasza ponoć go-rzała nasiąka, która mniejszy przy-stęp ma wtedy do mózgowicy.

3.

Mamy już jadło i napitek, lecz brakuje nam rzeczy nie do kon-sumowania, świątecznego symbolu nam brakuje, tego, co nastrój two-rzy — zielonej, polskiej choinki, bez której nostalgia drze rodaków w tropikalnych krajach. Pachnace-

go świerku, delikatnej, wiotkiej jodełki nie zastąpi na wsi byle ja-ki plastikowy dziwoląg. A że do miasta daleko, a las blisko, więc się naród własnym sposobem za-opatrzuje w świąteczne drzewko. Zmawiają się chłopaki po chałupach, ciemna noca lub o świcie na choinkowe wyprawy ruszają, lecz niewiele zdziałać mogą w po-mroce, więc na dzieńne niebezpie-czeństwo się narażają, bo zyskow-ny jest interes, gdy strachliwym, co nie rusza w las, upchnie się niedługo drzewko. Jedni tną drze-winy, inni w odwodzie pozostają i, gdy gajowy nadchodzi, umykają, wabia go do siebie, by kumpie mogli spokojnie łup zdobyć. Ob-ciążeni zieloną gacią, chwilkę, z ostrożną przemysłowością, mie-dziami, pod stodołami, by do obej-scia wpaść niepostrzeżenie. Nie każ-dy wraca cało, nazwijmy to pro-sto — ze złodzielskiej wyprawy. Niejednemu ze strachu portki za-waniają niemiłe, inny, jako że w nerwach rabie wierzchołek, pałuch sobie zaciap, że potem wstydył eś będzie iść do dziewczuch z ob-wiazaną łapą, i niezgorsze ubytki w lasach się uczynią, lecz cóż my, Polacy, dla tradycji nie robimy...

W przedwigilijny dzień szorowa-nia się zaczynają, bo należy przy-mować owe święta w czystości du-cha i ciała.

Od samego rana następnego dnia dymią kominy, wonne zapachy się roznoszą, gdyż czas pieczenia na-stał — przy wcześniejszym wy-pieku postarzałoby się ciasto. Ażeby najlepiej wykorzystać ciepło w piecach nagromadzone, najpierw wsuwa się chleby, co w dziejach sporych wyrastały. Ze względu na brak drzewa ludzie nie pieka czę-sto chlebów — kupny ze sklepu, bar-dziej ołahci się. Toteż w ten jedyn-y czas odżywa smak wsi polskiej w solidnych bochnach, pachnących z białobrunatną, spekaną skórką. Pod pierzynami wysiadują wiel-gachne mięchy z ciastem placko-wym, a co rusz gospodni bacznie podgląda, czy się też „rusza”, czy nie. Podgrzewają się brytfannę, tłuszczeniem wysmarowane, kruszonke się sposobi i mak. I jest przy tym użerania bez liku z dzieciarami, które to ciasto podsukubna, to słod-kości jakiejś siorbna, to znów ma-ku podsłodzonego w garść drapna. Sprytnie juchy wymykają w pole, w oplotki i na drogi, wywijają się bystro spod mategożnego pociągła, bo wiadomo, że jak w Wilie lunt-y oberwiesz, to przez cały rok fry-cowa cię nekać będzie solidna. Je-śli zaś idzie o ginać wierzenia, to jeszcze jedno gdzieś się utrzymu-je, zwłaszcza u starszych gospodyń. Te, mające krowę cielną w obo-rze, nie przypuszczają chłopu do obej-scia. Jest bowiem w zwyczajach, iż chłop, który pierwszy najdzie obej-scie z cielnym bydleciem, sprawi, że bysiek będzie; gdy zaś kobieta wstąpi pierwsza — cieliczka się upłynie. Wracamy jednak do placków, albowiem wyrosły nieźle, już w brytfannach leżą gazetami nakryte i do sabatnika im czas. Rozpoczynają się wędrówki po wsi, jako że w niewielu domach owe sabatniki zostają — w nowych cha-łach nie buduje się takich pieców — niemodne. Matki i dzieci dy-gują z ciastem w mdlejących rekach, bo równo trza dzierzyc, by się nie wyłało. Niejedna narzrze-czy i od nowa będzie zaczynać nieś, gdy silnie w drodze chłodem po-wieje i ciasto kłapnie. Innej znów dzieciaki wychlana świąteczny przysmak, gdyż marznąc mżawka silna stuczdydne czyni i wyko-pyrtnąć się łatwo. — A gdy się sora gromadka u sabatnika ze-jdzie, czekając na swoją kolej, za-gadają się kobieciny i wykipi cia-sto, wykipi...

Gdy wreszcie narzadzanie stój-kości skończone, biorą się panie domu do rzychtowania obłeczenia. I w każdej chałupie żelazko po stole śmiga, mężowskim i synow-skim koszulom świątecznego blich-tru nadaje. Oj, natura się wiejska kobieta, w te czasy, że nie dał Bo-że...! Dopiero na końcu przystępuje do podrychtowania własnego wy-gładu. Nie ma czasu na wysady-wanie w kolekcje u fryzjera, więc domowym sposobem fryzurę musi upiękzać. A, że wiele chętaich do tej czynności przystępuje naraz, więc nie staje koleczków do za-kroczenia. Wtedy chłopcy zapędzane bywają do żmudnej roboty i na poczekaniu koleczki misternie wy-dubują. W nerwowym pośpiechu kuma kumie nazybyt hojnie pła-ny utrwalaczem chłusnie, że srod poskręcanych pierścionków czerw-nej siłki niby skalp indyjski. Co innego dziewczyny! Te se nie za-lują w zdobności głowy i miasto-wym na krok nie ustępują!

Po południu wiecza, a wigilijna, znaczny jej przygotowanie, usurwa na plan dalszy inne czynności. Nie jest ci tuż taka bogata, jak to nie-gdyś bywało. Ryba jednak oś mu-si, więc gdy karpiła nie stanie, to choćby ten śledź w macie obtoczony na oleju się smaży. Wywar ze śli-wek lub guszek też musi być.

W którym domu starsza kobieta zarządza, tam jeszcze znajdzie-



Mikro-portrety

JÓZEF BIELICKI

Kilkakrotnie powtórzył: „Nie rozumiem, co to jest najgor-sze”. Takim tonem, jakim inni wtrącają nie nie znaczące słowo „nieprawda?” albo „panie dzieciu”. Ale starszy og-niomistrz Bielicki wiedział, co mówi. Kiedy opowiadał, tro-chę drżały mu ręce.

Nie, nie jest żołnierzem, jest strażakiem, choć to trochę podobna służba. Próbowal także innych zawodów. Był, jak jego ojciec, cieślą. Potem siedem lat pływał na okręcie we Francji, krótko pracował również jako górnik już po wojnie, w Polsce.

Strażakiem jest od trzydziestu pięciu lat, troszkę więcej niż połowę życia. Zaczynał jako ochotnik, w czterdziestym piątym wstąpił do zawodowej straży pożarnej. Wybrał moment niezbyt dobry, często wtedy wybuchały pożary, nie było ani jednego spokojnego dnia, ale nie żałuje tamtej decyzji.

Teraz rzadziej wyjeżdża się do gaszenia ognia, ale pracy mu nie ubyło. I mniej może naraża się życie, tylko nerwy szarpie sobie człowiek na strzępy. Jeździł ratować powo-dzian, jeździł podierać walące się budynki i zdejmować balkony, które grożą zawaleniem. I wiele razy wyjmował już spod tramwaju przejeżdżających ludzi.

„Nie rozumiem, co to jest najgorsze” — powtórzył znów, jakby chciał wbić mi to w pamięć. W 1932 roku wysiedlo-no go z Francji jako uciążliwego Polaka. Miał dwie córki, Niemcy wywieźli je na roboty do Rzeszy, nie wróciły, słuch po nich zaginął, poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Przekył tyle samo, co inni, nie uważa się za bohaterą. „Jak jestem w akcji, to patrzę, czy mam drogę odwrotu”.

Teraz ma już 66 lat, dostał Srebrny Krzyż Zasługi i parę innych odznaczeń. Niedługo przyjdzie mu rozstać się ze służbą, przechodzi na rentę. Najgorsze? Wzrusza ramiona-mi. Na takie pytanie strażak nie umie znaleźć odpowiedzi.

barszcz z uszkami, kapuste z grochem, makielki, owe pierogi z kapu-sta, czy inne jeszcze smakowitości. I nie ma już żadnego podcie-łania stołu — przemija, zmienia się czas... Gwiazdy pierwszej małe któ-ry też upatrjuje. Może dlatego, że niebo w nawałe chmur skłębione i dostrzeć trudno...

Rodziny gromadzą się przy sto-lach, dzieła opłatkiem, serdeczno-scią się dzieli. I tzy rozczulenia popłyną, bo to nieraz maż z żoną się pogodzi, sasiad sasiadowi winy przebaczy, jako że i w kilka ro-dzin się zbierają. Tyle, że zapomi-ni się czasem o tych samotnikach, co to ich dzieci lubo krewni w da-lekie strony odbieżeli, a którzy w samotności iż goryczy się karmia... Naród zgłodniały, wielu bowiem w Wilie postu przestrzega, zapamięta-le się do jadła dorywa; ten i ów kofa se łupnie, więc go serdecz-ność i nastrojowość jeszcze bar-dziej obejmuje. Po tym akcie inno-wacja idzie — czego niegdyś na wsi nie bywało. Oto wędruje po obejściach Dziadek Mróz, za Świę-tego Mikołaja dziś przebrany. Nie niesie dziatom fikuśnych zabawe-czek, jak to samoloty, zółwie zdal-nie sterowane czy samopędne kolejki elektryczne. Po gospodarstwie se dziadek przemyslał podarki i prak-tyczne upominki daje: a to koszu-lę, skarpety, rekawice wełniane o jednym palcu, ale łyżwy i sanki też da. Rozblyskują świetlicie choink-i, w świeczki lub żarówki koloro-we ubrane, koledy płyną z każdej chałupy, aczkolwiek żywe głosy niemiara pociągają, chórem Stuli-groza z radia się wystugując. Po-tem poniekiedy dziadek lub star-szawy tatuś cicheem wyniesie ka-walatkę opłatka dla bydlat, gdyż młódz, w szkołach światopogłado-wo „zdemoralizowana”, prześmie-wa się z takowych poczynach. Czas do wyjścia na pasterkę wypełnia dziś oglądanie programu w tele-wizji. Lecz później, polami, po-śród mroku ciągną do odległych kościołów. W dniu tym i ksiądz cieplejszymi słowami się wypowiada, a kontakt z wiernymi, którzy na dworze wystają, nowoczesność mu pomaga nawiązać — głośniki ra-dioowe. I przywiódłbym owych szcze-kaczy poniekądych z zachodnich pismideł, i pokazałbym im polska pasterkę. Niechby ujrzeli opiewana przez się komunistyczna nietoleran-cję.

W powrotnej drodze huknie so-bie śpiwkie chłop polski, podkro-piona kolacja wigilijna w duszy mu się odezwie, radość świętowania przyszłego wyzwoli...
Najazdrz, czy to będzie mrozek

Seżnieszny, czy duchowa poduchą świat obulony lub zesłotniały dzień grudniowy, leżą wsie w śpiuku słod-kim kołysane, utrudzeniem sro-gim zniemożone. Tylko psiaki po-szczekują dopominając i bydio ryk-nie głodnawo, iż nora karmienia mija. Późnawo ozywają zagrody, dymki modrawe z kominów pocy-nają się wód; warza się śniadania, często gospodni grzankę na maśle i irtsach przyrządzają, a placki, kiel-basy i kaszany poczną z polska ob-fic i niepomierne brzuchy napeł-niać. I znów załudnia się drogi, promienady zastapia, wielgachna re-wa mody się stana. Przewina się szpilki przednie, kozaczki wymyś-lie, spodnie waski i szeroki, ofi-ercki dawne i półbuty zwykłe; ko-zuchy z kapelusami i futra z cy-klisówkami przepłyną, słupki ko-łkowe z czernia futra i bordowym kapelusikiem kontrastują.

A kole południa inaczej drogi się rozewarza i dostojniejszym strojem zagrają. To od przystanków au-tobusowych, tramwajowych i kolejo-wych pociągna watahy synów i cór marnotrawnych; to wracac będą, sutym, sielskim jadłem zwabieni, uciekinierzy, co miastowymi rozko-szami i wygodami nasiąkli. I wró-ca do rodzinnych gniazd, i rzew-nie wspomną pastusze dzieciństwo, że uronia na sterane ojcowskie łdonie...

I nacznie się powszechna degu-stacja świnińskiego cielska pod różnymi postaciami, i odczytanie pom-nażanie radości świątecznej się nacznie. Będzie podufatność wielka, niejednemu krzywdza się przypomi-ni, po czym wyłożenie żalów na-stąpi. Rozgrzani napitkiem, wywa-la się na drogi biesiadnicy w ko-szalach aby, pośmieją się i śpiewka-mi zahuczą. Obejrzą wesela, sko-mentują je prawidłowo; barykadkę wystawia i gorzałkę od młodego wyduszą. Drzwi wychodków poczną trzaskać gęsto, tu i ówdzie tykną się kloniczkami, i cisza — sielska, swojska, anielska... Czasem tylko pusta droga przemknie kremowa karetka, gwoli ciętej rany podczy-cia lub żołądka pompowania nie-złego. Wiem, że komoż tam koł-nał żdziebko w świątecznym opisie, lecz wybaczyć, rodacy, tam chciał serdecznie, wesolo, z przekpinką udaną — wszak z chłopskiego rodu się wywodzi i postępkem też nie grzesze nadobnym. W ów wigilijny i świąteczny czas — podzielmy się dobrym słowem.

Kanał naszych nadziei

„...Łódź, małe miasteczko rządowe, od dwóch lat na fabryki rozmaite przeznaczone. Położenie miejsca tego jest szczególniejsze z wielu względów, znajduje się z całą swoją rozległą okolicą pod obszernym wzgórzem, z którego niezliczone tryszcza źródła. Tych zbieg wód łatwo tak kierowany być może, iż prawie przy każdym fabrykanta mieszkaniu przebiegać mogą dla jego użytku strumienie...”

Tak po lustracji Łodzi pisał w raporcie do księcia namiestnika w roku 1825 ks. Stanisław Staszic, naówczas radca stanu i dyrektor wydziału przemysłu i kunsztu w Komisji Spraw Wewnętrznych Królestwa Polskiego.

Warunki wodne w ówczesnej Łodzi były istotnie korzystne z punktu widzenia lokalizacji zakładów włókienniczych. Wody było dość, była dobra, miękka i, jak się później okazało, starczyło jej na szereg lat. Wprawdzie tylko dla fabryk i fabrykantów, ale to już inna sprawa...

1.

W roku 1821 Łódź zamieszkiwało około 800 obywateli, pięć obwoła. A w niecałe sto lat później, bo w roku 1913 — pół miliona. Jeśli dodać, iż wzrost liczby mieszkańców nie szedł bynajmniej w parze z rozbudową sieci wodno-kanalizacyjnej, o czym sędzić można choćby po tym, co odziedziczyliśmy w roku 1945, można sobie łatwo wyobrazić, w jak bardzo ciężkich warunkach sanitarnych żyli mieszkańcy ówczesnej Łodzi. Aż do wybuchu drugiej wojny w roku 1939 to wielkie, ponad półmilionowe miasto stało odczuwać dotkliwy brak wody i urządzeń wodociagowych.

Wątle strumyki i rzeczki łódzkie — Bałutka, Jasioń, Łódka, Karolewka i pobliski nitkowsky Ner, nie mogły zaspokoić potrzeb mieszkańców rozwijającego się miasta. W grudniu 1920 roku ówczesne ministerstwo robót publicznych zatwierdziło wprawdzie ramowy projekt budowy sieci wodociagów w Łodzi, oparty zresztą na założeniach brytyjskiego inżyniera Lindleya, ale i na zatwierdzeniu się skończyło. W roku 1925 znów wypłynęła sprawa wody dla Łodzi, ale dopiero w dziewięć lat później, w roku 1934, rozpoczęto prace zmierzające do częściowej realizacji planu Lindleya: wywieźć studnie głębinowe usytuowane na peryferiach Łodzi oraz zbudować sieć wodociagową wyłącznie w centrum miasta. Do roku 1939 wybudowano jedną rurociąg magistralny, zamiast planowanych trzech, i ułożono skromniutką sieć wodociagową w „epicentrum” miasta, bowiem pokryła ona zaledwie 5,62 km kw. powierzchni właściwego centrum. U schyłku 1939 roku podłączono do sieci niektóre ulice satelitarne centrum Łodzi. I to wszystko.

W takim, mniej więcej, stanie znajdowały się łódzkie wodociągi, gdy po wyzwoleniu w roku 1945, objął je w posiadanie ówczesny Miejski Zakład Wodociągów i Kanalizacji. Warto jeszcze przypomnieć, iż w latach 1945—55 Łódź była jedynym miastem w Polsce, w którym obowiązywał kontyngent wody dla gospodarstw domowych. W tym też czasie przydział wody na jednego mieszkańca naszego miasta wynosił 80 litrów wody na dobę...

Dla porównania stanu od razu, iż w roku 1965, według stanu na dzień 31 grudnia, wodociąg miejski dostarczał mieszkańcom Łodzi i zakładom przemysłowym, łącznie, 43.722 tysięcy m sześć. wody, przy czym zużycie wody w gospodarstwach domowych wyniosło 20.571 tysięcy m sześć. Z porównania tych liczb łatwo wyciągnąć jednoznaczne wnioski.

2.

W latach pięćdziesiątych, w wyniku oceny krytycznej sytuacji w bilansie wodnym z podziemnych ujęć na terenie miasta, władze miejskie podjęły trudną, ale konieczną decyzję dostarczenia wody do Łodzi z zewnątrz. Z szeregu opracowań, wybrano najbardziej radykalne, mianowicie zaczerpnięcie wody z rzeki Pilicy w okolicach Tomaszowa i doprowadzenie jej rurociągiem do Łodzi. Było to wielkie zamierzenie i bardzo kosztowne, wykonano je w dwóch etapach. Pierwszy rurociąg oddano do użytku w roku 1955. Dostarcza on Łodzi 50 tysięcy metrów sześciennych wody na dobę. Najpilniejsze potrzeby miasta w zakresie wody są więc zaspokojone. Wszelako życie nie stoi w miejscu, budownictwo mieszkaniowe nabiera rozmachu i tempa, powstają jak grzyby po deszczu, coraz to nowe osiedla, zwiększa się powierzchnia miasta (na przestrzeni lat 1945—1966 aż czterokrotnie), rośnie produkcja przemysłowa, powstają nowe zakłady pra-

cy. I wkrótce wody będzie znów za mało. Władze miejskie podejmują decyzję o budowie drugiej nitki rurociągu Pilica — Łódź. W listopadzie 1963 roku zostaje on oddany do eksploatacji.

Jest to niezaprzeczalny sukces naszych władz terenowych i wszystkich instytucji związanych z budową tej pierwszej inwestycji wodnej, największej na przestrzeni całej historii Łodzi.

3.

Pytam dyrektora Zjednoczenia Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej, pana magistrę Czesława Krutową, czy sieć wodociagowa pokrywa dziś całe miasto?

— Nie, niecałe, ale obejmuje wszystkie rejon miasta o intensywnym zabudowie. Ujmując rzecz ogólnie, można powiedzieć, iż w zasadzie sieć wodociagową wybudowano już na obszarze miasta zamkniętym koleją obwodową. W niektórych punktach nawet przekracza ona tę linię, na przykład na południu, w rejonie ulicy Rzgowskiej, a na zachodzie miasta — w rejonach Karolewa, Nowego Złotna, Teofilowa. Obszar miasta objęty zasięgiem sieci wodociagowej wynosi ponad 65 kilometrów kw. Są jednak rejon, do których dotąd sieci nie doprowadzono, a które posiadają trudne warunki zaopatrzenia w wodę. Niekiedy konieczny jest dowóz wody beczkowozami. W ogólnych ramach postępującej rozbudowy sieci wodociagowej, będzie ona doprowadzana i do tych rejonów Łodzi.

— Panie dyrektorze, dlaczego nasze władze terenowe podjęły decyzję budowy wodociągu Sulejów — Łódź? Czyżby wody znów zabrakło?

— Decyzję tę podjęto w wyniku analizy potrzeb miasta, które — już w najbliższych latach — dyktują takie między innymi czynniki, jak: szybki rozwój budownictwa mieszkaniowego o pełnym standardzie wyposażenia w urządzenia sanitarne. Z tego też powodu zużycie wody w nowych mieszkaniach jest wyższe, niż przeciętne. Dalej, konieczność zaopatrzenia w wodę złat na do pięć rejonów dotąd pozbawionych sieci wodociagowej, wzrost zapotrzebowania na wodę w przemyśle zarówno w wyniku jego planowanego rozwoju, jak i wskutek pogłębiających się trudności w poborze wody przez przemysł z ujęć własnych. W tej sytuacji nasze władze terenowe ustaliły dalsze kierunki zaopatrzenia miasta w wodę i w roku 1965, przy poparciu władz centralnych, powzięły decyzję o wybudowaniu trzeciego wodociągu Sulejów — Łódź.

— Kiedy podejmie się prace budowlane?

— W roku 1969. Obecnie, już od szeregu miesięcy, trwają prace dokumentacyjne w terenie i w pracowniach Biura Projektów Budownictwa Komunalnego. Przewiduje się, iż zakończenie budowy nastąpi w roku 1974. Dodam jeszcze, iż założenia budowy wodociągu przewidują, iż w roku 1975 zużycie wody na jednego mieszkańca Łodzi wyniesie 300 l sześć. na dobę, wobec 112 l sześć. w roku 1963.

4.

Wodociąg Sulejów — Łódź obejmuje, najogólniej rzecz biorąc, zbiornik wodny na rzece Pilicy, zamknięty kanał, który transportuje wodę ze zbiornika do stacji uzdatniania wody pod Łodzią oraz inne urządzenia wodociagowe. Ten mikroopis nie daje, rzecz prosta, wyobrażenia o ogromie tej nowej łódzkiej inwestycji. Podam więc, iż na przykład zbiornik na rzece Pilicy, utworzony przez wielką zapórę spiętrzącą, będzie wielkim jeziorem o pojemności ponad stu milionów metrów sześciennych wody i powierzchni 2500 hektarów. Projekt przewiduje, iż wykorzystają się go dla celów rekreacyjnych.

Perspektywy? Zakłada się, iż po wybudowaniu i oddaniu do eksploatacji pierwszego etapu wodociągu dostarczy on Łodzi wiele tysięcy m sześć. wody na dobę. W perspektywie, po zakończeniu II etapu budowy wodociągu, liczba ta wzrośnie. Koszty tej wielkiej inwestycji zamkną się w granicach około 1,4 miliarda złotych. Interesujący drobiazg: w trakcie robót ziemnych wykopie się ponad 2 miliony 400 tysięcy m sześć. ziemi!

Aktualny projekt budowy wodociągu wybrano spośród kilku wariantów, których opracowanie wymagało wyłożonej pracy bardzo dużego zespołu projektantów. Wariant ten, na temat którego wypowiedzieli się również autorzy tezy naukowej, precyzyjnie optymalnie korzystne rozwiązania techniczne, wyróżnia się prostym układem funkcjonalnym, ma przy tym niebagatelny walor ekonomiczny — jest najmniej kosztowny w wykonaniu. Zrealizowanie budowy według tego projektu spowoduje również stosunkowo najmniejsze straty w areale gruntów rolnych, a zatem i niewielką liczbę odszkodowań wywłaszczeniowych, mniej skomplikowanych kwestii prawnych i proceduralnych. Wspomniany wariant projektu, przedłożony przez władze partyjne i administracyjne miasta, został zatwierdzony przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów.

5.

Prace projektowe wodociągu wykonuje Pracownia Technologiczna Biura Projektów Budownictwa Komunalnego w Łodzi, kierowana przez mgr inż. Mieczysława Badziaka. Do prac technologicznych wprężono wielu specjalistów, BPBK. Nie przesadzę, jeśli powiem, iż gros pracowników Biura pracuje nad rozwiązaniem problemów budowy wodociągu. Jest to zespół ogromny. Bo też i przedsięwzięcie jest ogromne. Używając terminologii matematycznej, można by określić problemy tej inwestycji, jako równanie o wielu niewiadomych. Tych niewiadomych jest mnóstwo. Wyszukuje się je skomplikowaną metodą kolejnych przybliżeń i analiz porównawczych. Tylko ta droga prowadzi do optymalnego rozwiązania.

Obecne stadium prac jest najtrudniejsze, bowiem wymaga nieustannego podejmowania decyzji, dotyczących najważniejszych elementów budowy wodociągu, praca niezwykle skomplikowana, wyczerpująca nerwowo, psychicznie i fizycznie, wymagająca pełnej koncentracji uwagi, precyzji, sumienności i wielkiej odpowiedzialności. W podejmowaniu decyzji trzeba brać pod uwagę, a równocześnie i rozważyć, mnóstwo elementów technologicznych i administracyjnych, ponieważ decyzje są wiążące i muszą się opierać na konkretnych. W samym centrum tego wiru spraw znajdują się — mgr inż. Mieczysław Badziak i generalny projektant wodociągu mgr inż. Zdzisław Wlazłowicz. Mówiąc jak najbardziej lapidarnie, inżynier Wlazłowicz steruje pracą w zakresie technologicznym; kto, co, kiedy i gdzie ma robić.

Obok generalnego projektanta, każdy zakres pracy technologicznej ma swego głównego projektanta. I tak na przykład głównym projektantem obiektu ujęcia wody i przepompowni jest mgr inż. Stanisław Klepczarek, kanału — mgr inż. Józef Baczynski, stacji uzdatniania wody — mgr inż. Zygmunt Mikuta. To w zakresie technologicznym. Natomiast głównym projektantem części architektonicznej i budowlanej wodociągu jest mgr inż. arch. Mirosław Rybak, elementów urbanistycznych — mgr inż. arch. Henryk Wachowiak, części energetycznej — mgr inż. Grzegorz Frackiewicz i wielu innych. Wskazuje to na szeroką skalę specjalistów różnych branż technicznych, wprężniętych do pracy nad budową tej miliardowej inwestycji.

6.

Pragnąc uniknąć pomieszenia pojęć, wyjaśniam, iż określenie „wodociąg” oznacza całą inwestycję — kanał i wszystkie urządzenia z nim związane, więc zapórę wodną na Pilicy, zbiornik wody, sam kanał, stację uzdatniania wody itd.

Na jakim etapie znajdują się prace związane z budową wodociągu? Dobiegła końca opracowanie dokumentacji geodezyjnej. Mówiąc prościej — sporządzanie map, na które z wielką dokładnością nanosi się wszystko, co tylko znajduje się na trasie wodociągu. Wiele budynki mieszkalne, lasy, grunty rolne, mosty, wznieśienia itp. Jest to mapa układu topograficznego terenu budowy, wykluczająca wszelkie niespodzianki, na które mogłyby się natknąć budowniczowie wodociągu. Analiza tej dokumentacji spowodowała tu i ówdzie zmiany w podjętych decyzjach technologicznych.

W pełnym toku znajduje się opracowywanie dokumentacji geologiczno-inżynierskiej, czyli, inaczej mówiąc, badanie warunków i nośności gruntu. Bardzo ważny zakres pracy, bowiem umożliwiła podejmowanie właściwych decyzji, dotyczących samej budowy wodociągu. Z dotychczasowych opracowań wynika, iż teren jest dość trudny i, w związku z tym, z pewnych lokalizacji trzeba się było wycofać.

Trzeci zakres prac, który przebiega równolegle z tamtymi, to sporządzanie dokumentacji hydro-geologicznej, czyli ustalanie warunków wodnych i możliwości zaopatrzenia w wodę poszczególnych obiektów, leżących po obu stronach przyszłego kanału.

Oczywiście, wykonuje się również całą masę innych prac badawczych, jak np. badania technologii wykonania samego kanału, badania materiałów budowlanych, prace badawcze nad ustaleniem metod uzdatniania wody, a nadto, serię prac o charakterze ekonomiczno-badawczym, które dotyczą sprzętu budowlanego, materiałów, transportu kolejowego i drogowego, baz przeładunkowych itp. itd.

Prace badawcze odbywają się na tak szeroko zakrojonej skali, iż biorze w nich udział kilka instytucji badawczo-naukowych w Łodzi i w innych miastach Polski. BPBK nie byłoby w stanie wykonać ich wyłącznie własnymi siłami.

Praca zespołu projektowego przebiega w toku nieustannych dyskusji, gdyż szczegółowe analizy poszczególnych dokumentacji determinują nader często nowe propozycje technologiczne. Należy je rozpatrywać i przyjąć lub odrzucić. W centrum uwagi są również koszty, gdyż w napiętej sytuacji ekonomicznej kraju, każda złotówka trzeba dwa razy obejrzeć, nim raz się ją wyda. Nieraz wyłaniają się problemy kontrowersyjne, które omawia cała armia ludzi zaangażowanych w budowie, nie tylko ze strony Biura, lecz również inwestora, którym jest Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego oraz władze terenowe.

Teren budowy jest trudny, trasa kanału długa — ok. 44 kilometrów, licząc od zbiornika retencyjnego w Sulejowie do pompowni. Wstępne prace budowlane w terenie obejmą organizację zaplecza technicznego i baz zaopatrzeniowych. Do prac budowlanych włączy się olbrzymie ilości wielkich maszyn budowlanych, sprzętu technicznego i materiałów budowlanych. Pewne wyobrażenie o ogromie tej inwestycji daje fakt, iż na trasie kanału wybuduje się specjalną bocznice kolejową, która będzie przyjmować materiał budowlany rzędu dwudziestu wagonów dziennie. Stąd będzie on rozwożony transportem samochodowym, do baz, a stamtąd na plac budowy. Przewiduje się, iż przy budowie wodociągu zatrudni się dwa tysiące ludzi. Problem siły roboczej jest skomplikowany, gdyż chodzi tu, niemal wyłącznie, o pracowników o wysokich kwalifikacjach zawodowych. Gros pracy będą wykonywać maszyny i musi je obsługiwać fachowy personel techniczny. Pracę fizyczną eliminuje się do minimum. Nie dopuszcza się nawet myśli, żeby dopiero tutaj, na placu budowy, uczyć się i zdobywać kwalifikacje zawodowe.

Wykonawcą tej ogromnej inwestycji będzie Warszawskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Wodno-Inżynierskiego „Hydrobudowa nr 1”.

Mikro- portrety



ZDZISŁAW
DROŹDZAŁ

Urodził się w 1942 roku na Widzewie. Kiedy ukończył szesnaście lat, zapisał się do klubu sportowego, został piłkarzem; pewnego dnia, przezwyciężając wrodzoną nieśmiałość, poszedł na stadion, gdzie odbywał się akurat mecz sparingowy juniorów, i zaofiarował swoje usługi trenerowi. Ten jednak spojrzał niechętnym okiem na drobniutkiego, niewyrośniętego chłopca, powiedział, że aby uprawiać futbol trzeba mieć zgodę rodziców (na piśmie), ale powiedział tak, że speszony Zdzisław nie ponowił już próby. Zaraz potem dowiedział się od kolegów, że stosunkowo łatwo można zostać członkiem bokserkiej sekcji „Widzowa”. Poszedł na trening — pierwszy raz zobaczył salę ćwiczeń: gruszek, worki, bokserów walczących z cieniem, ring oświetlony z góry rażącym światłem jupiterów — w powietrzu unosił się smród potu i wrażenie wielkiej przegrody. Zdzisław podszedł nie śmiało do trenera i ten, kładąc mu się na ramię, sceptycznie popatrzył na mikrusa, fachową ręką zbadł chłopięce mięsiki i wreszcie wydał swą opinię: bokserem to ty nie będziesz, ale trenować możesz...

W rok później Zdzisław zdobył mistrzostwo pierwszego kroku. W 1960 — wywalczył mistrzostwo Łodzi i Polski juniorów w wadze muszej i wraz z reprezentacją Polski wyjechał do NRD na mecz z reprezentacją tego kraju. W 1962 roku, już jako senior, przebił się do finału i po dramatycznej walce uległ Arturowi Olechowi stosunkiem głosów 3:2, zdobywając tytuł wicemistrza Polski. Potem przysłał wyjazd do NRD, Bułgarii i Rumunii, mistrzostwo Warszawy zdobył w 1964 roku (kiedy to odbywał w stolicy służbę wojskową i bronił barw Legii), wreszcie w 1965, 66 i 67 mistrzostwa Łodzi. Największym jego sukcesem jest wywalczenie w bieżącym roku Mistrzostwa Polski seniorów.

Zdzisław Drożdżał pracuje (autentycznie pracuje) jako stusarz w Zakładach 1 Maja. Ma żonę i dwoje dzieci. Często wyjazdy, także liczne treningi kolidują z pracą zawodową i życiem rodzinnym. Toteż postanowił wycofać się z życia sportowego, przyczekł żonę, że sezon 1967 będzie jego ostatnim sezonem. Ten sympatyczny zawodnik, w dalszym ciągu niepozorny, nieśmiały, niewysoki i szczupły (54 kilogramy, 169 cm wzrostu) nie marzy o olimpiadzie w Meksyku i wielkich turniejach europejskich. Szkoda, Gorąco wierzymy, że w przypadku nieco większej tolerancji żony oraz życzliwej postawy klubu i zakładu pracy — Zdzisław Drożdżał mógłby przysporzyć Łodzi i Polsce jeszcze wielu cennych sukcesów.

I lekroświat przed lewską ka, uginając wach kroki, jów, nazywając pewne z ros Choinka obw tych pomarażanych orze jańskiego orz wiadomej raz koloru, nie importowany forniskim, je

W czasie półrocznej na się na tej joci i bengalskie te bengalskie sierpiowa g ciarskie dzie wokalny, zac dyrekcją i ba wane co na pastorałek, c bejskich poem Leon Schiller taklik.

Miedzy kol naszym domu mo skąd, chci piękna, choci Witaj, gwia nych przez ków” na cze go „Step” i wiedziałbym da Zygmunt w „Tygodnik a więc w atr go, kiedy to w w Spółdziel Podręcznikow ski” „wyszedł lakom naby przez carycę sko-ruskiej kskie posiadani musieli być lat, nie woln wiać starych

Wśród b wielkim pow zyczna śpiewa kowie”. Wielejczych przedstawicie Holenderczyk Francuz, a na nie był zrzes szych, więc stoniny, zape zamieszkania, lemkowski, i

„Furd dla bo dziassa peresko do Bet

Nie mogę r wiał urywki rol w „Dził z Teatru No śpiewał ten Wegier nio Niemowlecia,

„Segin sem prz zdrawe

Włoch chyb ny, makaron betlejemskie

„Dov nostre un bel de lim per i b

Hiszpan „K pytał: „czy v

„Valga tele ge siera

A od Wsch narchowie: K tam już Góra sła miseczkę i mówi do B

„Nuż. A „Krakow kówkami wzi nej miarkę” lej Slegak pę pęda chłopcy tymi na jarin

Cztery choinki

Ilekoć sięgam pamięcią do zimowych świąt mego życia, tylekoć staje przed moimi oczami ta cesarsko-królewsko, austriacka, galicyjska choinka, uginająca się pod ciężarem czekoladowych krokodyli, pajaców, świętych Mikołajów, nazywanych jeszcze nie tak dawno, zapewne z rosyjską „dziadkami Mrozami”... Choinka obwisła pod brzemieniem złocistych pomarańczy, smakowitych fig, posrebrzanych orzechów, strąków chleba świętojańskiego oraz wspaniałych jabłuszek nie wiadomej rasy, ale wiadomego czerwonego koloru, nie ustępującego żywością barwy importowanemu przed wojną aż z USA kalifornijskim, jakby polakierowanemu jabłkom.

W czasie wigilii i długo po niej, przed północą na nocną, górską pasterkę, zapalały się na tej jodełce kolorowe, kręcone świeczki i bengalskie ognie. Sywały one skrami, te bengalskie, czyli „zimne” ognie, jak noc sierpniowa gwiazdami, i wtedy my, robotnicze dzieci, a był nas ładny zespółik wokalny, zaczynaliśmy śpiewać koledy pod dyrykcją i batutą matki.

Znaliśmy tych bożonarodzeniowych śpiewanek co najmniej czterdzięci, nie licząc pastorałek, czyli, jak to dzisiaj mówią, „plebejskich poematów ludowych”, z których Leon Schiller ułożył taki wzruszający spektakl.

Miedzy koledy, śpiewane w ówczesnym naszym domu, zabłąkała się raz, nie wiadomo skąd, chyba od jakichś państwa, bardzo piękna, chociaż beznadziejnie smutna koleda „Witaj, gwiazdko złota”, autora podziwianego przez Franciszka Liszta „Krakowiaków” na cztery ręce, poematu symfonicznego „Step” i „Poloneza elegijnego”. Ta, powiedzielibyśmy nawet: poepona i trudna koleda Zygmunta Noskowskiego, wydrukowana w „Tygodniku Ilustrowanym” w roku 1865, a więc w atmosferze powstania styczniowego, kiedy to zdaniem wydanego przez Ludogę Spółdzielnię Wydawniczą w roku 1962, podręcznikowego, „Tysiąca lat dziejów Polski” „wyszedł ukaz carski, zabraniający Polakom nabywanie posesji w zagarniętych przez carów Katarzyny guberniach litewsko-ruskich bez zezwolenia”. Majątki ziemskie posiadane przez działaczy politycznych musiały być sprzedawane w ciągu dwóch lat, nie wolno było bez zezwolenia naprawiać starych kościołów, kaplic, krzyżów itp.

Wśród bardziej swawolnych pastorałek wielkim powodzeniem cieszyła się wielojęzyczna śpiewanka: „Nuż my, bracia pastuszkowie”.

Wielojęzyczna, gdyż występowali w niej przedstawiciele różnych narodów: Węgier, Holenderzyk, Niemiec, Włoch, Hiszpan, Francuz, a nawet i Cygan. — Cygan wtedy nie był zrzeszony w spółdzielniach kotlarzskich, więc niósł Nowonarodzonemu poćśloniny, zapewne zwędzony komuś w czasie zamieszania, i śpiewał ni to z ruska — po łemkowski, ni to z węgierska:

„Furdyl solonyńka
dla bożego synka
dziśsiara prindzi dĩa kulina
pereskoeyt i dolina
do Betlejemu”.

Nie mogę podać melodii, ale kiedyś śpiewał urywki tej pastorałki odtwórca niezłej roli w „Dzikiej kaczce” Ibsena, Kamiński z Teatru Nowego w Łodzi (bardzo pięknie śpiewał ten młody, zdolny aktor).

Węgier niósł olejki do smarowania ciała Niemowlęcia, mówiąc:

„Segi legiń is katona
sem prynosim tu pre Pana
zdrowe olejki”.

Włoch chyba taszczył z sobą pieprz, cytryny, makaron i zdaje się lody „bambino” dla betlejemskiego Bambina, bo mówił:

„Dove e siniore
nostre grand amore
un bel piatto
de limoni, makaroni
per i bambini”.

Hiszpan „koło ucha w niebo dmuchał”, pytał: „czy w Madrycie narodzone dzicyć”:

„Valga Dios senior mios
tele geros kawaleros
sicero meciu”.

A od Wschodu waliłi trzej królowie monarchowie: Kasper, Melchior i Baltazar, a tam już Góralczyk, „śliwki koszałeczke i ma śla miszczkę wzięwysz, pobiżał do Jasła” i mówi do Boskiego Synka:

„Nuż, Panuszu, przyjmij że to!”.

A „Krakowiaczek hoży zakrzesawszy podkówkami wziął za pas fajarkę, kaszki drobnej miarkę” (zapewne krakowskiej), a dalej Słezak pędzi parę wieprzków, zaś za nim pędzą chłopcy ze Skalmierza z „łbami obitymi na jarmarku”...

Bardzo się nam podobała ta pastorałka. Śpiewaliśmy ją z zatuszczonych kancynek, przepelnieni ta niefrasobliwą, rzewną radością, jaka zapewne przepelniała serce autora „Historii o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”, i Kazimierza Dejmka, gdy stworzył z niej sztukę, która przemaszerowała triumfalnie przez polskie sceny i zagraniczne, doczekała się nawet życzliwej oceny recenzenta papieskiego „Osservatore Romano”, a zarazem glupkowatego jadu wszystkich krajowych dewotek. Podobnym

jadem zostaloby pofraktowane widowisko pasyjne ze słynnych „Oberramergauer Passionspiele”, średniowieczne naiwne miniatury i iluminacje, a zarazem obrazki włoskich prymitywów, o których chyba Anatol Franca w „Szkicach” lub w czym innym, albo ktoś inny, ale chyba on, powiedział, że ich Madonny mają rumieńce okraglutkie, jakby zatoczone cyrkiem. W tych czasach patrzyła na nas dobrośliwa twarz o puszystych faworytach, czyli bakenbardach Kaiser Franz Josepha, o którym chłopcy z Czanortli, Istebnej, Cieszyna, Bogumina śpiewali:

„W Oderberku na fraj plauc,
gdź jo bydom w gldzie stoł,
gdź jo bydom w gldzie stoł,
wszysey mi się bydom dziwowall,
som się cysorz bydzie śmiol”.

Nie wiem dlaczego ta austriacka choinka, tyle zajmuje miejsca w mej pamięci. Chyba dlatego, że była bogata.

Bo pamiętam inną choinkę, mortusową. Jej widmo nawiedza mnie tylko w chwilach wielkich przygnębienia i załamania. Zamiast złocistych krokodyli i błyszczących pomarańczy, wisiały na porudzianym szkieletie świerkowym, osadzonym w garnku z kamiennym węglem, diabełki z paciorków i szpełczego szychu, zamiast kolorowych, kręconych świeczek i bengalskich ognió, mrugały na nich mętne, grube na palec, kaprawe świeczyska, odlewane przez nas domowym sposobem z podłej parafiny kolejowej, lasowanej przez brata z fasunków służbowych, roztopiających się od ciepła ręki. Świeczyska te nie chciały się palić, bawelniane knoty skwierczały jak skwarki, kiedy niby to śpiewało się — jak Caruso, gdyby osiemnaście dni nie jadł, śpiew nie miał prawdziwego oparcia na przeponach, pod którymi kieszki grały wcale nie państwo wotwórcze marsze.

Hej, lza się kręci, kiedy się pomyśli o tej wigilii i choince, wobec których „Opowieść wigilijna” Dickensa jest łzawym, literackim bajdzeniem angielskiego sentymentalisty, a jeśli do czego porównać nasz ówczesny nastrój, to chyba do tego, jaki budził się przy czytaniu noweli bodajże Flodora Solłoguba o wieczorze wigilijnym przegarniętej przez nędzarza rosyjskiej ulicznicy.



Ale mieliśmy wraz z kolegami choinkę, która chociaż uboga, to nie daby się zastąpić nawet przez pięciometrowego chojaka, postawionego dziecinie miliardera. Ustawili my ją w warsztacie bednarskim kolegi historyka, czasy bowiem już były akademickie, powiesiliśmy na niej dla zabawy szkielet śledzika i dwie butelki wiśniówki lwowskiej. Wiśniówki, zdaje się, po dwa złote za pół litra.

Ta wiśniówka nie była żadną wytworną „Cherry Brandy” ani mikolaschowską „Pestkówką”. Została wypuszczona w wersji popularnej przez którąś z tych sławnych lwowskich firm; była zapewne, mówiąc fachowo, z drugiego, albo trzeciego zlewu.

Ale nie była żadną współczesną tanią, ordynarną charą, po której nerwy są strute, konsument czuje się po niej jak wieprz uderzony pałką, bo tyle w niej fuźli; według zdania lekarzy tylko spirytus eksportowy i koniaki zawierają najmniejsze porcje nerwu, wątrobo, nerkobójczych jadów; była tańszą wiśniówką, ale z prawdziwym, przepiśowym wyleżakowaniem i strąceniem metylu.

Po zapaleniu w piecu do ogrzewania klepek... naręcza wiór dębowych, od których buchnęło nagle z paleniska dymem jak z wyrzutni raketowej, i zajęciu przez nas stanowisk na podłodze, ustawiliśmy program wigilijnych zajęć, gdyż każdy z nas drewno posiłki domowe już miał poza sobą. A więc ustawiliśmy rozkład pieśni laickich i koled oraz zachowanie się o godzinie dwunastej w nocy na pasterkę.

Albowiem nam, młodym i żadnym przygód, nie iść na pasterkę w nocy, kiedy góry są pokryte mrocznym śniegiem, na ich stokach migocą światła chałup, tyle samo znaczyło, co popelnienie grzechu sódmski.

Zaczęliśmy od popularyzowanej na całym świecie przez Szopena w „Scherzu h-moll”,



Rys. W. Kondek

melodii „Lulajże, Jezuniu”, scherzu tak prawie posępnym jak „Witaj, gwiazdko złota”, scherzu, o którym Robert Schumann powiedział: „Jak ma się stroić powaga, jeśli już żart jest osłonięty kirem żaloby” (Scherzo po włosku znaczy: żart).

A po „Lulajże, Jezuniu” przystąpiliśmy do wokalnego obrabiania łacińskiej pieśni gregoriańskiej „Gaude, Mater Polonia”; wszyscy bowiem „byliśmy wychowankami gimnazjum klasycznego starego typu; gimnazjum było surowe, trzeba było znać wiele łacińskich pieśni wraz z „Te Deum laudamus” i „Veni Creator”. A potem zaczęliśmy popuszczać pasa przy akademickiej pieśni „Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus” (Cieszmy się, póki jesteśmy młodzi).

Po „Gaudeamus” odśpiewaliśmy uczniowską piosenkę o jednej zwrotce, powtarzając jej się coraz to w innym języku.

Po polsku ta zwrotka brzmiała:

„O, o, o, o, co za rozkosz, co za
jest w miłość z piękną córką
rozkosz
pastora.
O przecudowna, o przecudowna
jest córeczka pastora”.

Hej, znowu się lza kręci, kiedy się pomyśli o tych cudnych, lecz trudnych czasach, kiedy to chłopiec w gimnazjum uczył się łaciny od pierwszej klasy; czytał Catullusa, Wergilego, Tacytę, Liwiusza, zaczynał się uczyć łaciny mając dziesięć lat!

Ale mówiąc językiem „Sedziego” z sędziwej farsy francuskiej o „Mistrzu Pathellinie”: „Powróćmy do naszych baranów!”.

Ponieważ przebrnęliśmy przez wszystkie zwrotki piosenki uczniackiej o rozkoszach miłości z piękną córką pastora, z zwrotką łacińską, która brzmiała:

„O, o, o, o, quae voluptas, quae
voluptas
in amore cum filia pastoris,
o mirabunda, o mirabunda,
o mirabunda est filia pastoris”.

przyszła kolej na pieśń średniowiecznych scholarów, studentów, waganów, żaków, zbliżone melodyką do niektórych koled.

W pieśni te byłyśmy dobrze zaopatrzeni. Jeden z naszych występujących w tej bednarni kolegów, znany zastępcy naczelnego „Odgłosów”, doktor filologii klasycznej, były dyrektor departamentu wyższego szkolnictwa, później rozbudowanego w osobne ministerstwo, obecny współpracownik PWN i PAN, autor pracy o Franciszku Baconie, Epikurze, redaktor „Etyki” Spinozy, „Listów moralnych Seneki” etc. grał w widowisku Adama Polewki „Otrzesiny” oraz w sztuce Ludwika Hieronima Morstina „Kopernik”; te pieśni średniowiecznych scholarów-waganów znał, nawet te, co są zawarte w zbiorze „Carmina burana”, przerobionym przez kompozytora, Carla Orffa, na „Kantatę sceniczną”, znaną bodźlanom, bo wystawioną przed laty przez operę łódzką.

Drugi kolega, były wizytator warszawski, obecnie wysoki urzędnik stołeczny z tego samego miasta, co my, ale on wtedy z nami nie śpiewał, ten był wizytator też występował jako akademicki aktor w sztukach Polewki i Morstina, te pieśni znał.

O trzecim kolecie, poległym w górach, najbardziej z nas wyrobionym ideologicznie bojowcu, pierwszym mężu pewnej dobrze nam znanej działaczki, nawet nie wypadło powiedzieć, że te pieśni znał. Bo można go było obudzić o godzinie drugiej w nocy, a te żakowskie utwory odśpiewałby od końca do początku. On też występował wraz z tą panią, swoją piórnikiem miłością, w wymienionych sztukach — i razem z ich autorem, Janem Wiktozem, objechał przed wojną Bałkany z tymi sztukami.

Zaśpiewaliśmy więc, z kole, nieco rozgrzań, scholarską piosenkę, wypełnioną narzekaniem na tę przeklętą godzinę, w której człowiek się urodził, żeby marnować się w szkole jak baran, nie wiedzieć ani be, ani me. I mieć ciągłego stracha przed tym, co spotkało Alberta Einsteina i Antoniego Słomskiego za to, że się w szkole byczyli, mianowicie mieć pietra przed wylaniem ze szkoły.

Po odśpiewaniu różnych zwrotek, już dobrze nagranych zarówno przez pionące w piecu wióry i klepki, oraz przez wiśniówkę Mikolascha czy Baczewskiego — z trzeciego zlewu po dwa złote za pół litra, po napełnieniu nerwów winem czernicowym, w którym było więcej octu niż wina, przystąpiliśmy do wykonywania piosenki cieszynskich studentów, której nauczył nas bardzo poważny dziś pisarz i rybołowca, chociaż niegorszy żartowniś, Kornel Filipowicz.

Ten cieszynianin z dawnych kresów wschodnich, członek innej paczki z Zachodnich Beskidów, uczeń Juliana Przybosa,

podobnie jak były Jego Magnificencja Rektor łódzki — Jan Szczepański, Alfred Łaszowski, dyrektor teatralny radia warszawskiego, Zdzisław Nardelli, był i jest chodzącą piosenkoteką, nabił przed wszystkim repertuarem czechosłowackim.

Ta piosenka cieszynska utrzymana jest w rytmie marszowym, jest niemiecka. Mówi ona o pewnej damie w bieli, która udała się na lodowisko na łyżwy, ale w chwili, gdy orkiestra zagrała marsza, łyżwiarka przewróciła się i stukła sobie „póldziałko” czyli pupię.

Oto ta piosenka:

„Eine Dame ganz im weiss
geht Schlittschuhlaufen auf das Eis.
Und die Musik, die spielt einen
Marsch
und die Dame setzt sich auf den
Arsch”.

Tak zaprawieni mogliśmy krokiem marszowym udać się na pasterkę.

Ach, cóż to była za pasterka! Podobne do niej odbywały się zapewne we Włoszech, gdzie wierni klaszczą po wysłuchaniu kazania. Albo w Meksyku, gdzie potomkowie Indian i Hiszpanów palą na wiatwę ze strzelb pod sufit kościelny.

W czasie tej pamiętnej pasterki wierni wychodzili z siebie, żeby manifestować swą karnawałową radość i „muchę”. Jedni, ponieważ drzwi do chóru były zamknięte od wewnątrz na rygiel, wśliznęli na chór po drabinie od strony nawy głównej. Drudzy, którym się znudziło przebywanie na chórze, po tej samej drabinie zsuwali się w dół. Powstawały takie zamęty, jak na słynnych ruchomych schodach Charlie Chaplina.

Równocześnie główna nawa śpiewała „Wśród nocnej ciszy”, jedna z bocznych naw „W żłobie leży”, druga „Przybieżeli do Betlejem”, kruchta „Anioł pasterzom mówi”.

Zaś organista, zawołany śmirus, znany z tego, że w czasie pewnego pogrzebu wpadł po pijanemu do mogiły, czym rozzłościł nawet księdza śpiewającego „Salve Regina”, na jednym manuale akompaniował jednej koledzie, na drugim — drugiej, pedalał to — trzeciej, to — czwartej, i jeszcze znajdował czas i miejsce na różne organowe figliki muzyczne, w których przewijały się echa mazurków i krakowiaków.

A tymczasem żartownisie lali do chrzcielnic atrament, syпали sadze, spinali kobiety agrafkami, wydychali im w twarz konfetti, zaczęli się na całą parę karnawał. Kościół upodabniał się do tych starodawnych budynków klasztornych, w których średniowieczne, a także szesnastowieczne i siedemnastowieczne panny oddane na wychowanie, wywijały w refektarzach różne świeckie tańce.

Ale jeszcze dwie choinki pamiętam: jedną, już łódzką, przy której kupowaniu dla dziecka, o godzinie drugiej w nocy, w składzie węglowym przy ulicy Składowej, w surowych czasach panowania rygorów różnych bezdusznych formalizmów, omal mnie i kilku kobietom nie polamano w toku żebra; drugiej nie muszę przypominać, bo będziemy ją widzieć i w tym roku — w sklepach papierniczych... — sztuczna, z chemicznego tworzywa. Przypomina ona „Zieloną Gęś” nieodżałowanej pamięci Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

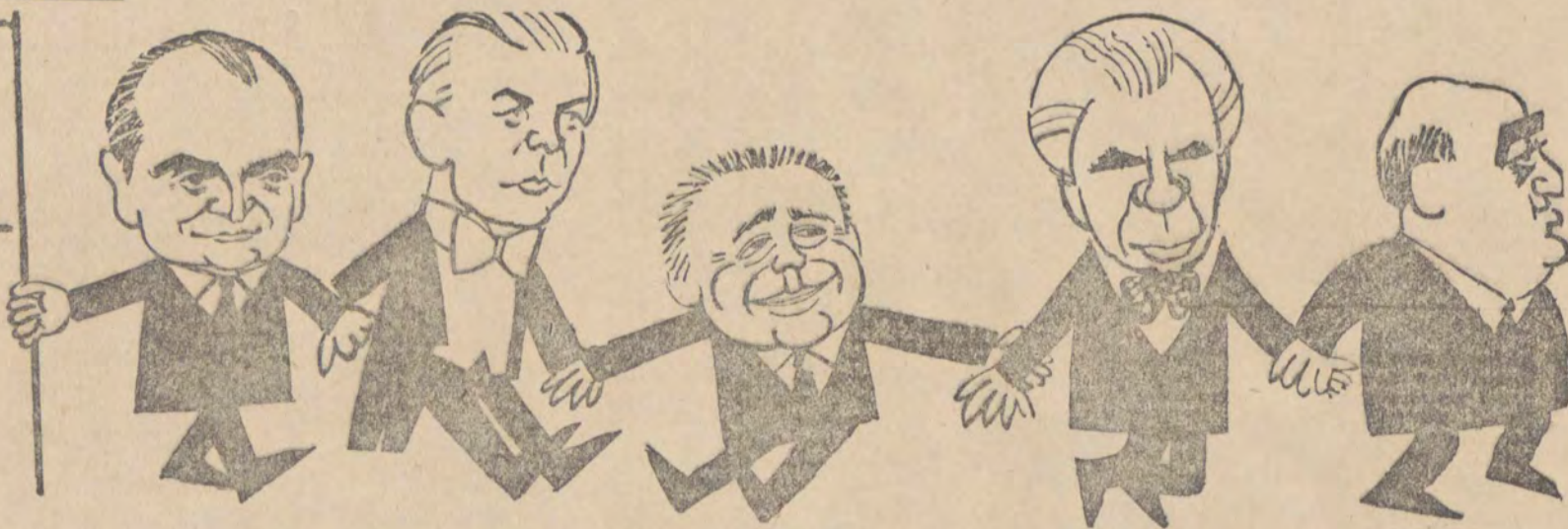
Ta plastykowa, ortalionowa, orlonowa, czy gumilazonowa choinka kosztuje śledem razy drożej od zwykłej świerkowej, z której można mieć jeszcze kilka rogali, knypek do mieszania białyn, mnóstwo materiału podpałkowego i zdrowego dla płuc kadzidła. Jest ona zapewne wodoodporna, wodoszczelna, antymagnetyczna, przeciwpożarowa, przypomina sztuczne salcesony i kiełbasy z gipsu, jakimi zapełniają półki lodówek, żeby uatrakcyjnić ich zakup. Zapewne można ją złożyć jak parasol, i posłużyć się nią jak wyciorem do przepychania kominów i zlewów. Zaoszczędzi nam wiele drewna, potrzebnego do wytwarzania sztucznych tworzyw, a zatem i sztucznych choinek.

I jeszcze o jednej choince wypadłoby wspomnieć, umilanej stukaniem rusznic przeciwanecnych, przygotowujących początek natarcia z przyczółka sandomierskiego w styczniu, kiedy to zainaugurowano jeden z najpotężniejszych karnawałów historii, ale, żeby nie rozwiekać się, zamykam sobie kawatko innej piosenki z repertuaru autora „Mojego przyjaciela i ryb”, Filipowicza:

„Jak sem szed wezera s rana,
potkał sem Lecjana.
Ja mu dał egipskou,
on mi dał po piskou,
kopol mi do prdele
leżem sem trzi niediele.”

Albo, jeśli ta piosenka wyda się nam mało nastrojową, to zanućmy, ale w weselszej tonacji:

„Hej, koleda, koleda! Hej, koleda, koleda!”



AUTORZY:

Czy się komuś podoba, czy się nie podoba,
szopkę dziś przedstawiają Gigier i Doroba.

REDAKTOR:

Jak rok okrążył, moje „Odgłosy”
podnoszą wszystkim ze zgrozy włosy.
Zaczepki, szpile, szychy, przytyki,
ansa, niuanso, same krytyki.
Wreszcie swój wielki błąd zrozumiałem,
ach, czemu pochwał nie zamieszczałem?!

AUTORZY:

Pochwały wcale nie są nam obce:
szopka w pochwałach, pochwały w szopce.
Wielu do głosu dorwać się pali:
niech każda sroka ogon swój chwali.

NACZ. STEFANCIK:

(na mel. „Czterem lata wiernie służył”)

Długie lata wiernie służył, wiernie służył,
memu grodowi, memu grodowi,
mogę służyć jeszcze dłużej, miastu, ludowi, matulu,
miastu, ludowi.

A to wszystko dla kultury, dla kultury,
miło mi było, miło mi było,
tę kulturę się dźwigało, się podnosiło, matulu,
się podnosiło.

Tu wystawa, tam zabawa, cyrki, strzelnice,
cyrki, strzelnice,
otwierałem, zamykałem, imprez nie zliczę, matulu,
imprez nie zliczę.

AUTORZY:

Tak krawiec kraje,
jak mu materii staje.

DYR. LATOSZEWSKI:

(na mel. „Była babuleńka rodu bogatego”)

Była raz opera miasta fabrycznego,
miała mecenasa bardzo rozrzuconego,
fik, mik, fik, mik, fik, mik,
bardzo rozrzuconego.

A ten gmach opery był bardzo rozpustny,
pożarł on kulturze budżet niezbyt tłusty,
fik, mik, fik, mik, fik, mik,
budżet niezbyt tłusty.

Ale ten proceder miastu się opłacił,
bo każdy łodziński duszę swą wzbogacił,
fik, mik, fik, mik, fik, mik,
duszę swą wzbogacił.

AUTORZY:

I we Wiedni
ludzie biedni.

DYR. SYKAŁA:

(na mel. „Piękna nasza Polska cała”)

Piękna nasza Polska cała,
wiele chlubyen kart spisała,
przez epoki, pokolenia,
wiekopomne szły zdarzenia.
Długo czekały wyrazu
za pośrednictwem obrazu.
Piękna nasza Polska cała,
temu wyraz dał Sykała.

AUTORZY:

Jemu chwala!

DYR. SYKAŁA:

(niezrażony — na mel. „Tam na górze jawor stoł”)

Tam na placu scena stoi, scena przeogromna,
na niej żywy obraz dziejów, karta wiekopomna.
Idą Lachy, partyzany, rotty, bataliony,
na pewno to zauważy Minister Obrony.

(na mel. „Za górami, za lasami”)

Za górami, za lasami,
żyją nasi tam rodacy wspomnieniami.
Gdy nie starczy mi krajanów,
to zawołam, to zawołam tamtych panów.
Każdy, który czuje wene,
hop na scenę, hop na scenę, hop na scenę!

AUTORZY:

Jeśli tylko potrafisz,
to pchaj się na afisz.

DYR. ŻUKOWSKI:

(na mel. „Albośmy to jacy tacy”)

Albośmy to jacy tacy!
Choć nam brak warsztatu pracy,
przecie będziemy grali,
w każdej wolnej sali,
i to, co podłeci,
z uwzględnieniem dzieci.

AUTORZY:

Jak Pan Bóg dopuści,
to i Żłobek się wpuści.

DYR. POSTOŁOW:

(na mel. „Koło mego ogródeczka”)

Do mego ogródeczka
twórcy znoszą dzieła w teczkach,
elitarni i dziecinni,
wieszczowie i wszyscy inni:

(na mel. piosenki — wyliczniki)

A więc Piechal z Czernikiem,
Safirin z nowym tomikiem,
I Sztudynger z „Piórkami”,
Bernard Sztajncert (czasami),
i Nienacki z „Laseczką”,
Sikirycki z bajeczką,
W Rymkiewicz z powieścią,
tudzież z prozą niewieścią
sama Wanda Karcewska.
W oku kręci się lezka:
wali Chrościel z rodziną,
Tadzio Papier z Boryną,
Wiesław z książką Ewiną,
Gomcicki zaś z własną,
bodaże siedemnastą,
Czarny z „Antyfraszkami”,
Jan Koprowski (czasami),
tudzież drugi Jan, Huszcza,
co swe racje wyluszcza,
i Kasprowicz Antoni
niesie owoc na dłoni
pod kwitnącym kasztanem,
kiedy dumal nad ranem.

Nim wydałem te dzieła,
pięciolatka minęła.

AUTORZY:

Czas ucieka,
wieczność czeka.

DYR. ROMAN:

(na mel. „Pochłóście, kawalerzy, przyszedł”)

Jak już żeście z obrazami przyszedł,
to — choć nie jest to po mojej myśli —
w galerię naszej je powieście,
bo i tak jest tylko taka w mieście.

Jak się upcha, może się pomieszcza
i zadziwia formą swą i treścią,
a widz młodszy, gdy trochę podskoczy,
to i drugi rząd obrazów zoczy.

AUTORZY:

Stał się cud pewnego razu,
dział przemówił do obrazu.

DYR. MONIUSZKO:

(na mel. „Na wójtowej roli”)

Na skwerku przed dworcem
tyłem sobie stoję,
nie widać od frontu
smutnej twarzy mojej.

Widać czy nie widać,
lecz pomnik posiadam,
a nie ma go w Łodzi
nawet i wiesz Adam.

Choć lepiej już pewnie
na Placu Kościuszki,
dzieweczki w pasażu,
co naga się pluszcze.

Nasz Czytelnik — nasz pan

Od roku już trwa nasz zinstytucjonalizowany flirt z Czytelnikiem. Z uporem, jakiego wymagała zubożność dzieła, zamieszczaliśmy w „Odgłosach” zmyślnie zestawioną „Ankiętę” chcąc zapoznać się z upodobaniami tych, którzy nas czytają, a jednocześnie porachować własne wzloty i upadki. Choć prowadzony za pomocą umownych znaków plus (+) i minus (—) był to jednak dialog ze wszystkimi jego konsekwencjami. Czasem dawano nam na kredyt wiele plusów, znacznie więcej niż na to zasługiwaliśmy, czasem otrzymywaliśmy także minusy i to w obfitości przekraczającej nasze rzeczywiste uczynki. Wszystkie opinie, zarówno te, które wynosiły nas pod niebiosa, jak też i te, co nas odsadzały od czci i wiary, staraliśmy się w miarę naszy: a możliwości nagradzać książkami, powstałaby z nich spora biblioteka.

Tak więc przez blisko rok byliśmy na cenzurowanym, co zresztą nie zepsuło nam samopoczucia. Musieliśmy się mocno uwijać, aby zaspokoić Wasze słuszne żądania i wymagania, nie było więc czasu na „frustracje i alienacje” jak się to ładnie powiada w piosence. Rok się kończy, pora więc na odwet. Tylko że my już dawno zapomnieliśmy urazy. Zamiast krwawej zemsty proponujemy więc świąteczną zabawę: przyjrzyjcie się samym sobie w opiniach o „Odgłosach”. Niech przemówią Wasze listy.

1.
Najpierw refleksja ogólniejszej natury!
Aniśmy się obejrżeli, jak przyszło na nas zagrożenie, o którym prasa jeszcze nie pisała, ale już ćwierkają wróble na każdym dachu. Wraz z rozpowszechnieniem telefonów, magnetofonów, dalekopisów, pocztówek dźwiękowych i innych diabelskich magnetowidów umiera u nas w narodzie żrębica najwspanialszej tradycji, sztuka epistolarna. Listonoszy zastąpił doręczyciele, którzy doręczają urzędowe wezwania, upomnienia, zawiadomienia czy zaproszenia, listy pisać kocha w Łodzi może jeszcze jeden

jedyny Wacław Kondek. Gdy by nie filatelisci, można by spokojnie wycofać z obiegu wszystkie znaczki pocztowe, psa z kulawą nogą by to nie wzruszyło, bo instytucje placą ryczałt i mają kłopot z głową.
I nagle stał się cud, który może nie jest nawet takim wielkim cudem, bo wiadomo, że wszelkie tabelki i rubryczki gniotą jak źle dopasowany kołnierzyk. Obok zakreślonych „Ankiety” zaczęto nam przysyłać listy, listy — opinie. Różne.

„Nie umiecie pisać ciekawie — nigdy nie zdobędziecie czytelnika. Z tego waszego nudnego sosu jeszcze na-

dają się do czytania felietony „Cwieka” i recenzje filmowe. Reszta nuda wszechświatowa” (Przymusowa Czytelniczka)

„Proszę traktować moją ocenę jako indywidualną, ale pismo nasze (tj. „Odgłosy”) — przypisek Lektora jest przecież o „niebo lepsze od wydawanej „Kamery”, „Życia Literackiego”, „Liter” i wielu innych”.

(Julia Ciechańska)

„Czytając „od deski do deski” pismo zauważyłam, że artykuły są niejednokrotnie bardzo nudne. Ci, którzy je piszą, chcą się popisać swoją erudycją literacką”.

(Danuta Balcerek)

„Cieszy mnie Wasze dążenie do znalezienia najlepszej formuły dla naszego tygodnika. Wydaje mi się, że jesteście już bliżej chwili, gdy każdy artykuł będzie czytany z zainteresowaniem przez każdego czytelnika”.

(Zdzisław Zygierski)

Oto maleńka, ale reprezentatywna próbka trwania na krańcowych pozycjach. Każdemu z tych głosów z osobna trudno nie przyznać racji. Choć prawda, jak zawsze leży pewnie pośrodku.

2.

Pisanie do redakcji nie stało się jeszcze potrzebą każdego, kto nas czyta, ale już daje się odnotować jako zjawisko. Szczegółowe dane pominięto, skupiając się do zyczenia tył z Państwa, którzy niezmiennie zaznaczają znakiem minus rubryczkę „zagadnienia ekonomiczne”. Otrzymujemy więc listy, tylko widać jeszcze z rzadko, piszący do nas w chwili największych czytelniczych uniesień, albo irytacji. Możliwe, że za mało Wam dajemy okazji do jednego do drugiego, ale bądźcie szczerzy.

Kto do nas pisuje najczęściej? Już cytowana w rozdziale poprzednim próbka korespondencji daje dość przejrzyście obraz sytuacji, pozwala na uogólnienie: nawet pisanie listów staje się zajęciem coraz bardziej sfeminizowanym. Jeśli przesyłka pochodzi od mężczyzny, to i reguły mieszka on daleko poza granicami naszego macierzystego grodu — w Warszawie, albo we Wrocławiu, w Gdyni albo w Słupsku.

Listy pisane są najczęściej prozą, choć otrzymaliśmy także trzy wierszowane propozycje tematyczne, które agitały nas do zdecydowane-



Lepiej Tuwimowi
za łódzkie poema,
gorzej Reymontowi,
bo pomnika nie ma.

AUTORZY:

Kto pił,
nie zmył.

DYR. ZATKE:

(na mel. „W murowanej piwnicy”)

W naszej sportowej hali
zbojnicy tańcowali,
ci z „Mazowsza” i „Ślaska”,
przedrzeźniał też Gałazka.

Były różne zespoły
i ubaw był wesoly —
hala nasza jest w modzie
w całym łódzkim narodzie.

A choć z nazwy sportowa,
bardziej jest rozrywkowa,
bo tu się udawały
najrozmaitsze kawały.

Pierwszy kawał, panowie,
udał się przy budowie —
hali brakło (to heca)
sportowego zaplecza.

REKTOR TOEPLITZ:

(na mel. „Kiedym jechał do dziewczeczki”)

Pojechałem ja do USA,
bo zawsze to jest pokusa,
pokusa, pokusa,
pobyć sobie rok w USA.

Lecz ja czasu tam nie traćę,
doświadczenie swe bogacę,
jak wrócę, jak wrócę,
to was wiele nauczę.

AUTORZY:

Posza w las nauka,
kto jej tam poszuka?

DYR. DEBICH:

(na mel. „Poszedł Marek na jarmarek”)

Gdy zagrałem
raz w Opolu,
to powiedział ktoś:
„Debich do tej
roli dorósł,
on już znaczy coś!”

Więc w Warszawie
Iks przy kawie
rzekł: „Mam sztampy dość!
Niech w Sopocie
widzą krocic,
że jest nowy ktoś”

Tak Opery
Leśnej stery
wziąłem — wszem na złość.
Brawo bill,
pochwalili:
„To naprawdę coś!”

Znów w Warszawie
Iks przy kawie
rzekł: „Ja powiem coś:
pan w Stolicy
by się liczył,
tu pan byłby Ktoś!”

A ja w Łodzi,
co mi szkodzi,
zapoznany gość.
Aż w Warszawie
ktoś przy kawie
powie, że jest Ktoś...”

AUTORZY:

Jaka miła to nowina
dla ojca i dla syna.

DYR. PAKULA:

(na mel. „Którędy Jasiu...”)

Którędy Jasiu,
którędy Jasiu,
masz jechać, masz jechać?
Czy fale średnie
nieodpowiednie
poniechać, poniechać?

Jutro, pojutrze
na fale krótsze
przejdziemy, przejdziemy.
Będzie spokojny:
na Widge, Chojny
dotrzemy, dotrzemy.

Gdy z lepszym skutkiem
wiatr fale krótkie
poniesie, poniesie,
może usłyszysz
nas w nocej ciszy
Polesie, Polesie.

Mam więcej godzin,
więcej się rodzi
audycji, audycji.
Rad jestem więcej
z lepszej niż Kielce
pozycji, pozycji.

Mniej mam przesądów,
więcej poglądów
na rzeczy, na rzeczy,
bowiem mam ludzkie
sprawy i łódzkie
w swej pieczy, w swej pieczy.

AUTORZY:

Wiele słuchaj,
mało mów,
jeśli chcesz,
byś był zdrow.

DYR. SZUSTER:

(na mel. „Idzie żołnierz borem, lasem”)

Idzie wizja borem, lasem,
zachodząc do miasta czasem.

Choć z natury niezawisła,
wraca nieraz tam, skąd wyszła.

Ja tej wizji rozkazuję,
więcej przede mną respekt czuję.

Bom jest od sztuk specjalista
w telewizji, oczywiście.

Przeto siadam jak w teatrze
i na ekran sobie patrzę.

To mój „Dragon”, po „Dragonie”
same biją brawo dłonie.

Potem dłoni przesłania oczy,
bo się łódzki dziennik toczy.

Daję złości swojej upust
w finezyjnym „Lupu-cupu”.

Gdy zasypiam, często marzę,
że wielkich rzeczy dokazę.

Jeśli tylko będzie za co,
wnet wykażę się swą pracą.

AUTORZY:

Lepsza jest mierność,
niż zbytne dostatek,
bo za dostatek
placi się podatki.

WSZYSCY ZGODNYM CHOREM:

(na mel. „Jak dobrze nam...”)

Jak dobrze nam, ludziom kultury,
od wielu działań tutaj lat,
zbierać wawrzyny i la-u-ry,
z których niejedną na nas spadł.

Teraz „Odgłosy” pod niebiosy
nam pozwoliły siebie wznieść,
więc w górę serca, w górę nosy,
były do wiosny...

No to cześć!

AUTORZY:

Czy się komuś podoba, czy się nie podoba,
tym akcentem rzecz kończą Gieglar i Doroba.

KURTYNA

Go zajęcia się problematyką
pedagogiczną. Otrzymał
także jedną korespondencję
w formie tekstu do piosenki pt.
„Odgłosy”, która brzmi:

„Odgłosy”, „Odgłosy”
kochane
Gdy czytasz w sercu twym
miód,
Lecz gdy nie czytasz to
bardzo żałuj.
Czemu „Odgłosy” w sercu
twym drżą?”
(Krystyna S.)

Fragment cytowany wyszedł
spod pióra dwudziestoosześcioletniej urzędniczki, ale pisał
do nas przedstawiciel tytu
zawodów, że wyliczył ich tu-
taj nie sposób, od gospodyni
domowej po profesora wyż-
szej uczelni.

3.

Lista propozycji i ulepszeń
byłaby równie długa, jak pa-
norama profesji. Niechaj jed-
nak przemówią same za sie-
bie.

„Czy redakcja „Odgłosów”
nie uważa, że brakuje w pi-
śmie jakiegoś nawet małego
kącika listów, opinii czyteln-
ków czy czegoś w tym ro-
dzaju?”
(Zdzisław Dzierżan)

„Najwyższy czas, aby wpro-
wadzić stały kącik reportaży
z pracy naszej WFF, z rea-
lizacji filmów, ze spotkań z
ludźmi WFF”.

(Paweł Chynowski)

„Piszcie więcej o sprawie
wychowania dzieci, młodzie-
ży, artykuły opierajcie na fak-
tach autentycznych, specyficz-
nych dla naszego miasta i wo-
jewództwa”.

(Zofia Zaorska)

„Przed wszystkim uważam,
że należałoby zwiększyć for-
mat „Odgłosów”, jak również
jego objętość z 10 stron do
15 chociaż”.

(Jan Piskorski)

„Najpierw dziękuję za to,
co już przez kilka lat dajecie
w swoim dobrym piśmie, a
proszę o jeszcze więcej o Ło-
dzi”.

(Julia Rataj)

„Brak reportażu sądowego”.

(Mirosław Hajman)

„Jestem waszą stałą czy-
telniczką i bardzo bym was
prosiła o zamieszczanie arty-
kułów, różnych ciekawostek
i zdjęć związanych z Japo-
nią”.

(Urszula Czarnecka)

Propozycji jest tyle, że wy-
starczyłoby ich na trzy ty-
godniki o różnych profilach.
Nakarmiłaby się nimi i „Po-
lityka”, i „Kultura”, a „Ku-
lisy” też by nie chodzący
głodne. Staramy się więc z
tych propozycji wybierać aku-
rat to, co rostrzyga, że je-
steśmy „Odgłosami”. Pewnie,
że za mało piszemy o spor-
cie. Ale piszemy równocześ-
nie o tylu różnych sprawach,
o których mamy również
obowiązek informować. Jed-
ni domagają się drukowania
większej ilości wierszy, dru-
dzy piszą, że wiersze ich
straszą po nocach. Niektórzy
czynią nam zarzut, że nie
drukujemy już opowiadań z
dreszczykiem, inni przeciwnie
chwalą nas za to. Dostajemy
listy z potępieniami, że nie
wysadzamy nosa poza łódz-
kie opłotki i listy z potępie-
niami, że wypuszczamy się
na szersze wody.

4.

W pierwszych latach istnie-
nia naszego pisma, a już nam
niedługo dziesięć lat wydwo-
nia, reklamowano je przy
pomocy fraszki:

„Odgłosy” nie zbytek.
Radość, pożytek”.

Jakże z tego punktu wi-

dzienia patrzą na nas nasi
Czytelnicy?

„Prawda, którą potwierdza
ciągle życie jest stwierdze-
nie, że szczególnie wymaga-
jący jesteśmy względem
„Przyjaciół”. „Odgłosy” są dla
mnie Przyjacielem, z którym
pragnę prowadzić życie in-
tymne i polemiczne zarazem”.

(St. Latański)

„Uważam, że tygodnik jest
ze wszech miar potrzebny spo-
łeczeństwu łódzkiemu, mało
potrzebny — konieczny”.

(Stanisław Jakubowski)

Sporo ciepłych uwag skie-
rowano pod adresem redakcji
i współpracowników naszego
tygodnika, a już najwięcej
pochwalił zebrał CWIEK. Dla
tego też pozwalam sobie za-
cytować wiankę komple-
mentów pod jego adresem:

„Bezspornie doskonałymi
i nigdy nie zawodzącymi są
felietony Cwieka”.

(Kazimierz Olechowski)

„Oj, Drogi Cwieku, ile też
wzruszenia Tobie zawdzię-
czam. Serdeczne Ci za to dzię-
ki”.

(St. Latański)

Cieszą nas te pochwały,
któż na nie nie jest łasy,
ale czyż Drodzy nigdy nie
pomyśleliście sobie, jak też
choćby taki Cwiek musi się
wyteńczyć, żeby co tydzień za-
nieść dla Was interesujący te-
mat do felietonu. Listy mniej
ogólnikowe, o konkretnych
sprawach, o konkretnych lu-
dziach byłyby nam o wiele
większą zachętą i pomocą w
naszej pracy. W całej poczcie
znalazłem tylko jeden taki
list napisany przez pana Leo-
na Walentynowicza, mies-
kańca dzielnicy Karolew. Ko-
respondencja ta jest zbyt ob-
szerna, aby ją przytoczyć, po-
staramy się jednak zrewanżo-
wać naszemu Czytelnikowi
reportażem o sprawach, któ-
re sygnalizuje w swym li-
ście.

5.

Tytuł tej publikacji jest
nie tylko reklamowym sło-
ganem: nie robimy tej gazo-
ty dla siebie, chcemy Wam
nią służyć w miarę swoich
sił i możliwości. „Nasz Czy-
telnik — nasz Pan”, można
by po gorkowsku powiedzieć,
że to brzmi dumnie. Ale rzecz
można także odwrócić. Stare
porzekadło głosi wszak nie
bez kozery, że „jaki pan —
taki kram”.

No właśnie! A czy nie cie-
kaw! Was charakterystyka
statystyczna Czytelnika „Odg-
łosów” jaką mamy przed
oczami po Waszych listach
i osobistych spotkaniach:

„W wieku od lat nastu do
osiemdziesięciu, inteligentny,
zakochany w swoim regionie,
na ogół życzliwie usposobo-
ny do „Odgłosów”, choć wie-
le rzeczy by w nich ulep-
szył”.

My tak samo wiele rzeczy
chcielibyśmy w „Odgłosach”
ulepszyć. Ale zmiany trzeba
wprowadzać ostrożnie, jak
tego uczy przykład meczu
pomiedzy drużyną Kibiców i
Kadry.

I w ten sposób niepostrze-
żenie podsumowaliśmy wyni-
ki naszej ankiety. Pozwólcie
więc, że zakończę ten przekła-
daniec święteczny słowami z
listu Krystyny Malinowskiej:
„O „Odgłosach” można by
nieskończenie pisać, skoro
czyta się to pismo od lat,
i to czyta się z zaintereso-
waniem. A że chciałabym,
żeby czytało się jeszcze le-
piej, więc zdecydowałam się
napisać”.

Prosimy wszystkich o to
samo.

LEKTOR

JAN KOPROWSKI

ZAPOMNIANE — PRZYPOMNIANE

O Polsce pisano, i pisze się na świecie dobrze i źle, jak o każdym kraju. Nie ma takiego społeczeństwa, które cieszyłoby się tylko dobrą, albo tylko złą opinią. Mielimy i mamy wrogów, mielimy i mamy przyjaciół. Wspominałem kiedyś na tych łamach o książce A. Bruce'a Boswell'a „Poland and the Poles” (1919), napisanej z pozycji wielkiej życzliwości i zrozumienia dla naszego kraju, jego historii i kultury. Istnieją „Listy o Polsce” prof. Karola Sarolea, do których zaglądam w chwilach, gdy pragnę wzmocnić swoje nadwątzone poczucie patriotyzmu. Przedmowę do tych „Listów” napisał Chesterton, przyjaciel Polaków, tak jak jego ziomek, Wells, był naszym wrogiem. („Nie lubię Polaków i nie ufam im” — powiedział kiedyś autor „Historii świata”).

W roku, który miją, przeszła niezauważona na łamach naszych czasopism 125 rocznica urodzin i 40 rocznica śmierci duńskiego historyka literatury, krytyka i biograf, Georga Brandesa. Wiele jest powodów, aby pamiętać o nim zachowała się w oświeconych kregach naszego społeczeństwa. Georg Brandes należał do tych postaci zagranicznych, których stosunek do Polski nacechowany był zrozumieniem i sympatią. A działał się to wówczas, gdy Polska nie istniała jako państwo i życzliwe podejście do jej losów miało ogromne znaczenie w Europie. Cóż dopiero, jeśli pisał o niej człowiek tak wybitny i tak na przełomie wieków dwudziestego

wplywowo jak on. Wszelkoniemnie wykształcony, znający kilka języków, Georg Brandes (właściwe nazwisko Morris Cohen) nie pominął żadnego znaczącego zjawiska w rozwoju kultury i literatury europejskiej XIX stulecia. Jego osobiste kontakty z Saint-Beuvem, H. Tainem i Renanem we Francji oraz z J. St. Millem w Anglii nie pozostały bez wpływu na ukształtowanie się jego poglądów, nacechowanych postępowym liberalizmem. Brandes interesował się literaturami całej Europy. Swoje wykłady uniwersyteckie w Kopenhadze a później w Berlinie na temat „głównych prądów literatury XIX stulecia” ogłosił w pięciu obszernych tomach. Ta fundamentalna praca nie straciła do dziś swego podstawowego znaczenia. Wykładał i pisał o Zoli i Maupassant'cie, o Dostojewskim i Tolstoju, o Hauptmannie i Sudermannie, no i oczywiście o Skandynawach: Ibsenie i Strindbergu, Björnsonie i Holbergu oraz o wielu innych. Zwalczając pogrobowców romantyzmu i opowiadając się za nowymi prądami, narażał się na konserwatystom i klerykałom, którzy go też serdecznie nienawidzili. Ten pracowity, niezmożony w swoich podróżach badawczych literaturoznawca, odbył również trzy podróże do Polski, gdzie w ciągu kilku miesięcy wygłaszał odczyty, prowadził rozmowy, gromadził obserwacje. Z tych jego rozmów i obserwacji, podbudowanych rozległą lekturą, narodziły się dwie książki: „O poezji polskiej w XIX wieku” i „Polska”. Obydwie

prace Brandesa przełożone zostały nie tylko na język polski, dzięki czemu były dla cudzoziemców zarówno źródłem wiedzy o Polsce, jak i świadectwem, że powalony i rozdarty przez trzy mocarstwa naród żyje, dając dowody niezwyklej prężności kulturalnej i artystycznej.

„Polskę” Georga Brandesa, znajdującą się na honorowym miejscu w mojej bibliotece, wydał zasłużony księgarz lwowski, H. Attenberg, na wspaniałym biblijnym papierze, w sztywnej oprawie, w 1902 roku. Książka ta jest pięknym nawet, jak na swoje czasy, okazem sztuki poligraficznej. Nie wiem, czy była kiedykolwiek później wznowiona, w każdym razie dziś stanowi ona ogromną rzadkość antykwareczną i jest — jak to się mówi — na wagę złota. „Polska” składa się z dwóch części: w pierwszej autor opisuje kraj, ludzi, obyczaje, sporo miejsca poświęcając inteligencji polskiej, w drugiej — daje rozprawę krytyczną o naszej literaturze romantycznej. Cała książka dowodzi wielkiego talentu obserwacyjnego Brandesa: jego spostrzeżenia uderzają celnością, a uwagi, odnoszące się do spraw literackich, zdumiewają wyjątkowo trafnym osądem. Georg Brandes nie należał do tzw. moli książkowych. Mimo wielkiej erudycji i niebывалego wprost odczytania, nie zatracił żywego stosunku do ludzi i świata, a jego umiejętności kontaktów towarzyskich graniczyły wręcz z mistrzostwem. Dlatego też mógł w swoich wrażeniach z Polski zanotować wiele różnów i anegdot, dywagacji historycznych i refleksji na temat charakteru narodowego Polaków. Posłuchajcie, co napisał Brandes w czasie swej pierwszej wizyty w 1885 roku: „...nastąpił trzeci rozbiór Polski i państwo polskie przestało istnieć. Ale nie przestał istnieć polski naród, który miał wiele cnót bohaterskich, świętych i rycerskich, choć beużytecznych, ale znacznie mniej zalet mieszczańskich i w życiu przydatnych. Naród zapały i niepraktyczny, szlachetny, żywy i lekkomyślny, naród, który czuje niechęć do wyjęzycznej i długotrwałej pracy i zawsze miał pociąg do wszelkich silnych i subtelnych rozkoszy, tak zmysłowych, jak i duchowych, ale który przede wszystkim kochał niepodległość do szaleństwa, wolność

do liberum veto i który do dziś, po utracie niepodległości i wolności, pozostał wierny tym swoim ideałom”. Oczywiście nie sposób tu zacytować nawet co cenniejszych wyjątków, gdyż przekroczyłoby to znacznie ramy artykułu. Książkę czytać się wciąż z niesłabnącym zainteresowaniem, należy ona do tych lektur, które mimo upływu czasu, wciąż się nie zestarzały. O wnikliwości i obiektywności studium Brandesa może świadczyć następujący opis, sporządzony za drugim jego pożytem w Warszawie w 1886 roku: „Przed kilkoma laty pewien rosyjski uczonec został mianowany profesorem zoologii na uniwersytecie warszawskim. Oglądając po przybyciu uniwersytecki gabinet zoologiczny, zwrócił uwagę, że nazwy zwierząt na okazach były tylko w języku łacińskim i rosyjskim. — „A po polsku?” — zapytał. Wówczas rektor uniwersytetu objaśnił nowego profesora, że został on powołany do Warszawy nie w tym głównie celu, aby nauczać studentów zoologii, bo czy tam więcej lub mniej się uczą, to rzecz stosunkowo podrzędna, ale przede wszystkim po to, aby szerzyć rosyjską propagandę. Profesor zapytał jeszcze, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Petersburga i natychmiast opuścił Warszawę. Znany jest również fakt, że najlepsza rosyjska artystka dramatyczna oświadczyła, iż nie pojedzie z cesarską trupą na występy do Warszawy, dopóki się nie nauczy po polsku”.

Rozprawę o poezji polskiej XIX wieku zakończył Brandes słowami: „W wielu piśmiennictwach ten nieśmiertelny romantyzm objawił się w formie tak pięknej, jak w literaturze polskiej”.

Oto jest najciekawsza książeczka, jaką przeczytałem w 1967 roku. Dodam jeszcze, że dziełko Brandesa na język polski przełożył bardzo świetnie Zygmunt Poznański, ale kto to był ten Poznański, tego już, niestety, powiedzieć nie potrafię.



Wywiad Z Ćwiekiem

— Kiedyś w Redakcji nazywaliśmy Was, Obywatelu Ćwieku, autorem-widmem, bo chociaż od blisko czterech lat Wasze felietony ukazują się z absolutną cotygodniową regularnością, to przecież połowa personelu redakcyjnego w ogóle nie wie, jak wygląda autor. Czy wobec dzisiejszego, tak rzadkiego spotkania, można zadać Obywatelowi parę pytań?

— Jeżeli to będą te same pytania, które Pani Radomińska zadaje w „Kulisach” od szeregu lat wszystkim co bardziej znanym mieszkańcom stolicy po kolei, to ja już dawno mam odpowiedź gotową, ale gdzieś w domu.

— Myśli Pan, że redakcji „Odgłosów” nie stać na sformułowanie pytań rewelacyjnych nowych?

— Przeciwnie. Myślę, że redakcję stać na wszystko. Oczywiście, oprócz podwyższenia honorarium. Tylko, Panie Redaktorze, boję się, że po każdym pytaniu będzie Pan oczekiwał od felietonisty błyskawicznego dowcipu, a mnie się takie błyskanie udaje tylko czasem i raczej w samotności, kiedy nikt nie widzi. Ale proszę bardzo, spróbujmy.

— Nic z tych rzeczy, chcemy mówić bardzo poważnie. Jak Pan ocenia rolę prasy kulturalnej w życiu przeciętnego mieszkańca Łodzi?

— Kiedyś Boy pisał, że zamiast powiedzieć, że ktoś kłamie, można ładniej: „nie bez udziału świadomości jest skłonny myśleć z prawdą”. Otóż nie bez udziału świadomości jestem skłonny przychylić się do tezy, że byłoby błędem nie dostrzec, iż rola wzmiarkowanego zjawiska nie wydaje się gwarantować w stronę pierwszego planu.

— ...planu. Zanotowaliśmy. A rola felietonisty?

— Jaka sobie przypisze, taką gra. I — chciałbym dodać — to jest w moim przekonaniu największy wdzięk tej niewdzięcznej roboty: zupełny brak wytycznych ze strony Redakcji.

— Ale tak bardzo, bardzo poważnie?

— Bardzo poważnie, to rolę felietonisty widzę w odpowiadaniu różnym głupstw. Pan Redaktor zmusza mnie zresztą do mówienia truizmów. Niektórzy mówią, że trzeba obnażać, ale to brzydkie słowo, a brzydkie słowa wolę chować na ładniejsze okazje. Więc zamiast obnażać użyjmy wyrażenia: ośmieszać. A już za trafienie w dziesiątkę uważam, jeśli się uda felietonem powiedzieć głośno, publicznie to, co wszyscy mówią szeptem, a przynajmniej myślą.

— Czym się różni, względnie: czym w Pańskiej autorskiej koncepcji miały się różnić felietony „Lewym okiem” od wielu innych, zamieszczanych obficie w prasie kulturalnej całego kraju?

— Rozumiem, że abstrahujemy od ocen jakościowych. Wówczas chciałbym mówić o dwóch wyróżnikach: po pierwsze z racji faktu, że tkwią dość głęboko w gospodarczym aparacie zarządzania, poświęcam tematyce ekonomicznej, biurokratycznej chyba znacznie więcej uwagi niż publicyści, obracający się wyłącznie w środowisku i w sferze spraw kulturalnych.

— A po drugie?

— A po drugie, moje felietony są krótsze.

— Czy Pan zamierza jeszcze coś ulepszyć, poprawić?

— Oczywiście. Na przykład zamierzam tak jak moi koledzy i konkurenci częściej powoływać się na listy Czytelników.

— Dużo tych listów napływają?

— Proszę mnie rozumieć ściśle: zamierzam się powoływać. Tak jak konkurenci. Aż do cytowania z błędami ortograficznymi włącznie, gwoździ prawdopodobiństwa.

— ...błędów. Czy Pan zechciałby jeszcze powiedzieć coś zupełnie osobistego, wie Pan: plany, marzenia, hobby?

— O, właśnie na ten temat mam świetne wypowiedzi, gle w domu. Więc może innym razem, a tymczasem pozwolę Redakcji, że wykorzystam ostatnią linijkę wywiadu na przekazanie wszystkim moim Czytelnikom życzenia Wesołych Świąt i niefrasobliwego Nowego Roku!

EUGENIUSZ IWANICKI

Zapaśnik i poeta

Kiedy w 1937 r. Aleksander Kuprin powrócił z emigracji do Moskwy, spotykano go jako wielkiego pisarza, jednego z wybitnych przedstawicieli realizmu krytycznego pierwszych lat naszego stulecia. I chociaż nikt nie wierzył, że autor „Pojedynku” będzie zdolny tworzyć dla „radzieckiego czytelnika”, to jednakże przyjęło go z całym szacunkiem i należąca cześć. Ci, którzy pamiętali Kuprina z lat przedpaździerkowych, byli zdumieni, odnieśli wrażenie, że witają zupełnie kogoś innego, że ulegli chwilowej halucynacji, że ten trzęsący się człowiek, wysiadający z pociągów nie może być słynnym Aleksandrem Kuprinem, wesołym kompanem, biboszem, zawiadaka i silaczem. A jednak to był on. Powrócił po latach tużaczki schorowany, prawie ślepy, męczony przez raki przetyku, ledwo trzymający się na nogach, chudy i mały, cierpiący na zaniki pamięci, na tę straszną chorobę, kiedy czas przestaje mieć wartość miernika.

Aleksander Kuprin wszedł do literatury od razu i od razu zdobył uznanie takich sław jak Lew Tolstoj, Czechow i Gorki. Był za życia ulubieńcem czytelników, chociaż nie zawsze zdawał sobie sprawę ze swej wielkości. Pisał od razu, szybko, a potem całymi tygodniami pił i hulał w najbardziej obскурnych i podejrzanych knajpach i domach publicznych. Czym się nie zajmował? Był oficerem, tragicznym, rzadkim, pewnego ziemianina, robotnikiem, studiował stomatologię, śpiewał w chórze, był geometrą, aktorem, strażakiem, marynarzem, metrampażem i zapaśnikiem. Ale ten wykaz jest niepełny.

Jako pisarz Kuprin chciał poznać życie w najdrobniejszych jego szczegółach, by następnie czerpać bez ograniczeń z tych doświadczeń. Pewnego razu, wspomina Kornel Czukowski: Kuprin zapragnął poznać, co czuje za wodowy wlatywacz w czasie kradzieży. Toteż zakradł się w nocy do cudzego mieszkania, napętnił wadzikę, lecz

nie starczyło mu odwagi by ją wyjąć.

Kuprin wywierał na otoczenie wrażenie człowieka silnego i gotowego na wszystko. Wcale nie był podobny do pisarza, raczej do boksera i ciężarowca; byczy kark, potężne bary, niski, muskularny. Garnitur na nim leżał niczym na kowale, który wystrzelił się w krawat z okazji jakiegoś święta. Na szerokiej twarzy trzymał się bokserki, przetrącony nos i wązkie, spokojne, badawcze oczy.

Jego najczęstszymi towarzyszami byli górniczy, kapielowi, majstrowie, szulerzy, złodzieje kieszonkowi, fałszerze, specje od prucia pancernych kas, pogromcy lwów, strażnicy więzienni, alfonsi, grafoman, dżokeje, atleci, kokoty itp.

A kiedy pisał? Jak wspomina jego pierwsza żona, Maria Karlowna, by zmusić Kuprina do dokończenia „Pojedynku”, stosowała drastyczne, a przy tym z ścią kołbiec fantazja przemysłowy fortel. Wynajęła mu mianowicie mieszkanie na jednej z pobliskich ulic i postawiła warunek: zanim nie dokończysz — nie wpuścisz do siebie! Kuprin pisał. Jednakże ciągoty do kieliszka często przepręwały pracę i Kuprin, chcąc spędzić noc z żoną, przynosił stare, wcześniej napisane rozdziały. Nieraz to się udawało, lecz żona szybko zorientowała się w podstępie i odciął Kuprin musiał podawać zapisane stronice przez szparę

kę, a sam czekał na schodach, aż Maria Karlowna przeczyta do końca.

Zresztą Kuprin nie umiał pisać w jednym miejscu. Stąd jego wędrówki do Moskwy, Kolomny, Sewastopola, Jalt, Odessy, Bałaklawy, Petersburga, Atuszy, Finlandii, Włoch i w końcu do Francji.

Niektórzy krytycy zarzucają Kuprinowi, że nigdy nie zajmował się polityką, że stał niejako na uboczu wydarzeń, które wstrząsnęły przecież nie tylko feudalną Rosją, ale wywarły ogromny wpływ na ukształtowanie się polityki europejskiej w pierwszych połowie naszego stulecia. Nie bardziej błędnego. Już sama jego powieść „Pojedynki”, w której jak nikt przed nim przedstawił okrucieństwo i dzikość rządzące w carskiej armii, jest powieścią na wskroś polityczną. Nie obojętnym dla biografii Kuprina jest spotkanie z porucznikiem Szmidttem, dowódcą zbuntowanego krążownika „Oczakow”, który w 1905 r. wciągnął czerwoną flagę na maszt, odmawiając wykonywania rozkazów, za co był rozstrzelany, a krążownik wraz z marynarzami zatopiony przez artylerię sewastopolską. O tych wstrząsających wydarzeniach Kuprin napisał znakomity artykuł pt. „Wydarzenia w Sewastopolu”.

W czasie Rewolucji Październikowej, Gorki rzucił myśl, by wydać gazetę poświęconą

sprawom chłopstwa, do której przyciągnął również Kuprina. W archiwach ZSRR przechowywane są dokumenty, z których wynika, że sprawę gazety był zainteresowany Lenin, i że 26 grudnia 1918 r. przeprowadził z Kuprinem długą rozmowę, w której podkreślił ideowe znaczenie mającej powstać gazety.

A mimo wszystko Kuprin wyemigrował do Paryża. U podłoża tej decyzji leżą dwie zasadnicze przyczyny. Kuprin zbyt silnie mimo wszystko był związany ze starą Rosją i nie mógł w żaden sposób pojąć wielkości i znaczenia rewolucji oraz to, że gdy znalazł się zupełnie przypadkowo, na terenach okupowanych przez generała Judeniczę, nie potrafił wyrwać się spod wpływu jego militarnistycznej ideologii. Odezwany od kraju, skazany na zapomnienie, otoczony przez obcych, wielki pisarz nie ma już tego rozmachu co dawniej, brakuje mu powietrza rosyjskich stepów i zapachu czarnomorskich portów. A przy tym głód, bieda, szybkie postępy choroby i tęsknota za tym co zostawił, sprzyjają, że Kuprin coraz bardziej odchodzi od wielkich tematów. Oto jak pisał o tych dniach jego wielki przyjaciel, nie mniej wspaniały pisarz Iwan Bunin: „...spotkałem go na ulicy i coś mnie ścisnęło: nawet ślad nie pozostał po dawnym Kuprinie!”

Króczył drobnymi krokami, wzbudzał litość kroczeniami, włócił się taki chudziutki, słabiutki, że zdawało się, iż pierwszy podmuch wiatru zwał go z nóg. Nie od razu mnie poznał, a potem nagle objął z tą wzruszającą delikatnością, że zapłakałem”. A tak wspomina Leonid Andriejew, również słynny pisarz i przyjaciel Kuprina: „...spotkałem go po raz ostatni w Paryżu, nie na długo przedtem jak Aleksandrowi Iwanowiczowi udało się powrócić do ZSRR. Szedł ulicą chory, niedbale i biednie ubrany, starość szurała nogami w jakichś domowych pantoflach. Spoglądał na mnie, starając się przypomnieć, kto przed nim stoi. Lecz nie mógł. Wreszcie przypomniałem mu. „Ach, tak, tak — jakoś żałośnie się uśmiechnął. — Czy nie znajduje się u pana pięt franków?”

Taki powrót w 1937 r. do Moskwy. Wrócił, by pisać dla nowego pokolenia, dla radzieckiego czytelnika. Ale wszyscy wiedzieli, że wrócił by umrzeć wśród swoich. Jego nieuleczalna choroba czyniła szybkie postępy. W rok później Aleksander Iwanowicz Kuprin, jeden z wybitnych i wspaniałych pisarzy pierwszych dziesięcioleci naszego wieku już nie żył.

Pisząc o tym chcemy przypomnieć, że w nadchodzącym, 1968 r., minie trzydziesta rocznica jego śmierci.

Mikro- portrety



JANINA
WĘSIERSKA-
PARADECKA

Wybrała sobie zawód od-
powiedzialny, jest lek-
kiem. Ale co to znaczy,
uświadamia sobie dopie-
ro pod bombami, gdy 4
września trzydziestego dzie-
wiałego roku wraz z dr
Sniegurowiczem organizo-
wała szpital polowy w
płonącej Warszawie. Kle-
dy wkroczył Niemcy,
wstąpiła do podziemia.

W kwietniu 1942 r. go-
stała aresztowana i wie-
ziono całą jej rodzinę:
ojca, matkę, siostrę
brata i bratową. Brat zgi-
nął w Oświęcimiu, ojciec
w Oranienburgu. Siostrę
wyrokem niemieckiego są-
du ścieto w Berlinie.

Zagłębianie się we wła-
sna biografia sprawia jej
przykrość. W doborach,
spokojnych oczach nani
doktor odczytać można
całą walkę, którą z sobą
toczy. Opowiedzieć wszyst-
ko, co przeżyła, to wy-
maga męstwa. Znajduje
jednak, dość siły, aby mó-
wić i potrafi zrezygnować
odwróceniem uwagi ukryć
drżenie głosu.

Najpierw Pawlak. Była
tam krótko. Potem Aleja
Szucha, kilka tygodni.
Etap następny: Oświęcim,
od sierpnia 1942 do wrze-
śnia 1944 r. Nazywała się
wtedy: 18296. Była jedną
z pierwszych lekarek Bir-
kenau. Sama jedna, bez
medykamentów, musiała
nieść pomoc ciężko cho-
rym, wycieńczonym lu-
dziom, na bloku leżało
800 kobiet. Często poda-
nie prawdziwego rozpoznania
równałoby się wyro-
kowi śmierci na pacien-
ta, trzeba było przed
Niemcami zatajać rzeczy-
wistą diagnozę, wyciągać
ludzi spod tonaty. Umarli
zmieniali nazwiska, odda-
jąc swoje tym więźniom,
których Niemcy przezna-
czali na likwidację.

Potem etap ostatni, Ra-
vensbrück, pa Brzezince
wydawał się wyzwoleniem.
Na wyzwolenie rzeczywi-
ście trzeba było czekać
jeszcze kilka miesięcy. Dr
Paradecka opuściła oboz
jako jedna z ostatnich,
była zajęta organizowa-
niem powrotu do kraju
wszystkich chorych Polek.
Zobaczyła Łódź dopiero w
połowie 1945 r.

Od kilku lat pracuje w
sanitarnym jest dyrektorem
Stacji Sanitarno-Epidio-
logicznej na Bałutach.
Kiedy opowiada o swojej
obecnej pracy, oczy jej
porodnieli, zdobywa się
nawet na uśmiech wspo-
minając liczne zajęcia w
organizacjach społecznych
i obowiązki domowe żo-
ny, matki a także prac-
ki i sprzątaczkę.

Dużo tych obowiązków.
Za dużo, nawet jak na
bohaterkę.

Otrzymałszy niedawno broszu-
kę pt. „Raport dotyczący
reakcji i oceny prasy krajowej
odnośnie VII Festiwalu Pio-
senki w Sopocie”, wydana przez
Polską Agencję Artystyczną
PAGART — głównego organizato-
ra sopockich festiwali. Mimo
niewielkich rozmiarów, jest to
efekt pracy gigantycznej, autor
podjął się bowiem trudów prze-
studiowania wszystkiego, albo
prawie wszystkiego, co w prasie
polskiej na temat VII MFP
napisano, a jak wiemy, napisano
sporo. 17-stronicowa broszurka
zawiera krótkie, lub bardzo
krótkie streszczenia 35 publika-
cji, w dziennikach i czasopi-
smach krajowych. Zrobienie z
kilkusetwierszowych omówień
kilkunastu wierszowych notek
nie jest sprawą prostą, zobaczymy
więc co z tego wynika.

„ŻYCIE WARSZAWY” — Tytuł
pierwszej korespondencji brzmi:
„Niewiele ponad przeciętność”.
Zdaniem autora i dzień był szary
i bezbarwny. Pod względem reper-
tuarowym i wykonawczym — ra-
czej rozczarowanie. C. Valente do-
bra, ale pewne chwytły odczłono-
ne na nie najlepszą publiczność. Resz-
ta na jej tle tym bardziej sra-
wiała wrażenie monotoni. Najle-
psze i dnia piosenki: czeska, ro-
syjska i bułgarska. Pozytywna ocena
pracy konferansjerów. Słowa
krytyki pod adresem orkiestry De-
bicha i apel o powrót na estradę
Festiwalu zespołu Rachonia.

W drugiej korespondencji (...) opi-
nia, że Dzień Polski wypadł znacz-
nie ciekawiej od Dnia Międzynarodo-
wego. „Program koncertu o atko-
wego zawierał na pewno więcej
wartościowych pozycji od poprzed-
niego”. Autor wyróżnia aż 10 pio-
senkarzy. Stwierdza, iż oraestra
z trudnego zadania (opracowanie
120 pozycji) wyszła na ogół obro-
na reka (...).

W korespondencji czwartej autor
pisze: „Koncert (ostatni dzień) róż-
nicowany i ciekawy, a jego jedyn-
nym mankamentem — chuliganizm
z ogrodzeniem... Słowa pełnego uzna-
nia dla Pilarovej, Prus i Jürgen-
sa. O zespole Debicha — „W ostat-
nich dwóch dniach, z dnia na dzień
coraz lepiej”.

„TRYBUNA MAZOWIECKA” —
określa program festiwalu jako
melancholijny. Brak szlagieru. Kry-
tyka Salonu Muzycznego. Zarzut,
że WAF „zgromadził” zaledwie 6
polskich piosenek w tłumaczeniu
angielskim i francuskim. Stwier-
dzenie także, iż „reklama” (eks-
pozycja reklamowa Bałtyk 67) zła-
godziła deficyt finansowy stołecznych
managerów, tak skłonnych do gigan-
towania na koszt innych. Festiwal
pod względem wykonawstwa zy-
skał również na wadze”. Nie było
przedstawicieli czołówki piosenkar-
skiej, było za to sporo zdolnych
debiutantów.

Valente i Jürgens bardzo dobrzy.
Pełne uznanie dla Lerskiej i jej
piosenki w I dniu. W II dniu b.
ładnie wypadła polska piosenka,
szczególnie Leonda, Dobbs, Luna,
Czoheli. Brak było piosenek ży-
wych, rytmicznych. W Dniu Płyto-
wym tylko Pilarova ekstraklasa. W
sumie najlepsze „pozytywe pozakon-
kursowe”: Valente, Jürgens, De-
marczyk oraz Leonda.

„DZIENNIK LUDOWY” — wy-
suwa (ze znakiem zapytania) tezę,
że polskie piosenki dlatego nie po-
bijają rekordów światowych, iż są
„zbyt polskie”, tak jak było z nie-
nagrodzoną Noblem twórczością Ze-
romskiego. Dzień Polski w tym ro-
ku nieudany. Dobra Valente. Trzeci
dzień i czwarty lepsze od dwóch
pierwszych. Kiepska aranżacja za-
graniczna polskich utworów.

„DZIENNIK POLSKI” — Autor
akcentuje fakt konfrontacji piosen-
ki obu europejskich stref geogra-
ficznych. Wsuwa zarzut niewłaści-
wego regulaminu i postuluje jakiś
inny rodzaj punktacji dla laure-
atów. Twierdzi, że korzyści han-
dlowe są bliższe zera, gdyż „Sopot
przynosi raczej kontakty niż kon-
trakty”. Podkreśla, iż brakowało w
Sopocie katalogów Polskich Nagrań.
Konkluduje: „nużać monotonią re-
pertuarową, przeciętną poprawność

wykonawczą, na niezłym zreszta
poziomie”.

„EXPRESS ILUSTROWANY” —
twierdzi, iż należy wreszcie zara-
biać na festiwalu. Twierdzi rów-
nież, że piosenkarze zagraniczni
naszych piosenek u siebie lansować
nie będą.

„SŁOWO POLSKIE” — akcentuje
fakt, że Sopot stał się terenem
konfrontacji artystycznej między
Wschodem i Zachodem. Podkreśla,
że ocena jury zgodna była z re-
akcją publiczności. W podsumowa-
niu surowo uważa ostry krytyki: zła
organizacja, brak dobrych piosenek,
system konkursowy.

„KULTURA” — w stałej pozycji
felietonu rysunkowego L. Zahor-
skiego pt. „Najkrótsza recenzja”, za-

mieszcza z podpisem „słowiki z im-
portu” rysunek zmierzających do
Sopotu reprezentantów... placuwa
domowego.

„PRZEKROJ” — Materiał pofesti-
walowy o ekibole organizacyjno-ar-
tystycznej. Wysokie uznanie dla
zespołu Debicha, który dokonał, zda-
niem autora, rzeczy niemal nad-
ludzkiej (120 partytur).

„KIERUNKI” — Ostra krytyka
festiwalu en bloc. Rutyna i klasa
Valente przyćmiły resztę wykonaw-
ców. Konieczność preselekcji. Pio-
senki polskie bardziej interesujące
od importowanych. Nieporozumie-
niem nagroda dla Czoheli, która...
fałszowała. Własny styl wykonaw-
czy reprezentowali jedynie Leonda
i Lautrec. Doskonała Rawik i mien-
na Lerska. Debich — źle. Gdzie był
Rachon? Stosunkowo najciekawszy
koncert: „Piosenka nie zna granic”.

„ODGŁOSY” — Ostra krytyka fe-
stiwalu. Żle o Winnickiej i b. źle
o reprezentancie Tunisu. Krytycznie
o Valente. Na poziomie tylko: Du-
lac, Czoheli, Badea, Dobbs, Leonda,
Lautrec, Rubin, Rock — „wyko-
nawcy interesujący i ambitni”.

„TYGODNIK KULTURALNY” —
Autor felietonu jest zdania, że fe-
stiwal swoje powodzenie zawdzię-

cza wyłącznie snobizmowi publicz-
ności, która chce być skądrowana
na ekranach transmitujących fe-
stiwal telewizorów. Sam festiwal
ocenia lakonicznie: nudny.

„WSPÓŁCZESNOŚĆ” — Autor
wskazuje, iż wśród wyjątkowo
wielkiej ilości piosenkarzy zgroma-
dzonych na festiwalu przeważali
piosenkarze słabi i nieinteresujący.
Wskutek powyższego dwa pierwsze
koncerty były nieciekawe i nudne.
Dopiero dwa ostatnie cieszyły się
należytym powodzeniem. Recenzent
przeprowadza ciekawą analizę
dwóch krótko- i długich stylów
piosenkarskich. Pierwszego, wybit-
nie artystycznego, reprezentowane-
go przez Ewę Demarczyk oraz dru-
giego wybitnie komercyjnego w wy-
konaniu Udo Jürgensa. Opowiadając
się za kontynuowaniem festiwalu
recenzent s'ierdza: „głosowałbym
za przejęciem naszego festiwalu na
stronę bieguna Ewy Demarczyk.
Myślę, iż międzynarodowa szansa
Sopotu może stać się piosenką ar-
tystyczną i poetycką. Ten kierunek
wskazywałaby tegoroczna nagroda
dla piosenki „Po prostu jestem”.

„ŻOŁNIERZ WOLNOŚCI” — w
podsumowaniu: krytyka możliwości
Sopotu jako bazy festiwalu. Brak
porządku i pamiątkowych mate-
riałów reklamowych czego nie bra-
kowało w Opolu.

Orkiestra Debicha przyjęła na
siebie zadanie niemal nadczłowie-
ckie, usiłując poprawnie wykonać 120
piosenek w dodatku nietypowych, a
w specjalnej aranżacji.

Na festiwalu zabrakło przecoju
i indywidualności piosenkarzkiej.
Dominowała serwina, okliwa sztam-
pa i dopiero trzeci dzień wykazał,
że istnieje piosenka dobra, nieste-
ty — poza regulaminem konkursu.

Opinia, że najtrafniej podsumo-
wał festiwal sopocki obserwator z
Malt, który powiedział, że „So-
pot to nie miejsce robienia inte-
resów, ale znakomity punkt spotkań
artystów zagranicznych, przywie-
dzących tu z bagażem własnych
idei, pomysłów, koncepcji. Że So-
pot to może nie wydarzenie ko-
mercyjne na światowym rynku
piosenkarskim, ale na pewno inte-
resujące zjawisko artystyczne i ja-
ko takie utrzymało już sobie rangę
wśród festiwali europejskich”.

* * *

I tak dalej i dalej. A co z tego
wynika? To zależy o co chodziło
autorowi raportu. Jeżeli o wyka-
zanie, że opinie dziennikarzy bywają
sprzeczne, a czasem nawet skrajnie
różne, to wybór fragmentów jest
wrecz znakomity, ze szczególnym
obsesyjnym niemal upodobaniem
cytuje się bowiem skrajnie różne
oceny Valente i orkiestry Debicha,
jakby to w doniesieniach prasowych
było zagadnienie centralne. Można
by więc wnioskować, że chodzi o
uspokojenie PAGART-u i zasuger-
owanie, że cały płon zbiorów pra-
sowych można bez straty wyrzu-
cić na makulaturę. Aczkolwiek we
wstępie broszurki czytamy m. in.:
„Poniższy zestaw dotyczy w głów-
nej mierze głosów krytycznych, tez,
wniosków oraz spraw zasługujących
na wypunktowanie”.

Na zakończenie jednak dokonano
„próby podsumowania”, która za-
wiera wnioski ogólne, dotyczące
orkiestry Debicha (znów), pozio-
mą wykonawców, konferansjerów,
scenografi, transmisji TV oraz wa-
runków bytowania i pracy uczestni-
ków i obsługi prasowej festiwalu.

Nas, oczywiście, interesowałaby
reakcja PAGART-u na te postula-
ty, wszakże był to raport z reakcji
dziennikarzy na festiwal, a nie re-
akcji organizatorów na dziennika-
rów. Na te reakcje wypada pocze-
kać do przyszłorocznego festiwalu.
Niemniej jednak wydaje się godzien
pochwały sam fakt opublikowania
takiego raportu.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Raport dotyczący reakcji



Fot. W. Parys

ARTHUR CONAN DOYLE

Łowca chrząszczy

Niezwykła przygoda? — Powiedział doktor.
Tak, moi drodzy, przydarzyło mi się coś
takiego. I nie sądzę, że jest powtarzalne
obejrzenie podobnego zjawiska, jako że
byłoby to wbrew wszelkim doktrynom trak-
tującym o przypadkach, które mówią, że ta-
kie wydarzenia może się przytrafić jednemu
człowiekowi tylko raz w życiu. Możecie mi
wierzyć albo nie, ale wszystko odbyło się
dokładnie tak, jak mówię.

Właśnie ukończyłem studia medyczne, lecz
nie rozpocząłem jeszcze praktyki, a mieszka-
łem wtedy na Gower Street. Od tego czasu
ulica ta została przemianowana, ale był to
jeden dom, który miał okna wykuszowe po
lewej stronie, idąc od Metropolitan Station.
Wdowa o nazwisku Murchison była wówczas
właścicielką tego domu, a wynajmowała po-
koje trzem studentom medycyny i jednemu
inżynierowi. Ja zajmowałem pokój na górze,

bo był najtańszy, ale i tak pokaźny to był
wydatek, jak na moją kieszeń. Skromne za-
sobę pieniężną wyczerpywały się powoli i
coraz bliższym stawał się dzień, zmuszający
mnie do wyszukania jakiegoś zajęcia. Ale
ja nie miałem zbyt wielkiej ochoty rozpoczynać
praktykę lekarską, jako że całe moje zainte-
resowania były raczej natury naukowej, a
za najbliższą mi uważałem zoologię, która
mnie zawsze pasjonowała. Już prawie zre-
zygnowałem ze swych ambicji, kiedy nie-
wielkie wydarzenie skierowało moje zmag-
nia z losem w niezwykle interesującą stronę.

Pewnego ranka przeglądałem „Standard”
przelatując wzrokiem nagłówki. Nie było
żadnych ciekawych wiadomości i już miałem
tę gazetę odrzucić, gdy moje oczy spoczęły
na ogłoszeniu. Oto jego treść:

„Potrzebny na jeden dzień lub na kilka
dni lekarz. Wymaga się aby był on silny
fizycznie, odporny psychicznie, z błyskawicz-
nym refleksem. Powinien też być entomolo-
giem znającym się na owadach tegopokry-
wych. Zgłaszać się oświadczenie należy: 77B,
Brook Street, dziś do godziny dwunastej”.

Jak już rzekłem, zoologia była dla mnie
przedmiotem wymarzonym. Ze wszystkich
jej działów najbardziej atrakcyjne wydawa-
ły mi się owady, a z owadów — chrząszcze,
które znałem najlepiej. Zbierałem motyli
jest mnóstwo, ale chrząszczy istnieją tak
niezwykła różnorodność i są one bardziej

osiągalne na tych wyspach niż motyle. Oto
powód, który spowodował moje zaintereso-
wanie się nimi, a sam miałem zbior liczący
okrolo kilkuset odmian. Jeżeli chodzi o po-
zostałe wymagania stawiane w ogłoszeniu,
wiedziałem, że mogę polegać na moich ner-
wach, a kiedyś wygrałem nawet jedną kon-
kurencję w ciężkiej atletyce podczas me-
dycznych zawodów sportowych. Inaczej mó-
wiąc, nadawałem się do tego zajęcia. Nie
minęło nawet pięć minut od chwili, gdy
przeczytałem to ogłoszenie, a ja już znajdo-
wałem się w drodze na Brook Street.

Kiedy jechałem, myślałem cały czas nad
tym, jakiego rodzaju jest to zajęcie, które
wymaga aż takich kwalifikacji. Siła fizycz-
na, refleks, zawód lekarski i znajomość
chrząszczy — co to wszystko może mieć z
sobą wspólnego? Jednakże zniechęcał do
tego zajęcia fakt, że nie gwarantowano sta-
łości pracy, lecz zgodnie z ogłoszeniem —
miało ono być przedłużane z dnia na dzień.
Im dłużej zastanawiałem się nad tym, tym
bardziej było to dla mnie niezrozumiałe,
ale w końcu doszedłem do wniosku, że niech
się dzieje co chce, bo w rezultacie nie nie-
traćcie, a pieniądze były mi potrzebne i dla
tego byłem gotów do każdej eskapady, je-
żeli miała ona przynieść mojej kieszeni ja-
kieś korzyści finansowe. Człowiek boi się
niepowodzenia wtedy, gdy wie, że będzie to
go coś kosztowało, ale jeśli o mnie chodzi,
to nie było sposobu, w jaki mógłbym losowi

zapłacić. Byłem jak gracz z pustymi kiesze-
niami, któremu ciągle pozwalają spróbować
szczęścia na równi z innymi.

Numer 77B, Brook Street, był jednym z
tęch starych, ale wciąż imponujących do-
mów, ciemny, o prostych ścianach, mocnych
i solidnych, jakie mogli wykonać budowni-
czowie z okresu gregoriańskiego. Gdy wysi-
adłem z dorozki, jakiś młody mężczyzna
wyszedł z domu i szybko poszedł ulicą. Za-
uważyłem, że mijając mnie rzucił w moją
stronę badawcze i wrogie spojrzenie, a ja
przyjąłem je za dobry dla mnie znak, bo
oznaczało to, że ów mężczyzna jest odrzuco-
nym kandydatem.

Lokaj przyprowadzony i w liberali otworzył
drzwi. Oczywiście, miałem okazję stykać się
już z bogatymi i wytwornymi ludźmi.

— Stucham pana? — powiedział lokaj.

— Przyszedłem w związku...

— Oczywiście, sir — rzekł lokaj. — Lord
Linchmere przyjmie pana natychmiast. Jest
w bibliotece.

Dalszy ciąg
na str. 14



Rozmowa Tele-obiektu z Jerzym Antczakiem — głównym reżyserem Polskiej Telewizji



MIEJSCE ROZMOWY:
główny TV przy placu O-
brońców Warszawy 7. w
Warszawie.
CZAS: grudzień 1967 r.
TEMAT: speceyfika i per-
spektywy Teatru TV.

W. ORŁOWSKI: — Mówi się o nim i pisze
bardzo wiele. Mniej i
bardziej sensownie. Gdy-
bym Ciebie zapytał o
wyróżniki, które decydu-
ją o odrębności teatru
telewizyjnego w stosunku do
teatru i filmu...

J. ANTCHAK: — Zaczęty
od tego, że teatr telewi-
zyjny wywodzi się z teatru.
I tu i tam czas ide-
ny równa się w zasadzie
faktycznemu. Jeżeli aktor
wrazem z kamerą tworzy
scenę w kierunku drzwi,
to zabiera mu to tyleż cza-
su, ile czynność ta zaję-
łaby mu w życiu. Natomiast
w filmie możemy ten
czas dowolnie skrócić
montażem. No, to zro-
bieniu pierwszego kroku
w kierunku drzwi przez
aktora możemy od razu
pokazać go z reką na
krawędzie.

— Na razie wymieniasz
wspólne cechy teatru
TV z teatrem. A mia-
łobyś mówić o wyróż-
nikach.

J. A.: — Pamiętam. Po-
wołaj jednak, że powiem
o jeszcze jednym łączni-
ku. Jeżeli nie z teatrem
w ogóle, to z tak zwanym
teatrem aktora. Istnie-
nie także inny rodzaj
teatru — teatr insceniza-
cyjny. Ten nas z punktu
widzenia telewizyjnego nie
interesuje. Uważam bowiem
teatr TV za teatr aktora.
W swoich insceniza-
cjach zawsze wywołuję
się przez aktora. On jest
głównym arbitrem. Ale
miałem mówić o różni-
cach. Otóż spektakle teatru
TV trwają na ogół
krócej, co prowadzi do
większego zagęszczenia
tekstu, do oszczędności
selekcji. Ponadto ob-
sada. Teatr słyszany jest
w tym względzie na swo-
ją stałą ekwidancję. Do
spektakli w telewizji
możemy angażować aktorów
z różnych teatrów,
co pozwala nam — przy-
najmniej teoretycznie —
zblżyć się do obsady opty-
malnej.

— Dobrze, że dodałeś
swoje „teoretycznie”. Reży-
serzy telewizyjni nie
zawsze chyba umieli
korzystać z tej szansy.

J. A.: — Nie wypowia-
dam się. Wróćmy raczej
do wyróżników. Jest jesz-
cze jeden: telewizyjna for-
ma przekazu. Albo in-
aczej — oko kamery. To
ono patrzy za widza. W
teatrze widz sam błądzi
wzrokiem po scenie i za-
wiesza go na tym akto-
rze, czy przedmiocie, któ-
ry go w danej chwili za-

interesował. W telewizji
tego wyboru dokonuje za-
wieszka reżyser, kierując
wzrostem swego widza
kamerą. To wielka od-
powiedzialność. Ponadto
kamera inaczej buduje
ruch sceniczny. Zastępuje
go ruchem własnym, zbl-
żeniem, oddaniem, pano-
ramą.

— To w sferze wizual-
nej, a w planie aku-
stycznym?

J. A.: — W teatrze ak-
tor musi przetrząść sło-
wo przez ramy by do-
tarło do publiczności. W
telewizji można stosować
ciszenie, co nadaje wi-
dowisku intymność.

— Znaczący, że eksper-
ymenty Grotowskiego, po-
legające m. in. na wy-
próbowaniu granie moż-
liwych fizycznych a
wiele i głosowych akto-
ra, uważasz za nieprzy-
datne dla TV?

J. A.: — Absolutnie nie-
przystanne.

— Tak się składa, że
wszystkie wymienione
przez ciebie wyróżniki
przemawiają na korzyść
teatru TV. A czy gdzieś
nie rysuje Ci się wy-
sokość zwykłego teatru?

J. A.: — Owszem. Inna
jest ekspresja teatru. Ak-
tor żyje tam rytmem wi-
dowym. Widz jest współ-
twórcą spektaklu. Aktor
w teatrze TV przeżywa
samotność kosmonauty.

— Pięknie to powie-
działeś.

J. A.: — Ponadto w teat-
rze aktor może ciągle
pracować nad rolą, dopó-
ki nie wystąpi. W teatrze
na przedstawienie. Telewi-
zja to sztuka jednorazowa.
Błąd popełniony już
nie da się wyznaczyć.
Chociaż...

— Chciał?

J. A.: — Przypomniał
mi się Holoubek w wido-
wisku „Mario i czarna
dziewka”. Sztuka ta była
dwukrotnie w telewizji.
Oba razy na żywo. Otóż
za pierwszym razem Ho-
loubek w pewnym momen-
cie zapomnieli roli. Po-
wstała chwila straszliwego
milczenia, nim gra po-
szła dalej. I wtedy stało
się coś jednorazowego.
Aktor, chcąc chyba dać
ekwiwalent za swoją sy-
mke, rzucił na scenę wszyst-
ko. To było wielkie prze-
życie. Za drugim razem
nie było dziury, wszyst-
ko poszło sprawnie, ale
moment wielkiej gry nie
powtórzył się.

— A więc znów 1:0
dla telewizji. Niemniej
trzeba przyznać, że te-
lewizja to sztuka okrut-
na. Nie zna kredytu.
Ekspozuje każdy błąd
na oczach milionów lu-
dzi.

J. A.: — Tak. Tylko ak-
tor wie, ile kosztuje go
każdy występ przed ka-
merami.

— No dobrze, a film?
Jak tu układać się re-
lacje?

J. A.: — Myślisz, oczy-
wiście, o filmie telewizyj-
nym. O to groźny konkurent
dla teatru TV! Bez-
ceremonialnie odbiera mu
całe obszary. Pamiętasz
widowiska, które reżysero-
wał w Łódzkim Ośrod-
ku Telewizyjnym, niektóre
w twojej adaptacji „Pod
drzwiami”, „Hammelmom-
mando”, „Przy trasie”,
„Złota kareta”. To co ro-
biłem wówczas to było
właściwie naśladowanie
filmu. Przez dokręcenie fil-
mowe i montaż obrazów
na żywo tworzyłem płyn-
ność widowiska zbliżoną
do filmowej. Teraz gdy
mam szansę robić filmy
telewizyjne nie widzę ce-
lu w kontynuowaniu ta-
kich form widowiska.

— Czyżbyś odstępował
się od swego łódzkiego
okresu, przekreślał do-
świadczenia?

J. A.: — Nie zapieram
mnie w matnie. Okres
łódzki kształtował mnie.
Przeżyłem warsztat realist-
yczny, który był punktem
wyjścia do dalszych po-
szukiwań. To nie jest
zwykły ułkon w stronę
Łodzi w związku z wy-
wiedem dla łódzkiego ty-
godnika. Za bardzo cenię
sobie swój okres łódzki.
Studia aktorskie, pierw-
szą występy na scenie,
pierwsze reżyserie w teat-
rze i wreszcie Teatr Po-
pułarny telewizyjny Łód-
kiej. Też się nie zapo-
minam. Jak również nie za-
pomnę nigdy słowa wspa-
nianych ludzi, z którymi
tam współpracowałem.

— A jednak uważasz,
że już teraz trzeba w
teatrze TV reżyserować
inaczej. Rozwój filmu
telewizyjnego zmusza do
szukania innych środków
wyrazu. Powiedz coś
więcej na ten temat.

J. A.: — Mówiłem, że
w łódzkich spektaklach
studijnym usiłowałem na-
śladować film telewizyjny.
Owczesne marzenia i
testy tego rodzaju za-
spokojam obecnie reży-
rując filmy telewizyjne.
W niektórych powtarza-
m nawet dawne realiza-
cje studyjne, że wspomnę
„Lubelski śnieg”, „Wy-
strzał”, czy „Mistrza”.
Jednak praca nad fil-
mem potrzebna mi jako
rodzaj błogosławienia, nie
odebrała mi anafetu na
reżyserie studyjnej. Do-
szedłem tylko do wniosku, że
nie będę uciekał się do
dokrętek filmowych. Bę-
de natomiast dążyć do
większej umowności de-
kodu, do syntezy.

— Przełoż to na mniej
teoretyczny język.

J. A.: — Dam prosty
przykład. Jeżeli rzecz ma
sie dzieć na dworcu, to
zamiast realistycznej de-
koracji próbowałbym o-
słaniać lokalizację przez
złudzenie, przez odpowied-
nie dźwięki, kre światła.

— Czy już wstąpiłeś
na te drogi?

J. A.: — Chyba tak. Po-
czynając od „Kordiana” po-
przez „Pożegnanie z Ma-
rią”. Nie chciałbym jed-
nak przybierać pozycji Ko-
lumbusa. Nad taka forma
widowiska telewizyjnego
pracuję już od dawna kon-
sekwentnie i ze znako-
mitymi rezultatami. Ha-
nuszkiewicz. Przytoczę
również „Idy marcowe”
w reżyserii Grucy. Jako
niezmiernie interesujący
przykład poszukiwań.

— Ale są w TV także
i reżyserzy wywodzący
się z teatru, którzy usta-
wiają w studio widowisko
i na próbie kamerowej
uważają już swoje zada-
nie za wypełnione.

J. A.: — Dla mnie od-
próby kamerowej zaczy-
na się zasadnicza praca
nad widowiskiem telewi-
zyjnym.

— Czy wierzysz w
szanse dalszego eksper-
ymentowania w teatrze
TV? Czy przypadkiem
granice eksperymentu
nie zostały już wypełnio-
ne?

J. A.: — Mój Boże, osta-
teczenie nie ma nic nowo-
go pod słońcem. Telewi-
zja jest młoda, musi cze-
pać z doświadczeń prze-
szłości, ze starego kina
ze sztuki ekspresjonistów.
Ale samo przyspieszenie
tych doświadczeń do no-
wej formy przekazu ma
znaczenie eksperymentu.
Eksperymentować trzeba,
bo nie w imię manie-
ru, czy bluffu. Ponieważ
mówię z toba lek w kon-
fessjonale, przyznaję się,
że sam dotąd eksperymentem
towałem zbyt nieśmiało.

— Chyba w imieniu
telewizyjów będą mówił
Ci udzielili rozgrzeszenia.
Powiedz tylko co planu-
jesz w najbliższej przy-
szłości jako pokute?

J. A.: — W tym sezonie
chciałbym realizować
w studio trzy rzeczy.
Przed wszystkim dużego
Szekspira. To pisarz skró-
ty i metafor. Moim zda-
niem nie był dotąd w TV
właściwie odczytany.

— O jakim Szekspirze
myślisz?

J. A.: — Może o „Joh-
nsona Cezara”. Dalej „Trzy
siostry” Cechowa. To wi-
dowisko musi być utrzy-
mane w szatach realistycz-
nym. Inaczej nie da się
grać Cechowa. Za to ja-
ka szansa władania się
bohatera, samodzielnia się
w najgłębsze pokłady psy-
chiki ludzkiej! Wreszcie
widowisko „O czym opo-
wiedały armaty” wiersz
„Rogów w krwi skap-
nej”. Wiosłowo. Będzie
to rodzaj ballady, w któ-
rej poszczególne części
wzajemnie będą pleśnia, a
tetent konwł konwłach za-
stąpi odliczanie.

— A więc trzy kra-
cowe próby. Będziemy
na nie czekać. Spróbuj-
my zapaść naszą rozmo-
wę jakąś kłamrą.

J. A.: — Teatr TV mu-
si się zdeklarować. Od-
ciąć od filmu i od teatru,
szukając własnych środ-
ków wyrazu. Nie umiem
powiedzieć, gdzie w tej
chwili testujemy, ale nie
wolno stać w miejscu.
Przepełnia mnie uczucie
niepokoju. Niepokój, ja-
ki sieł małe okienko te-
lewizora...

Rozmawiał:
W. ORŁOWSKI

Z bibliofilskiego raptularza

Bibliografia dawnych opisów i powieści łódzkich

Piękną pochwałę dzi-
wnych ludzi holdujących
różnym pasjom, która
wysłała spod pióra mala-
rza i publicysty Ignacego
Witza zamieszczono
ostatnio w „Głosie Ro-
botniczym”. Czytamy w
niej m. in. „Zbiera-
cze, hobbysci, kolekcjo-
nerzy, miłośnicy staroci i
amatorzy tego co tworzy
się dziś. Każdemu z nich
winnymy nasz szacunek,
każdemu z nich warto
naśladować”. Nie brak i
wokół nas takich ludzi
godnych naśladowania.
Jednego z nich i jego
pracę chcę dzisiaj przed-
stawić Czytelnikom.

Edmund Adam Jarzyń-
ski, człowiek niemłody,
liczący już 77 lat, re-
nista, dzięki swym zami-
łowaniu nie przestał
być twórczym członkiem
społeczeństwa. Z zawodu
ekonomista, z umiłow-
nia turysta, historyk i
zbieracz. Potrafił w cią-
gu kilkudziesięciu lat si-
lnie związać się z tere-
nem łódzkim, w licznych
wędrowkach poznać mia-
sto i okolice. Czynny
działacz organizacji kri-
jowawczych od lat re-
daguje Biuletyn PTTK
okręgu łódzkiego. W 12
rocznikach tego skrom-
nego i niedocenionego
przez wielu odbiorców
periodyku poza kroniką
życia organizacyjnego
zgrupowano niebagatel-
ny materiał faktograficz-
ny, obok którego nie bę-
dzie mógł przejść obo-
jętnie żaden historyk re-
gionu czy znawca zabyt-
ków.

W skromnym pokoju
przy ul. Bednarskiej za-
częły narastać zbiory:
druki związane z Łodzią,
sprawozdania, czasopis-
ma, fotografie i pocztow-
ki — skromne wydaw-
nictwa, które w rozpro-
szczeniu mogą ująć uwagi,
w zbiorze nabierają zna-
czenia. Właściciel nie
tylko gromadzi, ale i o-
pracowuje swoje zbiory.
Powstają kartoteki do-
tyczące losów domów
łódzkich, zbiory fotografii
i rycin, szczególnie z pa-
są zbiera pan Edmund
Jarzyński konterfekty
budowli zagrożonych roz-
biórka. Zgromadził wie-
le dokumentacji dotyczą-
cych nie istniejących już
obiektów. Osobną grupę
zbiorów stanowią druki
związane z historią życia
kulturalnego, a zwłaszcza
literackiego naszego mia-
sta. Kolekcjoner obiecuje
przygotowanie wystawy
pt. „Literaci i grafama-
ni Łodzi”. Jeśli do ta-
kiej ekspozycji dojdzie,
to wiele jej eksponatów
potrafi zapewne zadzi-
wić najwytrawniejszych
znawców spraw „Ziem
Obiecanej”. Pomijając
grupe twórców „z praw-
dziwego zdarzenia” dzia-
łało na łódzkim bruku
wielu amatorów ujeżdża-
nia Pegaza, którym nie-
słoty los poskąpił więk-
szego talentu. Samo ich

istnienie i to w znacznej
ilości, świadczy o aspi-
racjach kulturalnych mi-
sta, które uważano prze-
cież jedynie za siedzi-
bę biznesu. W zbiorach pa-
na Jarzyńskiego znalazła
się również spora grupa
dziełek poświęconych Ło-
dzi: przewodników, wierszy,
powieści i różnych
innych opisów stawiających
miasto pracy. Nie brak
na półkach rzeźbionej
szafy, ani flatowskiego
opisu miasta Łodzi, ani
przygód Pawła Kubowi-
cza spisanych przez pier-
szego łódzkiego twórcę
Wiktor Dłużewskiego.

Na marginesie swych
zbiorów właściciel rozpo-
czął prace dokumenta-
cyjne i bibliograficzne,
od lat prowadzi stałą rub-
rykę odnotowującą pi-
śmiennictwo o Łodzi w
Biuletynie PTTK. W
swoich poszukiwaniach
wyszedł też poza swój
zbiór odkrywając w księ-
gozbiórach i bibliogra-
fiach liczne ślady książek
będących opisami miasta
lub jego powieściowymi
portretami. W ten spo-
sób powstała wykona-
na bez subsydiów i hono-
rariów bardzo pożytecz-
na praca „Łódź w po-
wieści i opisie 1853—1939
— próba bibliografii”. Pod
tytuł że zbitynia skrom-
nością sugeruje, że pu-
blikacja ta nie jest opra-
cowaniem ostatecznym.
W istocie praca wykona-
na przez autora otrzy-
mała formę, której nie
powszyszyłby się niejeden
fachowy bibliograf. Fakt,
że spis może zawierać
niezawinione przez au-
tora luki, jest niedołącz-
ny od każdej pracy bi-
bliograficznej. Powsze-
nie wiadomo, że wykom-
nie spisu idealnego jest
zadaniem niewykonalnym.
Każda twórcza bibliogra-
fia skłania następców do
szukania uzupełnień. I
tak praca Edmunda Ja-
rzyńskiego uściśla liczne
luki i przynosi nowe
tytuły w sto-
sunku do opracowania
Ludwika Stolarzewicza
„Literatura Łodzi”. Sta-
nowi dalszy krok do
zbudowania literackich
dzieł miasta, a rów-
nocześnie bodziec do
przyszłych dociekań.

Mamy wreszcie usyste-
matyzowany spis opi-
sów Łodzi zawartych w
różnych książkach —
będzie on na pewno przy-
datny w wielu przy-
stych pracach regional-
nych. Jeśli odbiorca czu-
je pewien niedosyt, to
ze względu na brak
choćby najkrótszej adno-
tacji, czego dotyczy opi-
sowana pozycja, co nie
zawsze jasno z jej ty-
tułu wynika. Szkoda też,
że nie udało się umie-
ścić choćby najważniej-
szych powieści i opisów,
które nie ukazywały się
jako druki samostanne, a
były publikowane jed-
ynie w czasopiśmie.

JANUSZ DUNIN

Dalszy ciąg ze str. 13

Lord Linchmere! Słyszałem o nim, ale nie
mogłem niczego sobie z nim skojarzyć. Idąc
za lokajem znalazłem się w obszernym bi-
bliotecznym pokoju, gdzie przy biurku sie-
dział niewielki mężczyzna o przyjemnej,
gładko wygolonej, ruchliwej twarzy, a dłu-
gie włosy poczynające już siwieć zaczesane
były do tyłu.

— Czy pan przyszedł w związku z moim
ogłoszeniem, doktorze Hamilton? — spytał.
— Tak, sir.
— Czy spełnia pan warunki?
— Wydaje mi się, że tak.

— Jest pan silnym człowiekiem, przynaj-
mniej na takiego pan wygląda.
— Sądzę, że jestem dość silny.
— A refleks?
— Także mam niezły.

— Czy był pan kiedykolwiek narażony na
jakieś niebezpieczeństwo i wiedział pan o
tym?

— Chyba nie.
— A czy jest pan pewien, że działałby
pan szybko i z zimną krwią?

— Prawdopodobnie tak.
— Mnie się też tak wydaje. Mam do pa-
na zaufanie, ponieważ nie mówi pan o sy-
tuacjach nowych dla pana z wielką pew-

nością siebie. Mam wrażenie, że jeżeli ch-
dzi o kwalifikacje osobowe, to jest pan czło-
wiekiem, którego potrzebuję. To już zata-
wione, a teraz przejdźmy do następnego
punktu umowy.

— Proszę mi opowiedzieć o chrząszczach.
Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem, bo
myślałem, że żartuje, lecz on wsparły na
biurku z ciekawością patrzył na mnie, ale
w jego oczach odkryłem odrobinę niepokoju.
— Co, nie pan nie wie o chrząszczach? —
wykrzyknął.

— Wręcz przeciwnie, sir. Jest to jedyna
gałąź wiedzy, o której, jak sądzę, naprawdę
mogę coś powiedzieć.

I opowiedziałem. Nie twierdząc, że powiedziałem
coś oryginalnego na ten temat, ale w
niewielu słowach nakreśliłem charaktery-
stykę chrząszczy i przeszedłem do bardziej
popularnych gatunków, opierając się na
przykładach okazów z mojego niewielkiego
zbioru oraz na artykule pt. „Hodowla
chrząszczy”, który napisałem dla „Entomolo-
gicznego Miesięcznika Naukowego”.

— Co! Pan nie uważa siebie za kolekcy-
nera chrząszczy? — wykrzyknął lord Lin-
chmere. Jego oczy błyszczały z zadowolenia.
— Jest pan najodpowiedniejszym człowiekiem
w Londynie, który nadaje się do wykonania
mojego zadania. Wiedziabem, że w pięciolet-
nym okresie powinien się znaleźć ktoś

taki, ale trudność polegała na odnalezieniu
go. Ja miałem to szczęście.

Zadzwonił. Wszedł lokaj.

— Poproszę Lady Rossiter, aby przyszła tu-
ta! — powiedział, a po pewnym czasie La-
dy weszła do pokoju. Była to niska w śred-
nim wieku kobieta bardzo podobna do Lor-
da Linchmere, z taką samą żywą twarzą i
poczynającymi już siwieć włosami. Wyrax
niedowierzania był większy na jej twarzy
niż uprzednio na twarzy Lorda. Wyczyta-
łem też z niej, że ma ona wielkie smutnienie.
Gdy Lord Linchmere przedstawiał mnie
— dokładnie zobaczyłem jej twarz i byłem
wstrząśnięty widząc już trochę zaleconą
bliznę długości dwóch cali nad prawą brwią.
Była ona częściowo zaklejona plasterem, w
każdym bądź razie wiedziałem, że było to
poważne skaleczenie i to zupełnie jeszcze
świeże.

— Doktor Hamilton jest jedynym czołwie-
kiem dla nas, Evelyn — powiedział Lord
Linchmere. — Kolekcjonuje też chrząszcze
a nawet na ten temat pisał artykuły.

— Naprawdę? — zdziwiła się Lady Ros-
siter. — To musiał pan słyszeć o moim mę-
żu. Każdy, kto cokolwiek wie o chrząszczach,
musiał zetknąć się z nazwiskiem Sir Tho-
masa Rossiter.

Po raz pierwszy drobna smuga światła
wdarła się na chwilę do wnętrza tej tajem-
niczej sprawy. Oto co łączyło tych ludzi z
chrząszczami. Sir Thomas Rossiter — był on
największym autorytetem świata w tym

przedmiocie. Studium poświęcił całe swoje
życie i napisał najbardziej wyczerpującą pra-
cę o chrząszczach. Zapewniłem Lady Ros-
siter wówczas, że czytałem tę książkę i wyra-
żam się o niej z uznaniem.

— Czy spotkał pan mojego męża?

— Niestety, nie.

— Przedstawimy go panu — powiedział
Lord Linchmere zdecydowanym głosem.

Lady stała obok biurka i położyła rękę na
jego ramieniu. Gdy zobaczyłem ich twarze
obok siebie — zrozumiałem, że są rodzeń-
stwem.

— Czy to już postanowione, Charles? To
bardzo szlachetnie z twojej strony, ale ja
się tego boję. — Jej głos drżał z obawy, a
on wydał mi się zupełnie spokojny, chociaż
czułem wszystko z wielkim wysiłkiem i sta-
rał się ukryć swoje zdenerwowanie.

— Tak, tak, kochanie. Wszystko jest po-
stanowione i naprawdę nie ma innego wyj-
ścia.

— Jest jeden zupełnie pewny sposób.

— Nie, Evelyn, nie opuszczaj mnie. Nigdy.
To wszystko się zmieni, wierz mi, i na pew-



O Dzikowie, „Garści popiołu“ i innych sprawach

Rozmowa z Marianem Piechałem



„Odgłosy” — Czterdzieści lat temu, w nocy z 20 na 21 grudnia 1927 roku, padł pastwą płomieni słynny pałac w Dzikowie. Na ratowanie ginących dzieł sztuki i bezcennych zbiorów książkowych pośpieszyli okoliczni chłopcy, z których kilku poniosło śmierć. Fakt ten natchnął Pana do napisania „Garści popiołu”. Czy mógłby Pan opowiedzieć naszym czytelnikom jak doszło do napisania tego głosego przed wojną poematu?

M. Piechała — Nigdy nie piszę niczego pod pierwszym impulsem. Od pierwszego błysku tak zwanego pomysłu utworu do jego realizacji w pełnym kształcie upływa zazwyczaj wiele tygodni, miesięcy, a nawet lat. Wiersz „Faryż” na przykład, pisałem lat dwanaście. Pierwszy jego rzut powstał w Paryżu w 1935 roku, nawet drukowany był w następnym roku w lubelskiej „Kamienie”, ale ostatecznie dokończyłem go w dzisiejszej jego postaci drukowej we wszystkich powojennych wydaniach moich wierszy dopiero w roku 1947. Wiersz „Garść popiołu” powstał natomiast wzmianki prasowej o pożarze pałacu w Dzikowie zaczęły się ukazywać z następnego roku. Zasadę o początku roku następnego zaczęły się ukazywać obszernie opisy tego pożaru wraz z publicystycznymi komentarzami w tygodnikach i periodykach literackich. Pożar ten, który pochłonął dziełce ofiar spalonych żywcem i kilkanaście rannych i ciężko poparzonych spośród spontanicznych ratowników bibliotek i muzeum, mieszkających się w zamku dzikowskim, wstrząsnął opinią całej Polski. Trudno było być obojętnym wobec faktu, w którym większość bohaterów należała do młodzieży, i to młodzieży chłopięco-robotniczej, zwłaszcza, gdy się samemu do niej należało (miałem wtedy lat 22), a przede wszystkim, gdy się było pod fascynacją pierwszych lektur marksistowskich i głoszących wtedy przez polską lewicę hasła jedności chłopięco-robotniczej (pisałem wtedy wiersze, które dwa lata później wyszły w tomie „Krzyk z miasta”). Spośród starszych w pożarze zginęły trzy osoby — strażak Wojciech Skiba, chłop z Dzikowa, Aleksander Pomykański, murarz z Tarnowa, ojciec kilkorga dzieci i Józef Bil, stolarz z Dzikowa, zaś spośród młodzieży sześć osób. Grzegorz Bil, syn Józefa, Władysław i Bronisław Włacek, bezrolni, sezonowi chłopi z Dzikowa, Alfred Freyer, sportowiec, syn nauczyciela z Dzikowa

oraz dwoje uczniów — Jan Mastalerczyk, uczeń 6-ej klasy gimnazjum z Dzikowa i Janina Kocznerówna, z pobliskiej wsi Bliżyn, uczennica ostatniego kursu Seminarium Nauczycielskiego w Tarnobrzegu. Wrażenie tej tragedii nurtowało we mnie długo, ale dopiero obszerny artykuł niedawno zmarłego pisarza Jana Wilkora, szczegółowo opisujący pożar dzikowski w „Wiadomościach Literackich”, zrodził we mnie pomysł napisania o nim utworu poetyckiego. Zrazu miał to być krótki wiersz, po prostu elegia o poległych od ognia bohaterach, bo właśnie przygotowywałem do druku drugi tom moich wierszy pod tytułem „Elegie”, ale w ciągu trzech lat powracania do niego ten wiersz o Dzikowie, który miałem zamiar zatytułować „Elegia całopalna”, nie wychodził. Ostatecznie wydałem rzeczony tom wierszy w roku 1931 bez tej elegii, nazywając cały tom jej tytułem: „Elegie całopalne”. W przypisach na końcu tomu zaznaczyłem, że „wiersz o pożarze zbiorów dzikowskich... zachowywał się tak anarchicznie i niesforne, że autor był po prostu zmuszony zupełnie go stać usunąć”. Czyli przyznawałem się, że utwór mi nie wychodził. Ale po kilku miesiącach wyszedł. Można powiedzieć, że wyskoczył mi spod pióra nagle i to nie w postaci wiersza, lecz szeregu wierszy, dokładając trzynastu, powiązanych ze sobą jednostką akcji, myśli i nastroju, czyli w postaci poematu. A więc pomysł, który dojrzał we mnie przeszło cztery lata, został napisany w ciągu czterech dni w Zakopanem w połowie czerwca 1932 roku w willi „Świątłana” na ulicy Nowotarskiej, właśnie w tym samym pokoju, w którym mieszkał przed kupnem Harendy Jan Kasprów. Mówię o tych szczegółach, bo one tłumaczą pewne fragmenty w moim poemacie. Któregoś popołudnia, wróciwszy z odwiedzin grobowca największego poety chłopięcego na Harendzie do swego pokoju z widokiem Giewontu za oknem, zasiadłem do pisania. Przez cztery dni z rzędu udawałem chorego, nie wychodząc z pokoju. Piątego dnia, rzeczywiście prawie chorego, wyszedłem do Doliny Strążyskiej pod Giewont z gotowym poematem, a nazajutrz jakby w podziękę powtórnie odwiedziłem grób na Harendzie. Ten poemat, który nazywałem „Garścią popiołu”, a który jest jakby dialektyczną konsekwencją „Elegii całopalnych”, oddany do druku we wrześniu wyszedł w listopadzie tegoż samego roku 1932 jako edycja nieledwie bibliofilska w opracowaniu graficznym i z drzeworytami jednego z najwybitniejszych grafików polskich Stanisława Ostoi-Chrostowskiego. Dziś z całego poematu podoba mi się tylko jedno zdanie, dotyczące już nie tylko ofiar pożaru, lecz historycznego losu chłopstwa polskiego w ogóle: „Dziełów wazszej niedoli księgi nie ogarna grobami wszystkich czasów w ziemi drukowane”.

„Odgłosy” — Czy przed napisaniem „Garści popiołu” był Pan w Dzikowie?

M. Piechała — Nie, nigdy. Ta starodawna rezydencja hrabiów Tarnowskich przed pożarem ich zamku znana była szerokiemu ogółowi raczej z produkcji doskonałych

wódek, niż konserwowanych tam zabytków kultury.

„Odgłosy” — Wiadomo nam, że Telewizja Polska zamierza zrobić film o tamtych wydarzeniach na kanwie Pańskiej „Garści popiołu”. Czy zechciałby Pan powiedzieć nam coś bliższego na ten temat?

M. Piechała — Owszem, Telewizja Polska powzięła taki zamiar. Realizuje się on jednak dosyć nieśpiesznie. A sam temat Dzikowa, niezależnie od mego poematu i zdarzenia w nim utrwalonego, wart jest opracowania telewizyjnego i naczynego podania telewidzom całego kraju. Bo Dzików, dziś przedmieście Tarnobrzega tuż nad Wisłą powyżej Sandomierza, to w przeszłości i jeszcze w momencie pożaru owego słynnego zamku nie był zwykłą wsią. To siedziba możnego rodu hrabiów Tarnowskich, wywodzących się od słynnego hetmana wielkiego koronnego Jana Tarnowskiego (1488—1561), zwycięzcy spod Obertyna i spod Starodubia, poza tym światłego autora strategicznego dzieła „Consilium rationis bellicae”. Z tychże czasów pochodzi dzisiejszy zamek dzikowski. W sto przeszło lat po hetmanie prawnuk jego, Jan Stanisław Tarnowski, buduje klasztor Dominikanów w Dzikowie (1676), rozbudowując także samo miasto Tarnobrzeg. Jeszcze w sto lat później zasłynął z filantropii społecznej i ofiarności patriotycznej inny przedstawiciel tego rodu, Marcin Tarnowski (1772—1862), który w roku 1809 ufundował własnym sumptem pułk jazdy w obronie ojczyzny przed Prusakami. Wreszcie z tejże linii rodowej pochodzi znany historyk literatury, Stanisław Tarnowski, przywódca krakowskich stańczyków, protektor trzeźwych pozytywistów, a pogromca młodopolskich „nagich dusz”. Jedynie ostatni potomkowie tego rodu, wbrew tak pięknej jego tradycji, nie zdobyli się nawet na dostateczne zabezpieczenie zamku i jego wartości kulturalnej. Trzeba dodać jeszcze, że w Dzikowie w roku 1796, o czym nie każdy wie, urodził się jeden z najwybitniejszych pedagogów, bajkopisarzy i autorów dla dzieci, Stanisław Jachowicz, a także urodził się tam w roku 1844 Jan Stomka, słynny autor pierwszego pamiętnika chłopca pańszczyźnianego z połowy ubiegłego wieku. Dziś w odbudowanym i odrestaurowanym zamku dzikowskim mieści się szkoła rolnicza, w której uczą się potomkowie rodzin dawnych ofiar słynnego pożaru. Niedaleko Dzikowa leży znana wioska Wielowieś, w której urodził się zmarły niedawno poeta, Stanisław Piętak, i w której jedna z królowych polskich — Bona — urodziła syna.

„Odgłosy” — Czy w związku z 40-leciem pożaru ukaże się „Garść popiołu” w osobnym wydaniu?

M. Piechała — Ma się ukazać. Rozmawiałem w tej sprawie pozytywnie z dyrektorem PIW-u, Stanisławem Bębenkiem.

„Odgłosy” — I jeszcze pytanie zwyczajowe: co Pan pisze, jakie nowe rzeczy przygotowuje Pan do druku?

M. Piechała — O, piszę, i to swoim nie-dobrym zwyczajem wiele rzeczy naraz. Niektóre ciągnę od kilku lub nawet kilkunastu lat, co chyba nie zdziwi nikogo, kto przeczytał początek naszej rozmowy. Konkretnie: kończę nowy tom wierszy dla „Czytelnika”, przygotowuję do druku w Wydawnictwie Łódzkiej zbiór szkiców podróżniczych, wybór satyr (starych i nowych) dla jednego z wydawnictw warszawskich, nowe poprawione i poszerzone wydanie książki „O Norwidge”, wreszcie książkę o Syberii.

Wywiad przeprowadził Jk.

Żarty o artystach



no tak będzie, jeżeli sama opatrność zysła nam takiego człowieka.

Byłem trochę zakłopotany, bo wiedziałem, że pogrążyłem w swoich kłopotach zupełnie zapomnieli o mnie. Lecz Lord Linchmere zwrócił się nagle do mnie w sprawie mego angażu.

— Sprawa wygląda tak, doktorze: powinien pan być całkowicie do mojej dyspozycji. Pojedzie pan ze mną i cały czas będzie się pan znajdował przy mnie i musi mi pan przyrzec, że bez zadawania zbędnych pytań będzie pan robił wszystko, o co pana poproszę, nawet jeżeli będzie to się panu wydawało najbardziej absurdalne.

— Mam kilka pytań — powiedziałem. — Niestety, nie mogę na razie panu na nie odpowiedzieć, ponieważ sam nie wiem, jaka sprawa przybierze obrót. Ale może pan być pewny, że nie będzie pan zmuszony do uczynienia czegokolwiek, co byłoby sprzeczne z pańskim sumieniem, obiecuję panu, że jeżeli wszystko się skończy, zostanie pan sowiec wynagrodzony.

— Jeżeli skończy się szczęśliwie — powiedziała Lady.

— Oczywiście — potwierdził Lord.

— A wynagrodzenie? — spytałem.

— Dwadzieścia funtów dziennie.

Byłem zdumiony tak wielką stawką i chyba to się odbiło na mojej twarzy, bo Lord Linchmere powiedział:

— Jest to raczej rzadki zestaw umiejętności, co zresztą musiało pana trochę zdziwić, gdy czytał pan ogłoszenie. Oprócz tego bardzo możliwym jest, że cała sprawa skończy się w ciągu dwóch dni.

— Oby dał Bóg — westchnęła siostra.

— A teraz, doktorze, czy mogę liczyć na pana?

— Naturalnie. Musi mi pan tylko powiedzieć, jakie są moje obowiązki.

— Najpierw wróci pan do domu i zabierze z sobą niektóre rzeczy potrzebne do krótkiego pobytu na wsi. Wyjedziemy ze stacji Paddington o 3.40 po południu.

— Czy jedziemy daleko?

— Do Pangbourne. Spotkamy się przy kiosku o 3.30. Będzie już miał bilety. Do widzenia, doktorze Hamilton! Aha, jeszcze jedna sprawa, o której bym zapomniał: byłoby bardzo dobrze, gdyby pan wziął z sobą, oczywiście jeżeli pan ma, dwie rzeczy: kasety do zbierania chrząszczy oraz laskę grubą i ciężką.

Wieczór minął spokojnie i przyjemnie a ja o nie bym się nie martwił, gdyby nie to napięcie, jakie wyczuwałem u Lorda Linchmere. A Sir Thomas Rossiter mówił o swojej nieobecnej żonie i o synu, który uczył się w jednej z miejskich szkół. „Dom, powiedział gospodarz, jest jakby nie ten sam bez nich”. Gdyby nie praca naukowa, nie

wiedziabym jak dzień przeżyć. Po kolacji przez pewien czas paliliśmy w sali bilardowej i potem poszliśmy do swoich sypialnych pokoi.

I wtedy stało się coś, że zacząłem Lorda Linchmere podejrzewać o to, że jest nienormalny.

— Doktorze — powiedział niskim, zdyszonym głosem — musi pan iść ze mną. Spędzi pan noc w moim pokoju.

— Co pan ma na myśli?

— Wolę teraz nie wyjaśniać. Jest to część pańskich obowiązków. Mój pokój jest tuż obok pańskiego i może pan wrócić do siebie, zanim służący zapuka do pana rano.

— Ależ dlaczego?

— Bo jestem nerwowo i boję się być sam — odparł. — Oto powód, jeżeli o powód panu chodzi.

Było to groźne wariactwo, ale dwadzieścia funtów dziennie też miało swoje znaczenie. Poszedłem za nim.

— Przecież tu jest tylko jedno łóżko!

— I tylko jedna osoba je zajmie — odrzekł Lord.

— A druga?

— Pozostanie na straż.

— Dlaczego? — zdziwiłem się. — Myśli pan, że ktoś na pana ma zamiar napaść?

— Tak.

— Można zamknąć drzwi na klucz.

— Ależ ja chce być napadniętym.

To wyglądało na naprawdę groźne wariactwo, ale nie mi nie pozostawało, jak

tylko podporządkować się Lordowi. Wzruszyłem ramionami i usiadłem w fotelu przy wygaszonym kominku.

— Czy mam tak siedzieć?

— Będziemy czuwać na zmianę. Ja będę spał do drugiej, a pan od drugiej będzie odpoczywał.

— Dobrze.

— Wobec tego proszę mnie zbudzić o drugiej.

— Oczywiście.

— Proszę nasłuchiwać, a jeżeli coś się stanie, proszę mnie natychmiast obudzić, natychmiast, słyszy pan?

— Może pan na mnie polegać — powiedział równie uroczyście tonem, jak on.

— I na miłość Boską, niech pan nie zaśnie — powiedział, zdjął marynarkę i narzuciwszy koc, położył się.

Było to smutne wyczekiwanie wypełnione rozmyślaniami o ich szalonych zabawach. Przypuśćmy nawet, myślałem, że z jakiegoś powodu Lord Linchmere podejrzewał, że w domu Sir Thomasa Rossitera grozi mu niebezpieczeństwo, dlaczego nie zabezpieczył się przed nim zwykłym zamknięciem

Dalszy ciąg
na str. 16



Bez strachu

LUDZIE I ZWIERZĘTA

Ludzie zabijają zwierzęta, oswajają je, uczą, tresują, kochają nawet. Ten stan rzeczy jest zgodny z ustaloną przez nas hierarchią bytów ożywionych, z proponowanym i realizowanym przez nas układem biologicznym świata. Zgodnie z tym układem zwierzę jest uprawnione do okazywania człowiekowi posłuszeństwa, winno być pojętne w tresurze, wolno mu także człowieka kochać. Gorzej, gdy zwierzę zabije człowieka, a dzieje się to przecież wcale nierzadko, a co dopiero gdyby znalazło się zwierzę, które umyślnie człowieka ośwoi, uczy, tresować. Sądząc, że na ten temat napisano by natychmiast dzieła naukowe i powieści, gdzieś tam podobno wilki i małpy zajęły się edukacją zagubionych ludzkich dzieci — nie wiem czy wilki i małpy były zadowolone z uczniów — nie znam także opinii ich uczniów. Z punktu widzenia hierarchii biologicznej granica między ludźmi a zwierzętami nie jest zupełnie ścisła — liczne wypadki graniczne to upotwornieni ludzie, ucłowieczone zwierzęta. Ponadto struktura obu światów nie jest zasadniczo odrębna, lecz analogiczna, dla porównania domowej kury robak jest zwierzęciem, a kura jest zwierzęciem dla lisa czy jastrzębia. Istnieją zatem „zwierzęta zwierząt” i kolejno zwierzęta tych zwierząt — tak chyba bez końca. Niegdyś biały człowiek miał tu i ówdzie swoich tubylców, owi tubylcy uciskali innych prymitywniejszych, sobie podległych tubylców, a wśród tych najbardziej uciskanych byli jeszcze szczególnie przeznaczeni do najcięższej pracy, którzy uciskali po trochu takich, którzy przeznaczeni byli zgola do zjedzenia. Biały człowiek uciskał innych białych, wykorzystując przewagę ekonomiczną, administracyjną, przewagę fizyczną towarzyską, techniczną i wiele jeszcze przewag. Sam znam niejednego, który twierdził, że go tępią, likwidują, pozbawiają środków do życia, że jest ścigany, śledzony i rozszarpywany w kawałki. Rzecz szczególna, że ci, którzy się o to obwiniał, uważali, że działa podobnie na ich szkodę. Kto więc jest z nich komu człowiekiem, a kto zwierzęciem? czy raczej mają obie strony, czy też obie strony nie mają racji? Sam kiedyś funkcjonowałem w podobnych układach — tępiłem i byłem tępiący. Od pewnego czasu te sprawy ustaliły — co więcej, przemyślawszy dokładnie przeszłość, doszedłem do wniosku, że nigdy nikogo nie tępiłem i nie byłem tępiący. Wszystko to były zdynamizowane księgi fantazji i przeczuć... W każdym razie nikt mnie nie ściga obecnie, chociaż jestem pełen winy i powinienem wzbudzać podejrzenia. Tymczasem chodzę sobie bezkarnie, bez strachu — piszę co chcę i muszę pisać, jadę to na co mam apetyt — nikt mi nie wytacza żadnych pretensji — czy świat o mnie zapomni — gdzie moi niezliczeni wrogowie — czy nigdy nie istnieli? Kiedyś zerwał się ze smyczy zły pies mego sąsiada — skoczył do mnie i... począł obwąchiwać mi rękę. Stał się zdumienie własną bliskością — człowiek i zwierzę.

BERNARD SZTAJNERT



Rys. W. Kondek



FILM
1967

Także w Warszawie odbył się przegląd filmów Kona Ichikawy, obok Kurosawy i Mizoguchiego — trzeciego z wielkiej trójki mistrzów japońskiego kina.

Ukazał się numer miesięcznika „Kino” poświęcony w całości zagadnieniom erotyzmu filmowego. Cały nakład pisma rozszedł się momentalnie.

Rok 1967

przyniósł też wiele rzeczy smutnych i nieodwracalnych

Tragiczną i niepotrzebną śmiercią zginął Zbigniew Cybulski — jedyna gwiazda polskiego filmu i jedyna, nim, jak dotąd, autentyczna osobowość. Ostatnią kreację Cybulskiego zobaczyliśmy w kinie filmie „Morderca zostawia ślad” Po raz ostatni niezapomniany głos tego aktora usłyszeliśmy w „Jowicie” Morgensterna.

Zmarł przedwcześnie wielki aktor amerykański Montgomery Clift — jeszcze jedna ofiara Hollywood i związanej z nim stylu życia. Ocalała liście Clifta w jego ostatnich, niestety kreacjach, w „Wyroku w Norymberdze” Kramera i w „Doktorze Freudzie” Hustona.

W wypadku samochodowym zginęła Francoise Dorleau, inteligentna i uroczą aktorka francuska, siostra Catherine Deneuve. Podziwialiśmy jej znakomitą, niezwykle grę w „Człowieku z Rio” de Broki i w „Matni” Polańskiego.

Fot. W. Parys

dotyczą spraw najistotniejszych i najtrudniejszych. Wszystkie trzy odważnie i świetnie zrealizowane.

Rok 1967 obfitował w mnóstwo sensacyjnych wydarzeń

W Łodzi otwarto w lipcu pierwsze w Polsce kino mogące wyświetlać filmy realizowane na taśmie 70 mm. Przy pominięciu ten fakt, ponieważ „Przekrój” chciał nam odebrać pierwszeństwo, donosząc w numerze 1183 i to na okładce (obok dziewczyny!), że pierwszym kinem o systemie projekcji Todd — A.O. jest krakowski „Kijów”. Protestujemy, Łódź była pierwsza!

W Łodzi, zgodnie z tradycją, (zaczynamy nareszcie mieć tradycję!) odbył się kolejny festiwal festiwalu filmowego.

pod zmienioną nazwą „Konfrontacje 66”. Dzięki tej interesującej imprezie można było obejrzeć filmy najważniejszych produkcji i w dodatku nagrodzone. Z prezentowanych w ramach Konfrontacji dzieł, najbardziej nam się podobały: „Na los szczęścia, Ballazarze” Bressona, — mądry, gorzki film o okrucieństwie i rozpaczliwej losu ludzkiego, „Niepokój” wychowanka Törlessa, reżysera Schlöndorfa — mądry i piękny film o okrucieństwie i obojętności oraz „Wóz do Wiednia” Kachyna — mądry i smutny film o okrucieństwie i nienawiści. Wszystkie trzy

W Warszawie i w Łodzi odbył się festiwal filmów zrealizowanych przez studentów łódzkiej PWSTiF. Najciekawszymi filmami festiwalu okazały się: „Śmierć prowincjała” K. Zanussiego, (w międzyczasie zdobył już kilka poważnych nagród międzynarodowych), „Mucholud” Marka Piwoworskiego i „Każdemu to, czego mu wcale nie trzeba” Grzegorza Królikiewicza.

W Warszawie zorganizowano przegląd filmów szwedzkich, podczas którego raz jeszcze przekonaliśmy się, iż antagoniści i konkurenci Ingmara Bergmana do pięciu mistrzów nie dorastają.

Największym osiągnięciem minionego roku był na naszych ekranach niezrównany i niezapomniany „GRIK ZORBA” Michaela Cacoyannis. Kino dla wszystkich, dla snobów i prostaków, znawców i dyletantów, wapieniaków i nastolaków! Słowem — cionu sezonu!

Popularnym przebojem, przyprowadzonym dawka nowości i filozofii, tudzież wdziękami Julie Christie był film angielski, reżyserii Johna Schlesingera „DARLING”. Sama płakałam, bo to i życie, i także filmowe!

Dalszy ciąg ze str. 15

drzwi? Jego odpowiedź, że chce być zaatakowany, — wydała mi się wierutną bzdurą. Dlaczego on tego pragnie? I kto go napadnie? A ja tymczasem siedziałem przy wygaszonym kominku i nasłuchiwałem tykania zegara, który dzwonił co kwadrans. Było to czuwanie ciagnące się w nieskończoność. Nie licząc zegara — ten wielki dom zalegała głucha cisza. Mała lampka na stole tuż obok mojego łóżka, rzuciła świetlny krąg wokół mnie, lecz reszta pokoju tonęła w cieniu. Na łóżku Lord Linchmere oddychał spokojnie. Zazdrościłem mu tego, że może spać, a moje powieki co chwila opadały, ale poczucie obowiązku było silniejsze i dlatego ani przez moment nie pozwoliłem sobie nawet na małą drzemkę, przecierałem oczy rekoma, wyczekując końca mojego dyżuru.

I wreszcie usłyszałem jak w głębi korytarza zegar wybił godzinę drugą. Wtedy obudziłem Lorda.

— Czy słyszał pan coś — spytał.
— Nie, sir. Już druga.

— Dobrze. Teraz moja kolej. Może pan spać.

Ułożyłem się pod kocem, jak on przedtem, i usnąłem. Pamiętam tylko, że resztki

mojej świadomości zanotowały taki obraz: w kręgu palącej się lampy mała postać Lorda Linchmere i jego przerażona twarz.

Nie wiem jak długo spałem; ktoś mocnym szarpnięciem wyrwał mnie ze snu. W pokoju było ciemno, lecz po ostrym zapachu nafty poznałem, że zgaszono lampę dopiero przed chwilą.

— Szybko! Szybko! — szeptał mi do ucha Lord.

Wyskoczyłem z łóżka, a on wciąż trzymał mnie za ramię.

— Tam! — szepnął i pociągnął mnie do kąta. — Cicho! Słyszysz pan?

W ciszy nocy wyraźnie słyszałem, jak ktoś wolno idzie przez korytarz. Czasem, około pół minuty, nie było nic słychać. Potem znów kroki. Mój towarzyszył drżał z podniecenia. Jego ręka ściskająca moje ramię, chwiała się w nerwowym przestachu, jak gałąź na wietrze.

— Co to jest? — spytałem szeptem.

— To on!

— Sir Thomas?

— Tak.

— Czego on chce?

— Cicho! Proszę nie robić bez mojego rozkazu.

Ktoś chwycił za klamkę naszych drzwi, a po chwili zobaczyłem ciemną sylwetkę mężczyzny w słabym świetle, jakie ssażyło się z na wpół ciemnego korytarza. I nagle

postać ta doskoczyła do łóżka uderzając raz za razem czymś ciężkim w to miejsce, gdzie przypuszczalnie miała spoczywać głowa Lorda Linchmere.

Byłem jak sparaliżowany. Stałem w miejscu w bezruchu, ale mały Lord Linchmere już trzymał z tyłu w klasycznym zapaśniczym uścisku swojego szwagra. Skoczyłem mu na pomoc i obaj powaliliśmy Sir Thomasa na podłogę i wówczas jego zęby wczepiły się w moje ramię. Związaliśmy mu paskiem ręce; ja trzymałem go za nogi, a Lord Linchmere zapalał lampę. I wtedy usłyszeliśmy tupot wielu nóg po schodach: zaalarmowani hałasem wdarli się do pokoju trzej lokaje. Z ich pomocą udało nam się zupełnie go obezwładnić. Wystarczyło tylko spojrzeć na jego twarz i na wielki młotek, jaki leżał obok, by wyobrazić sobie jakie niebezpieczeństwo groziło człowiekowi, który miał znajdować się w tym łóżku...

Niech dwóch zostanie przy nim — powiedział lord Linchmere. — Chodźmy, doktorze, wyjaśnij panu wszystko i chyba nie będzie pan żałował tego, że był pan tutaj ze mną tej nocy. Mój szwagier jest jednym z najlepszych ludzi na świecie. To dobry mąż, dobry ojciec, ale jest bardzo nieszczyśliwy, pochodzi bowiem z rodziny obciążonej obłędem przekazywanym z pokolenia na pokolenie. A nie jest to zwykłe szaleństwo: w czasie takiego ataku usiłuje

zamordować osobę, która jest mu najbliższa, która najbardziej go kocha. Właśnie dlatego syn został wysłany do szkoły, bo tam mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ale nie uniknął go moja siostra, żona jego... Widział pan ja w Londynie, w jakim była stanie. Rozumie pan, że podczas takiego ataku on nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, co robi. A potem nawet o tym nie pamięta. Pan był mi potrzebny jako kolekcjoner chrząszczy dla uśpienia jego czujności, a jako lekarz — do podpisania karty chorobowej, jako drugi autorytatywny świadek tego ataku...

* * *

Taka oto była moja pierwsza wizyta u Sir Thomasa Rossiera, sławnego łowcy chrząszczy, a był to jednocześnie mój pierwszy krok, jaki zrobiłem wspinając się po szczeblach kariery, bo Lady Rossier i Lord Linchmere udowodnili, że są prawdziwymi przyjaciółmi i nigdy nie zapomnieli o przyszłości, jaką im wysłuchiłem. Sir Thomas podobno już jest wyleczony, ale ja myślę, że gdybym jeszcze raz miał kiedykolwiek spędzić taką noc, jak wtedy — to wówczas niechybnie nie wytrzymałbym i zamknąłbym drzwi od wewnątrz.

Tłumaczył ROMAN GORZELSKI

FILM 1967

Ostatnio zagrzmiły nam także „DZIAŁA NAWARONNY”, reż. Lee Thompson, film opowiadający o wojnie w sposób, jaki nawet kobiety przyjąć mogą bez większych oporów, tym bardziej, że w jednej z głównych ról występuje sam najczarowniejszy i najurokliwszy Gregory Peck.

Miłośnicy westernu otrzymali kasek nie lada. Z wieloletnim wprowadzaniem opóźnieniem, ale zawsze lepiej późno niż wcale, obejrzelibyśmy młody i doskonały film Howarda Hawksa „Rzeka Czerwona”. Jedną z pierwszych ról Monty Chiffa Światy John Wayne grający jedną z najciekawszych, najboszszych, najbardziej złożonych wewnętrznie postaci w historii westernu Arcydzieło epiki filmowej!

Miłośnicy moonych, męskich filmów, zostali w pełni usatysfakcjonowani, kapitalnie skonsternowani — filmem Johna Sturgesa „Czarny dzień w Black Rock”. W westernowej roli anioła ładu i sprawiedliwości wystąpił też już, niesłusznie, nieżyjący Spencer Tracy. Film Sturgesa trzyma widza w napięciu od pierwszego do ostatniego kadru. A ocalały Tracy bije na głowę wszystkich amantów Hollywood.

Najlepszą komedią roku 1967 była czarna komedia hiszpańska „KAT” Luisa Berlangi — drastyczna, opaniewiona o konsekwencjach konformizmu, Światy przykład autentycznie hiszpańskiego widzenia świata.

Na naszych ekranach błysnęły dwie, ale za to jakie gwiazdy: Greta Garbo w starym i do tej wspaniałej filmie „Ludzie w hotelu” oraz Jeanne Moreau w „Nocy” Antonioniego. Antonioni stał się ostatnio mniej modny, przegrywając o pierś z Godardem, o którym wszyscy pisali zanim jeszcze CWF umożliwiła szerokim masom obejrzenie nie głośniejszych dzieł apostoła nowego kina. W tym roku ukazały się trzy filmy Godarda: „Pogarda”, „Alphaville” i „Żyć własnym życiem”, stając się z miejsca przedmiotem żywych i gorących dyskusji. Na ogół wszyscy wypowiadali się pro, bo to i Francuz, i bardzo teraz

modny, a u nas, co jak co, ale Francja i moda cieszą się absolutnym autorytetem.

Oprócz Godarda mieliśmy nareszcie zaszczyt podziwiać Romana Polańskiego w jego najlepszym, jak dotąd, filmie „Matnia” oraz w nieco gorszym „Wstręcie”. Twórczość Polańskiego jest znakomitą przykładem na poparcie tezy Brandysa, iż ostatnimi czasy zasadniczym tematem sztuki staje się coraz częściej samo autor. Jego świadomość i osobowość. Polański nieustannie opowiada o własnych urazach, wstrętach i kompleksach, ale na szczęście dla nas i dla siebie, czyni to przynajmniej w sposób zajmujący.

Kinematografię czeską godnie reprezentował kapitalny film Jiri Menzla „Pociągi pod ostrym nadzorem”. Takie filmy jak „Pociągi” pozwalają wierzyć, że film jest równo rzednym partnerem literatury, w co wątpili byli pisarze, którzy nie wiedzieli, dlaczego zostali filmowcami. (patrz wywiad ze Schiborem-Rylskim w numerze 10 „Kina”).

Najbardziej lirycznym filmem 1967 roku był radziecki film „Dwoje” reżyserii M. Bogina — rzecz o potrzebie i wartości uczucia.

O filmach polskich wolimy nie pisać, bo o nieobecnych nie należy mówić źle. Podobnie nam się tylko: „Westerplatte”, Stanisława Różewicza, „Bokser” Juliana Dziedziny oraz „Chudy i inni” Henryka Klaby.

Nie widzieliśmy natomiast, a szkoda, „Persony” Bergmana (powiadają, iż szwedzki reżyser osiągnął tu szczyty filmowego mistrzostwa). „Powiększenia” Antonioniego (powiadają, iż to najlepsze dzieło najbardziej europejskiego z włoskich twórców); „Mouchette” Bressona (powiadają, iż Bresson w przeciwieństwie do niektórych robi coraz lepsze filmy); „Wypadek” Loseya (też jeden ze szlagierów minionego roku!).

Najbardziej dyskusyjny i to we flegmatycznej Anglii wywołujący nowy film Richarda Lestera „Jak wygrałem wojnę”. Widocznie od czasów Shawa, nawet angielskie poczucie humoru uległo dewaluacji i synonimem męskiego Albionu połączają także rzucać gromy na tych, co szargają narodowe świętości.

Najmodniejszym obecnie tematem filmowym są Chiny, o czym świadczą chociażby dwa głośne dzieła na tematy chińskie: „Chinka” Godarda (o młodzieży francuskiej) i reżysera Marco Bellocchio „Chiny są blisko” (o młodzieży włoskiej).

W Londynie odbyła się uroczysta premiera filmu Charlie Chaulina „Hrabina z Hongkongu”. Krytycy podzielili się na dwa wzaajemnie zwalczające się obozy: zwolenników i przeciwników najnowszego dzieła mistrza. Bezsprorny sukces zdobyła natomiast piosenka z tego filmu, stając się z miejsca przebojem roku.

Interesującym zjawiskiem na mapie filmowego świata jest w tej chwili młoda kinematografia zachodniemiecka. Przeżywa ona obecnie intensywny okres burzy i naporu. Jak grzyby po deszczu rodzą się obiecujący debiutanci, pojawiają się nowe, niekonformistyczne dzieła, odważnie podejmujące drażliwe problemy federalnej rzeczywistości. Czołowymi filarami zachodniemieckiej nowej fali są: Kluge, Straub, bracia Schamoni, Schlöndorff i inni.

Osobliwym zainteresowaniem cieszy się także kino podziemne — nuri amerykańskiej twórczości filmowej — przeciwdziałającej się bardzo ostro tendencjom oficjalnej, komercyjnej kinematografii hollywoodzkiej i europejskiej. Podziemnemu kinu patronuje i papieżuje Jonas Mekas, krytyk i reżyser. Jest ono ściśle związane ze środowiskami holdujących ideom pop-artu. Realizatorzy przynależący do podziemnego kina robią filmy bardzo dziwne i przeważnie długie, czasem poczęte w oparach LSD. Ich zwolennicy utrzymują, iż stanowią one początek nowej ery w dziejach sztuki filmowej.

„Sądzę, że największym zjawiskiem naszych czasów jest zjawisko, które nazwałbym bardzo ogólnie — korupcją. Wynika ono z tego, że ludzie godzą się żyć, posługując aparatem pojęć i norm, które nie są ich własnością, lecz zostają im narzucone. Najdonioślejszą alternatywą naszych czasów, to dokonanie wyboru pomiędzy prawem jednostki do samodzielnego myślenia, a standardem rytmu. Ale najgorszą i najstraszniejszą w skutkach odmianą korupcji jest rezygnacja. Rezygnacja z protestu...” (Joseph Losey, twórca m. in. filmu „Za króla i ojczyznę”). „Mój film opowiada o okrucieństwie i nędzy, na które tak chętnie przyjmujemy oczy. Nie zamierzam nikogo pouczać ani wychowywać, protestować. Podobnie zresztą jak, w „Na los szczęścia, Balta zarze”, który był protestem przeciw okrucieństwu, głupocie i zmysłowości. Protest ten tkwi we mnie. A okrucieństwo — wszędzie.” (Robert Bresson)

Opracowała: MARIA KORNATOWSKA

Mikro-portrety



ANDRZEJ HUNDZIAK

Ukończył w 1953 roku PWSM w Łodzi (wydział teorii specjalnej). Przez trzy lata był słuchaczem Wydziału Muzykologii UL (do czasu, aż ten szlachetny przedmiot został w naszej uczelni zniesiony). W roku 1966 — jako że człowiek uczy się całe życie — Andrzej HUNDZIAK ukończył z najwyższym wyróżnieniem kompozycję w PWSM w Katowicach, w klasie profesora Bolesława Wojtowicza. Od dwunastu lat jest dyrektorem łódzkiej szkoły muzycznej — najpierw PSM, teraz Liceum Muzycznego. Był także wykładowcą Łódzkiej PWSM, ale bez podania powodów, uczelnia ta zrezygnowała z jego niewątpliwie bardzo wysokich kwalifikacji. Są cienie ale są i kwiaty. Od 30 czerwca na zaproszenie najwybitniejszej indywidualności w dziedzinie pedagogiki kompozycji na świecie, Nadii Boulanger, przebywa na stypendium naukowym w Fontainebleau pod Paryżem, gdzie poznaje wielu znanych przedstawicieli świata kulturalnego: Chacaturiana, Aucera, Puyana, Scheringa, i innych. Na przyjęciach — jak wspomina z uśmiechem — spełniał dla Nadii Boulanger rolę egzotycznej maskotki — Anglica, Amerykanin i Francuzi nakarmieni radiowo-prasowo-telewizyjną propagandą, pytali go szczerze, z zażenowaniem, czy w Polsce można dostać na kartki chleb i fortepian, i jak to w ogóle możliwe, że w naszym kraju są muzyczne szkoły?

Marzeniem Andrzeja HUNDZIAKA jest zaproszenie przedstawicieli prasy na premierę swojej opery w Teatrze Wielkim (libretto według „Matego Księcia” Antoine de Saint-Exupéry) — mówi, że opera została już napisana natomiast przy życiu było sto sunku dyrekcji Teatru, wystawiona będzie za jakieś dziesięć lat. Za największy swój sukces w roku bież. uważa spektakl „Dzś do ciebie przyślij nie moję”, wystawiany w warszawskim Teatrze Klasycznym i opracowany wraz z Budrekiem i Kaniem. Owa rewia piosenek żołnierskich cieszy się w stołecy wielkim powodzeniem i do tej pory od było się już ponad sto przedstawień.

Moje życzenia naszym teatrom

Otóż wielu sukcesów: znakomitych sztuk, świetnych ról, coraz lepszej publiczności, dobrej kasy, przeproszam, kasy, zresztą i jednego i drugiego, bo przecie to nie jedno. Właściwie na tym mógłbym zakończyć życzenia i wszyscy, a najbardziej ja, byłiby zadowoleni, bowiem bardziej szczegółowe życzenia stają się niekiedy powodem zażenowania, nawet gdy wypływają ze szczerych i gorących uczuć.

Kiedyś składałem bytemu przyjacielowi życzenia imieninowe. Powiedziałam — chłopie, więcej sukcesów, więcej pieniędzy, lepszej żony... Przez delikatność powiedziałem „więcej”, „lepiej”, zakładając, że wszystko i tak jest w porządku. — Co — zachnął się — masz mojej żonie coś do zarzucenia?!

— Uspokój się, stary — mówię — przecie nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej, a ja ci życzę jak najlepiej. Jak przyjaciel przyjacielowi — dodałem z mocą.

— Bytemu przyjacielowi — odparł z jeszcze większą mocą. Bieda niebawem się skończyła, ale jego uraza i mój uraz nie.

Artyści na punkcie swojej sztuki są jeszcze bardziej czuli niż mężowie na punkcie — niezręczne określenie — swoich żon. Bywa, że psoczą sami, że rzucają włosy z głowy, ale to ich sprawa — powiadała.

Wiadomo ile muszą znieść niezrozumienia, niesprawiedliwości, złośliwości, a nawet brutalnych napadów (mowa o artystach wszystkich dyscyplin sztuki), stąd też i ich nieufność i wrażliwość nawet w stosunku do najbliższych.

Dlatego i z tej racji atmosfery uczciwej życzliwość życzę Teatrom Naszym przede wszystkim. A mianowicie przed czym?

Otóż to!

Ktoś mógłby powiedzieć, że życzliwość nie wymaga przynajmniej uczucia. I słusznie. Podobnie jest z przyjaźnią, miłością, walką, handlem itp. Zanieczyszczają się nam rzeczowniki czyste nieczystymi przymiotami. Nie bez winy i my sami, uderzmy się w pierś, niech zaboli. Nie tak dawno miejsca zakażone żelazem wypalano. Medycyna uwalnia człowieka od bólu, ale nie od słabości (nie mylić ze słabością). Bądźmy więc: silniejsi, więksi (nie chodzi o wzrost) i lepsi.

Przed wszystkim więc mówmy prawdę, jeżeli niemożliwie jej mogłoby przynieść szkodę komunikolek, a po wtóre dlatego, że wewnętrzne przekonanie o słów naszych prawdzie przybliży nas do Prawdy.

Wstyd trochę za to przedszkolne moralizatorstwo, ale cóż, nie doszłoby się inaczej do tego, co nazwano uczciwą życzliwością.

Wydało mi się, że Teatry Nasze mogłyby być lepsze, a życzliwość krytyki szerzeja, a miłość publiczności większa, gdyby... gdyby co?

Artyści są wrażliwi i w pojedynkę i gromadą też. Jednakże wielu artystów wspólnie pracujących przez dłuższy czas, to już instytucja. A instytucja, jak wiadomo, to organizm złożony z wielu organów, narządów (?), komórek i układów koordynujących. W instytucji planuje się, programuje, synchronizuje, steruje, konceptuje, kooperuje, kalkuluje, kolportuje, koresponduje, koryguje, koreluje, wychowuje, a także wykonuje.

Składanie życzeń pracownikowi jakiejś instytucji, czy nawet całej instytucji na tak zwane ręce, nie powoduje urazów bowiem, trzeba mieć wyjątkowego pecha, żeby życzyć planiście lepszego planowania; w przypadku zaś instytucji normalnej, każde życzenie jest dobre, gdyż nikogo nie dotyczy.

Ale teatr, to taka instytucja, co nie jest instytucją w gruncie rzeczy; planowanie, programowanie — nie gra w teatrze większej roli — w teatrze gra się dobre sztuki, a co to jest dobra sztuka, to wie każdy. Artyści, czyli aktorowi zależą na dobrej roli, reżyserowi na sztuce, która da się dobrze zrobić, a dyrektorowi na jednym i drugim, i żeby wszystko grało.

Każdy wie czego chce i to jest właśnie automatyzm sztuki zbiorowej.

Niekiedy zdarza się, że artyści nie są zgodni w poglądach na sztukę. Daje to twórczy ferment, który wszelako ma swój obraz wewnętrzny, zewnętrzny zaś wyraz tej niezgodności ulega uzgodnieniu dzięki wspomnianemu wyżej automatyzmowi. Jest to najwęższa ofiara. Heroizm ten okazuje stokrrotnie — w obliczu wielkich zamierzeń nie mogą nas dzielić małe rzeczy.

Teatr to posłannictwo. Teatr to powstawanie życia z myśli i uczuć, a uczuć i myśli z życia, które on kreuje.

Nie mogą nas dzielić małe rzeczy, drobne urażenia i urazy w obliczu spraw, których powstawaniu towarzyszą najsłabsze uczucia, najsłabsze pasje.

Reżyser stwarza na deskach sceny coś więcej niż ilustrację życia, coś więcej nawet niż jego iluzję. Prawda jest, że każdy może je przeżyć razem z jego twórcami.

Aktor nie jest na scenie ilustracją człowieka, nie jest też iluzją. Prawda jest, że przeżywa do bro i zło, mądrość i głupotę, miłość i nienawiść, klęskę i zwycięstwo drugi raz po Cezarze, Skapcie, Kaliguli, Judaszu i Heddzie Gabler. Ila z tej wiedzy o życiu człowieka może zostać w człowieku, jeżeli tego pragnie?!

WIEC ŻYCZĘ NASZYM TEATROM WSZYSTKIEGO CZEGO TYLKO ZAPRAGNĄ.

ROMAN ŁOBODA

Żarty o pisarzach



DRAMAT Z wyższych ster

WIDOWISKO
OBYCZAJOWO-
SENSACYJNE
W TRZECH AKTACH



PROLOGUS

Nie interesowałem się do tej pory życiem wyższych sfer. Toteż nie wiem, do jakiej kategorii zakwalifikować przygodę wziętego aktora telewizyjno-estradowego ze stolicy, który przyjechał do Łodzi, aby się zaprezentować także jako objawienie w filmie. Tutaj, na niegościnnym łódzkim bruku (dostarczamy argumentów tym, co chcieliby WFF przenieść do Warszawy) przypadał mu poza engagementem do odegrania jeszcze jedna rola, którą, mówiąc żargonem recenzentkim, niestety położył.

Sprawa godna jest pióra Aleksandra Dumasa albo Eugeniusza Sue, proszę więc łaskawego czytelnika o wybaczenie całego prostactwa reportażowego opisu. Podejmujemy się tu niewdzięcznego zadania w nadziei polaskotania w piety tych, co mają poczucie humoru, a jednocześnie dalecy jesteśmy od myśli, aby natrząsać się z krzywdy bliźniego swego. Ponieważ jednak z tym poczuciem humoru bywa różnie, wyjaśniamy od razu, aby utulić pensjonarki i wielbicieli talentu mistrza, że on sam jest w nie najgorszej kondycji. Złożył tego wystarczające dowody. Niech za całe wyjaśnienie wystarczy fakt, że w międzyczasie po raz drugi zmienił stan cywilny.

Wolno chyba przypuszczać, że jednak nie każdy może się pochwalić równie bezprzykładnym hartem w znoszeniu niczym nie zawinionych ciotów. Toteż dla zabezpieczenia innych, mniej odpornych ludzi estrady przed równie krew w żyłach mrozącymi przygodami, jesteśmy zmuszeni z obowiązku reporterskiego zastanowić się nad możliwościami reformy szkolnictwa teatralnego. Warto zwłaszcza przemycić sprawę lektoratów z łaciny, na których uzdolniona artystycznie młodzież można by nauczyć kilku paremi w języku cesarów. W interesującej nas sprawie kapitalne znaczenie miałyby znajomości zdania: „Actor sequitur forum rei”, gdzie aktor nie znaczy zresztą aktor, tylko oskarżyciel. Całość zaś można by przełożyć: „Oskarżyciel stosuje się do sądu oskarżonego”. Tyle o łacinie. Wnosząc o próbkę korespondencji, którą nasz skrzywdzony mistrz popiełnił w języku ojczystym, lektoraty z języka polskiego także by w tych szkołach nie zaszkodziły.

AKT I

Szczegóły są nieco zamazane, ale to już vis maior i nie na to nie poradzimy. Są zamazane, bo wszyscy byli „w sytuacji rozbawienia i rozluźnienia towarzyskiego mówiąc delikatnie”, jak to ładnie zaznaczył aktor w swoim liście. A wszyscy, to on sam i troje jego znajomych, jeśli podzielić tak nazywać ludzi poznanych przed chwilą na ulicy i to w sytuacji, gdy jeden z nich okazał się w pół godziny później dosyć pospolitym złodziejem. Mniejsza jednak o terminologię, skoro zainteresowany nie ma tych obiekcji i tytułuje owe osobistość nawet przyjaciółmi. W oryginalne powiedziane jest dosłownie: „Jeżeli kogós zapraszam do swego pokoju, to uważam go za swego przyjaciela”.

Spotkanie, tak brzemienne w konsekwencje, miało miejsce przed nocną knajpą „Casanova”, gdzie zdaje się wszyscy bohaterowie tej opowieści spędzili wieczór aż do białego ranka, choć w osobnym towarzystwie. I dopiero światło dnia uprzytomniło trzem podpiętym gościom, na jak znamienity los natknął ich persone. Aktor zaś mógł się przekonać, jak ogromną cieszy się popularnością.

„Bo to się zwykle tak zaczyna”, powiada piosenka. To było jak w piosence. Na nieco chwiejnych nogach całe towarzystwo powlokło się w stronę „Grand Hotelu”, gdzie na okres zdjęć zamieszkiwał aktor, jego osoba działała na pozostałych jak magnes. Wędrówka ta nie mogła trwać jednak bez końca i przed domem noclegowym „Orbisu” nastąpiło czule pożegnanie. Ale zaszczycony tyłoma dowodami sympatii aktor nie mógł się okazać bez serca, toteż jednego z tej kompanii, młodego człowieka, który wskutek przepicia walił się z nóg, wprowadził w wysokie progi hotelowe odstępować mu na dodatkową łóżko, jako że sam śpieszył się na zdjęcie, na ulicę Łąkową. Po kilkunastu minutach na drugim piętrze „Grand Hotelu” pojawili się dwaj

pozostali towarzysze nocnej niedoli. Nie przyszli z pustymi rękami. Korzystając z tego, że sklepy zostały przed chwilą otwarte, przynieśli ze sobą pół basa.

Nie było tej wódki wiele, ale nie szło przecie o to, żeby się upić, tylko utrwalenie wspomnień nocnej eskapady. Nieprzypadkiem pijany gość nie brał już udziału w tej celebracji, rozwalony na łóżku aktora chrapał niegrzecznie, ale widok ten nie odebrał pozostałym apetytu. Fundator ostatniej kolejkę zaczął się w międzyczasie interesować garderobą wybitnego mistrza estrady. W numerze, wisiał na poręczy krzesła sweter o odcieniu błękitnym firmy „Regency”, młody człowiek chciał go koniecznie przymierzyć. Dopiął swego i przed lustrem zaczął wyrażać swoje zachwyt.

— Podobna się? — powiedział aktor. — Może go pan sobie zatrzymać.

Był zmęczony i bardzo się śpieszył. Z numeru wyszedł razem z młodzieńcem, którego obdarował przed chwilą. Dwaj pozostali goście nie byli na razie zdolni, aby się ruszać, trzeba było oddać pokój pod ich nieproszoną opiekę. Gospodarz roztawał się z nimi nie bez pewnych obaw, ale nie było wyboru, czas naglił. Do numeru wrócił dopiero po trzech godzinach.

Rzucił mu się w oczy brak japońskiego tranzystora marki „National”, który miał stać miejsce na stoliku. Ale lista straciła większą. Gospodarz skonstatował także zniknięcie zegarka kieszonkowego i długogrającej płyty z nagraniem Williamsa. Zapomniał o swym prezencie i zaliczył do rzeczy przypadłych puszysty sweter. Podniósł alarm.

Brak aparatu radiowego rzucił się w oczy także pozostawionym w pokoju gościom, czego gospodarz nie mógł jednak wiedzieć. Dobrze już po hejnale z Krakowa przytomnieli i rozpoczęli na własną rękę poszukiwania. Służba hotelowa nie potrafiła im nie wyjaśnić, udali się więc do salonu radiowo-telewizyjnego na Piotrkowskiej, gdzie pracował ich znajomy, którego mieli w podejrzeniu. Tego dnia nie było go, jednak w pracy, a jego domowego adresu nie znali.

Wtedy zaczęli lustrować okoliczne bary i restauracje.

AKT II

W tym czasie nasz aktor był już aktorem. W komendzie milicji zeznał: „O dokonanie kradzieży podejrzewam trzech mężczyzn bliżej mi nieznanych, których poznałem w „Malinowej”.

Trzeba było trafiać, że poszukując przestępcy po wszystkich możliwych i niemożliwych knajpach obaj przyjaciele odwiedzili także lokal wymieniony w raporcie. Milicjanci, którym delator podał rysopis jednego z nich, wkrótce byli na tropie. Przy pomocy kierownika „Malinowej” udało się podejrzanego bez zwracania czyjejkolwiek uwagi wywołać do hallu i tam został aresztowany. Znalezione przy nim krawaty, długopis i 70 gr. Wkrótce też nastąpiło zatrzymanie drugiego z przyjaciół. Podczas rewizji znaleziono 35 fotografii z podobizną aktora, ich pochodzenia do tej pory nie wyjaśniono. Zanim nieporozumienie wyszło na jaw, obaj zatrzymani przeżyli kilka przykrych chwil, ale bez urazy zaofiarowali milicjantom swe usługi. Doradzili, aby szukanie zaginionego ekspedienta radio-telewizyjnego kontynuować w lokalach i wytopili go w „Tivoli”. Był to już drugi lokal, który zaliczał on tego dnia. Nie dziwi też w raportach uwaga: „Nie przeszkadzało wymienionemu z powodu, że był on pijany”. Przesłuchanie mogło się odbyć dnia następnego.

Zatrzymany, rocznik 1943, pobory 1400 złotych miesięcznie, przyznał się do posiadania radia i swetra. Oddał je na przechowanie swej Bogu ducha winnej ciocie, która musiała w związku z tym przeżyć hańbę mieszkaniowej rewizji. Młody człowiek wyjaśnił jednocześnie, jak wszedł w posiadanie tych rzeczy: miał mu je wręczyć właściciel z prośbą, aby odniósł na Łąkową do wytwórni, ale drogę zaprzędził portier. Można to było łatwo sprawdzić: portierzy nie

przypominali sobie jednak młodego człowieka z radiem i swetrem. Opowiedzieli natomiast o dwóch młodzieńskich dziewczynach, które prosiły o oddanie aktorowi kartki i jakimś mieszanym towarzystwie, które pytało o sławę i na tym się skończyło.

Młody człowiek upierał się przy swej wersji, pokrzywdzony kategorycznie zaprzeczał, na inne osoby mało można było liczyć, a to ze względu na ową rozluźnienie i rozbawienie towarzyskie, które uczyniło ich mało przydatnymi jako świadków. Sprzecznosc mógł rozstrzygnąć tylko proces i to proces ze względu na szczupłość dowodów — poszlakowy. Zeznania pokrzywdzonego musiały udźwignąć cały ciężar oskarżenia. Ale kiedy wyznaczono termin rozprawy, zaczęły się dziać dosyć dziwne rzeczy.

AKT III

Można znać paryżanki, moskwiżanki i warszawianki, a jednocześnie absolutnie nie znać prawa, ale to nie jest dobrze, bo nieznajomość prawa szkodzi. Ignoratio iuris nocet — stwierdza paremia łacińska. Czytelnik pamięta też zapewne naszą pierwszą lekcję łaciny. „Actor sequitur forum rei”. Sądem właściwym miejscowo dla oskarżonego była Łódź, oskarżyciel mieszkał zaś w Warszawie. To niby nie tak daleko, ale my przecież wiemy, jak się rzeczy w istocie mają.

W pierwszym terminie rozprawa nie mogła się odbyć. Wyznaczono termin następny i wszystko skończyło się tak samo: pokrzywdzony, który miał wystąpić jako świadek oskarżenia, nie stawiał się w sądzie. Cóż, sąd nierychliwy, ale sprawiedliwy. Przeważało przekonanie, że proces będzie można zakończyć w trzecim terminie, ale i te rachuby zawiodły: pokrzywdzony nie przyjechał.

Sąd nie jest w takim wypadku bezbronny, ma prawo nałożyć na świadka grzywnę, a nawet przymusowo sprowadzić go na sprawę. Sięgnięto po pierwszą z tych możliwości. 500 złotych grzywny spowodowało jakąś reakcję ze strony uciążliwego

świadka, raczył odpowiedzieć. Przysłał plik zaświadczeń, że w dniu rozprawy nie mógł zwinąć się w teatrze, miał akurat próbę generalną. Grzywnę umorzono i wyznaczono kolejny termin rozprawy. Historia powtórzyła się jota w jotę i nowa grzywna miała przypomnieć gwiazdzie estrady, że podlega jednak prawom ziemskim, nie astralnym. Tym razem odwołanie nie było i pięćsetzłotowa kwota zasilła fiskus, a w ślad za pieniędzmi zaczęły nadchodzić listy. „Jestem członkiem społeczeństwa (na moje szczęście) bardzo potrzebnym w produkcji” — pisał zrozpaczony, ale nie bardzo, aktor — czego dowody nie raz dawałem. Proszę zatem zrozumieć moją sytuację, że jeden dzień zwolnienia ze zdjęć kosztowałby teatr, TV, radio i inne zajęcia zbyt wiele straciłbym mówiąc o stracie moralnej wobec kolegów”.

I dalej: „Kara wyznaczoną mi opłaciłem w terminie i nie chciałbym płacić powtórnie”.

Sąd potraktował pobłażliwie tę szamotaninę wyznaczając kolejny termin rozprawy na wtorek, bo to był dzień wolny od zajęć w teatrze. Na wszelki wypadek wezwano posłano na adres teatru i domowy zakładając, że aktor ma prawo spędzić noc poza domem, ale do pracy stawiać się musi. Zainteresowano też komendę milicji w Warszawie i w ślad za wezwaniem do teatru udał się człowiek w mundurze, aby przekonać aktora o konieczności stawienia się w sądzie. Poprosił on wtedy, aby go ktoś rano obudził, bo obawiał się, że zaśpi i nie zdąży na pociąg. Aktorzy mają wielbicieli swego talentu także w milicji, dlatego też i tę dziwną prośbę potraktowano z sympatią. O szóstej rano człowiek w mundurze zadzwonił do mieszkania aktora. Drzwi otworzyła pani domu informując, że mał jeszcze wczoraj pojechał do Łodzi i nie nocował w Warszawie. Ale było to pewnie tylko dobre postanowienie świadka, który stał się dla sądu bardziej uciążliwy niż oskarżony. Nie przyjechał i tym razem. Przysłał telegram:

„Dwa razy spóźniłem się na pociąg. Bardzo przepraszam. Wtorki mam rano wolne”.

To spóźnienie się na pociąg ma wartość 2000 złotych, bo tyle dokładnie wynosi grzywna, jaką sąd wymierzył świadkowi.

Ostatnia grzywna spowodowała listną lawinę listów: w końcu taka suma to już całkiem przyzwoite honorarium, trzy dni zdjęciowe w filmie fabularnym. Z reakcji też można było sądzić, że szósty termin będzie zarazem terminem ukończenia procesu. Na wszelki wypadek w stołecznym mieście Warszawie przygotowano ekipę milicjantów odpowiedzialnych oświadczyć do dostarczenia świadka do Łodzi. Ale wzmożone środki ostrożności okazały się już niepotrzebne: osobistość, tak zajęta w produkcji, nie bacząc na straty moralne, jakie wyjazd może dodatkowo przynieść kolegom, zjawiała się w sądzie. Incognito. Nie było dziennikarzy, konferencji prasowej, nie było tłumy wielbicieli i wielbicielek, chór pensjonarek nie śpiewał refrenu: „Trzymaj się”.

Sąd przysłał do pracy, jakby nie sportując, że oto na sali siedzi wielki człowiek. Więc wielki człowiek próbował zwrócić na siebie uwagę jak dziecko, o którym dorośli zapomnieli tocząc ze sobą dysputę. Grał, ale gagi nie były niestety przedniej marki, bo i skąd... Oskarżonego bronił. „Ja mam takie tendencje, że zawsze, gdy ktoś przyjdzie do mnie, to zawsze mu daję jakieś rzeczy”. Meldunek do milicji złożył miał pod wpływem alkoholu.

Ta obrona nie zdała się na nic. Sąd wymierzył oskarżonemu karę pozbawienia wolności zawieszając jej wykonanie, skazał go też na zapłacenie grzywny w wysokości 1000 zł. Było to akurat dwa i pół raza mniej niż ma do zapłacenia świadek, który prócz tego nie odzyskał do tej pory ani płyty z nagraniem Williamsa ani też zegarka kieszonkowego. Potraktujmy te rzeczy jako ofiary złożone przez wielkiego artystę na oltarz sztuki. Bo cóż, popularność kosztuje.

Mikro-portrety



KAROL
BARANIECKI

Starsze pokolenie, pamiętające czasy sprzed 1939 roku, z pewnością zna nazwisko Karola Baranieckiego. Ten popu-

larny rysownik i karykaturzysta, mieszkający wówczas we Lwowie, współpracował nie tylko z pismami swojego miasta („Sygnały”, „Sztuka”, „Chochoł”, „Omibus”). W wychodzących w Krakowie „Wróblach na dachu” i w warszawskich „Szpilkach” pojawiały się często jego rysunki i karykatury, wyróżniające się zacięciem politycznym, ciekawą formą i błyskotliwym pomysłami. W 1944 roku wstąpił do Armii WP i współpracował z prasą wojskową. Po wojnie Karol Baraniecki osiedlił się w Łodzi, której pozostał wierny do dziś dzień. Zasilał swoimi rysunkami wychodzące wtedy w naszym mieście „Szpilki” i nie istniejące już czasopismo humorystyczne „Różgi”, a także był współpracownikiem „Polski Zbrojnej”, „Odrodzenia” i popularnej „Muchy”.

Gdy „Szpilki” przenosiły się do Warszawy, Baraniecki nie zaprzestał z nimi współpracy, która trwa zresztą do tej pory. Z chwilą pojawienia się w Łodzi nowego pisma satyrycznego „Karuzela”, Baraniecki

stał się członkiem jego redakcji i główną podporą, jeśli chodzi o stronę rysunkowo-graficzną tego popularnego periodyku. Prace rysunkowe i karykatury Karola Baranieckiego znane są nie tylko w Polsce. Ukazywały i ukazują się one również w pismach satyrycznych za granicą: w Czechosławii, Islandii, Francji, NRD, ZSRR (cała kolumna na rysunków w miesięczniku „Journalist” oraz całostronicowy rysunek na okładce moskiewskiego „Krokodyla”). Rysunki i karykatury Karola Baranieckiego wystawione były na wystawie satyry politycznej w Moskwie i w Montrealu. Przy tym wszystkim Karol Baraniecki jest człowiekiem skromnym, towarzyskim, obdarzonym swoistym poczuciem humoru. Na nasze pytanie, czy nosi się z zamiarem opuszczenia Łodzi, odpowiedział jak przystało na satyryka:

— Gdybym otrzymał wszystkie nagrody i odznaczenia, jakie otrzymałbym, przenosząc się następnie do Warszawy — postąpiłbym podobnie jak on.

ŁKS

ó l e
d e z
z s o
k k n
a a u

Mamy w Łodzi drużynę piłkarską, która nie spełnia nadziei. Tłucze się gdzieś w ogonie tabeli — przysłówiowa czerwona latarnia. Kibie jest wściekły. Krzyczy — GRAC! Krzyczy — ORŁY DO BOJU! Ale orły są senne, zmęczone.

Wiele kibiców, malkontentów, grozi, że przestanie przychodzić na mecze, a w światku piłkarskim wybucha coś jakby panika — odchodzą i przychodzą trenerzy, tasują się zawodnicy, gazety biją na alarm i trwa wielki wrzask, wielkie oburzenie, że Łódź, miasto ośmiuset tysięcy, drugie po Warszawie — nie może sobie wychować przyzwoitego zespołu. Sygnalizują jak z rogu obfitości wysłuchane truizmy, że futbol, najpopularniejsza dyscyplina sportu, spełnia ważne funkcje społeczne, pomaga ludziom żyć i pracować, odpoczywać i leniuchować, i coś tam jeszcze, aha, że byłoby to ogromny skandal, gdyby Łódź, wielki ośrodek przemysłowy, straciła swego przestawiciela w pierwszej lidze, bo odbija się to na produkcji itd.

Są to — powiedzieliśmy — truizmy, sprawy oczywiste. Łódź potrzebuje krzepkiego futbolu. Fakt. Kto go zresztą nie potrzebuje? Może Wrocław? Albo Poznań? Poznań nie ma drużyny pierwszoligowej — stał wniosek, że musi tam nawalać produkcja i samopoczucie ludzi. A więc kłeska jedyną jest zwycięstwem drugich. Jeśli Łódź spadnie z ligi — utrzyma się dzięki temu Kraków. Jeśli Łódź spadnie, utrzyma się Łódź. Albo Łódź i Kraków zostaną — a na zbity łeb wyłeci Opolo, Albo Szczecin. Możliwość jest sporo. Walka jest zacięta. Krzepki futbol potrzebny jest wszędzie. I to wytwarza ową szczególną, zaprawioną szowinizmem atmosferę na meczach. Sport jest szowinistyczny. Przestańmy się oszukiwać. Może nawet urtek sportu polega na tych szowinistycznych nastrojach...



Ja też jestem szowinistyczny. Wierzę nie zamierzam tutaj nikomu traćować, że trzeba zdobyć się na obiektywizm, porażki przyjmować spokojnie — zwycięstwa radośnie. W sporcie nie ma obiektywizmu — dziennikarz krakowski rozdziera teraz szaty nad niedaną lokatą „Wisły”, mnie natomiast obchodzi ŁKS, a „Wisła” może sobie spadać nie tylko do drugiej, ale nawet do czwartej ligi. Krzyż na drodze.

W związku z niepokojącą sytuacją ŁKS, zwróciłem się do kilku speców od futbolu z kilkoma pytaniami. Oto co mi powiedzieli:

LUCJAN BRYCHOZY — kapitan reprezentacji Polski.

Pytanie: Bronię Pan barw ŁKS-u podczas tegorocznego tournée w Kanadzie i USA. Co Pan sądzi o naszej drużynie?

Odpowiedź: Grało mi się bardzo dobrze. Wyniki, jakie uzyskaliśmy w meczach z mistrzami NRF — dwa remisy, porażka i zwycięstwo — mówią same za siebie. Ostateczny bilans mógł być jeszcze lepszy. Na dobrą sprawę — wszystkie cztery mecze były do wygrania.

Pytanie: Jak to się stało, że po sukcesach za oceanem, z wybitnym przeciwnikiem, Łódzka drużyna do stała cieni od krajowych — powiedzmy szczerze — palachów?

Odpowiedź: Nie znam aż tak dobrze łódzkiej jednostki. Wydaje mi się, że macie dobrą obronę. Ale skrzydłowi grają słabiej. To samo można powiedzieć o bramkarzu. Żle, gdy drużyna ma tylko jednego bramkarza. Na tej pozycji, w każdym klubie, potrzebna jest konkurencja — dwóch równorzędnych, albo prawie równorzędnych zawodników. Wówczas jeden stara się przysięgnąć drugiego, jeden o drugiego jest zazdrosny — obaj robią cuda, żeby się pokazać trenerowi, żeby stanąć w bramce i zarabiać premie. Dobrze pod tym względem jest w Górniku — Gomuła i Koska. Żle w ŁKS-ie i Żle w Legii. Taki Wilczyński — choćby grał jak najgorzej — jest niezagrożony. Ma zawsze pewność, że go trener westawia.

Pytanie: Kto jest asem atutowym ŁKS-u?

Odpowiedź: No, macie paru. Szefer, Kowalski, Suski, Sadek. Suski przechodzi kryzys.

Pytanie: A Sadek?

Odpowiedź: Sadek jest przebojowcem. Umie zagrać w banque, umie strzelić. Brakuje mu techniki. U przebojowców najczęściej brak techniki. Szkoda, że on teraz stracił trochę serca do walki. Nie jest już taki bojowy. A jak przebojowiec nie ma ani serca ani techniki — to nie ma przebojowca...

Pytanie: Myśli Pan, że ŁKS utrzyma się w lidze?

Odpowiedź: Zależy, mu tego.

Pytanie: Na co cierpi polska piłka nożna?

Odpowiedź: Na brak stabilności. Wygrywamy z najlepszymi, przegrywamy z najgorszymi.

Pytanie: Powody?

Odpowiedź: Nie jestem trenerem...

Pytanie: Dlaczego Górnik wygrał z Dynamo Kijów?

Odpowiedź: Bo był lepszy. Dynamo jest przereklamowane.

* * *

MAJOR LONGIN JANECEK — trener:

Pytanie: Jak to się stało, że po dobrym sezonie 1966/67, kiedy to ŁKS ukończył rozgrywki na piątym miejscu w tabeli, tak pechowo zakończyła się tegoroczna runda jesienią?

Odpowiedź: Po dobrym sezonie, w nagrodę za piąte miejsce, wyjechaliśmy do USA i Kanady, i w ciągu kilkunastu dni rozegraliśmy pięć ciężkich spotkań — z mistrzem NRF i reprezentacją chicagowskiej Polonii.

Tam wykruszyła się nasza kondycja. Te kilkusetkilometrowe przejazdy, te bankiety i przyjęcia, rozpoczęły się tuż po meczu, a kończące o trzeciej — czwartej nad ranem...

Pytanie: Czy piłkarze popijali trochę?

Odpowiedź: Trochę, co tu dużo mówić, popijali. Trudno było nie pić. Polonia zalewała się rzewnymi łzami w tych rozmowach o kraju i nagliła do picia. Kto nie wypił — patrzył na niego krzywo.

Pytanie: A jak jest z tymi sprawami w Łodzi, kiedy nie ma rzewliwej Polonii?

Odpowiedź: W Łodzi, w przeciągu osiemnastu miesięcy, które tu spędziłem, była w tym zakresie żelazna dyscyplina. Jestem energiczny i wymagający. Wiem, że trzy głupe kieliszki mogą zniweczyć najdłuższe przygotowanie kondycyjne. Alkoholem dla piłkarza jest trucizną. Dlatego powiedziałem zawodnikom: jakbym się o czymś takim dowiedział, albo sam zobaczył — koniec z pieniędzmi na dożywianie. Bez odwołania! Ale wypadku takiego nie było.

Pytanie: Wróćmy do niepowodzeń ŁKS w lidze.

Odpowiedź: Po przyjeździe z USA piątego lipca — nie mieliśmy czasu przygotować się do sezonu, bo już dziewiątego lipca Szadkowski, Sadek, Suski i Kowalski powołani zostali do kadry przed meczem z Francją. Nabawili się kontuzji. Sadek został wyłączonej z gry na ładne parę miesięcy. Kowalski mecz z Francją rozegrał przy nie wyleczonym urazie. Cierpiał też Szadkowski. I tak już przez cały czas, do końca rozgrywek, graliśmy w osłabionych, latanych składach. W ŁKS-ie nie ma rezerwy. Zarząd sekcji piłki nożnej obdarował szczerą ręką Start, Włocławek, Łódź, Pabianice i Legię Warszawą jedenastoma niezłymi piłkarzami — odszedł Kosiński, Dejma, Sass... Był to jeden z powodów, że już przed początkiem rundy jesiennej złożyłem rezygnację. Wtedy łatwo było złożyć rezygnację, gdyż ŁKS zajmował wysoką lokatę. Gotów byłem odejść od razu, gdyby znalazł się zastępca. Ale się nie znalazł, więc zostałem. I przyszedł zła passa. Siedem przegranych spotkań. Spadliśmy na dół tabeli. W tej sytuacji nigdy bym nie odszedł. Zrobiłbym wszystko, aby wyciągnąć ŁKS w rundzie wiosennej i odejść z czystym sumieniem. Niestety: zarząd klubu — jak to się delikatnie mawia — przyjął (po paru miesiącach) moją rezygnację.

Pytanie: Będzie Pan pracował w Startcie?

Odpowiedź: Tak. Ale tylko do końca rundy wiosennej. Potem wracam do Warszawy. Powiem tu od razu, że na pracę w Startcie bardzo się cieszę. To będzie dla mnie najciekawsza praca. Start jest bardzo poważnie zagrożony spadkiem i przyjemnie będzie postawić go na nogi.

Pytanie: A ŁKS?

Odpowiedź: ŁKS-owi nie grozi. Absolutnie nie! O spadku nie może być mowy. Różnice punktowe między drużynami są minimalne. Dwa wygrane mecze i mogą być znówu w środku tabeli. Mają doskonały harmonogram spotkań — siedem pojedynków, i to ze słabymi przeciwnikami, na własnym boisku.

Pytanie: Czego ŁKS-owi brakuje najbardziej?

Odpowiedź: Rezerw — jak już powiedziałem. I za dwóch dobrych napastników do pomocy Sadekowi. Poza tym — to świetna drużyna, z najmocniejszą defensywą.

Pytanie: Nie jest Pan rozczarowany?

Odpowiedź: Nie. Pomógł mi a zarządem sekcji często dochodziło do zażargów. Jak przed pół rokiem było dobrze — nikt się do moich decyzji nie wtrącał — jak zaczęliśmy przegrywać — znaleźli się doradcy. Straciłem zaufanie zarządu, którego mi w tych ciężkich dniach było najbardziej potrzebna. Gryzłem się tym. Wyklócałem o swoje święte racje. Nie byłem rozumiany. Jest w tym pewnie trochę i mojej winy, jako że mam wybuchowy charakter.

* * *

WŁADYSŁAW KRÓL — trener:

Pytanie: Przez wiele lat był Pan trenerem jednostki ŁKS. Za Pańskiej kadencji zdobył ten zespół mistrzostwo Polski i puchar Polski. Potem przyszedł kryzys. Dlaczego?

Odpowiedź: Za szybko straciliśmy tron zespołu, który wywiodował nas z drugiej ligi na tron mistrzowski. Pan pamięta, Kłaczek, Kubocz, Jezierski, Kokot, Pilarczyk, Sopotek. To był doskonały zgrany, chętny do pracy kolektyw. Ale inni nie spalili: CWKS, Śląsk, Kraków... I kolektyw został rozbity.

Pytanie: Kaperownictwo?

Odpowiedź: Powiedzmy: zapobiegliwość innych klubów. Nam też nikt nie zabrania, abyśmy byli zapobiegliwi.

Pytanie: Wierzę, że nie jesteście?

Odpowiedź: Ponieważ nie mamy fachowców. Fachowiec musi być nie tylko trener. Także kierownik sekcji. I inni. Piłka nożna nie powinna być ich hobby a zawodem. Dyrektor zakładu przemysłowego nie jest najlepszym wodzem dla sekcji piłkarskiej. Ma on przecież na głowie dużo spraw zawodowych, produkcyjnych, i futbol — choćby go kochał najbardziej — jest dla niego tylko rozrywką, tylko trochę czasu może mu poświęcić, a powinien poświęcić cały. Trener na przykład pozyskuje dla klubu paru zawodników. W takim wypadku kierownik sekcji powinien umieć zryfikować tych piłkarzy. Czy się nadają czy nie. Czy warto ich zakontraktować. Ale nasi kierownicy nie mają o tym pojęcia. Co zrobi trener — to jest dobrze. A potem, jak nabytek okazuje się zły, to i trener zły. Zawsze wszystko przeciw trenerowi się obraca, który sam musi decydować — a powinno decydować kolegium, bo najlepszy spec może czasem się omylić.

Pytanie: Jednym słowem — Zarząd Klubu powinien wygospodarować kilka etatów dla wybitnych fachowców piłkarskich, którzy by nie innego nie robili, tylko dzień i noc medytowali o sprawach zespołu?

Odpowiedź: Czułem w tym pytaniu ironię. Ale rzeczywiście tak myślę. Futbol w dobie dzisiejszej jest rozrywką tylko dla widza i tylko podczas meczu. Poza tym — to sprawa poważna, skomplikowana, wymagająca wielkich wysiłków, wyrzeczeń, zabiegów, planów, batalii zakrojonych na szeroką skalę. Bez tego nie ma

Mikro-portrety



HALINA WENDERDAUM

Od 1937 roku interesuje się kwiatami. Przed wojną pracowała w łódzkiej firmie kwiatach „Złocień”. Po wyzwoleniu, wierna

swoim zamiłowaniom, pracuje w łódzkiej kwiaciarni, układając przepiękne wiązanki na wszelkie okazje. Pierwszy konkurs kwiaciarek odbył się w Polsce dopiero w 1967 roku. Pani Halina zdobyła bezapelacyjne mistrzostwo w konkursie na najpiękniejszą kompozycję, i reprezentowała nasz kraj na zawodach w Szawjancach, gdzie na dwudziestu konkurentów zdobyła zaszczytne siódme miejsce wyprzedzając między innymi takie potęgi jak Anglia, Belgia, Hiszpania, Jugosławia, Francja i Austria. Najwięcej punktów otrzymała za bukiet w stylu ludowym i bukiet ślubny, który uwiła z kwiatów przewieszonych samolotem z Polski.

Pani Halina boleje, że zanika u nas szlachetny zawód kwiaciarki. Brak wykwalifikowanych pracowników (sa najczęściej zwykłymi ekspedientami), brak sumiennych kursów przygotowujących do zawodu. Nie ma w ogóle konkursów, które mogłyby wybitnie spopularyzować zainteresowania kwiatami. Toteż marzeniem pani Haliny jest — przygotowanie jakiejś szeroko zakrojonej akcji (kursów, zawodów, nubiłkacji albumowych), która by mogła przywrócić kwiatom ich właściwą pozycję w życiu każdego człowieka.



JACEK CIESIELSKI

Chodzi do szkoły na Karłowcu. Jest uczniem drugiej klasy i ma dobre stopnie. Niedawno został bohaterem szkoły i całej dzielnicy dzięki pewnej, prawie kryminalnej przygodzie. Jednego razu, kiedy siedział na parapecie okna, zobaczył samochód ciężarowy, który podjechał pod bramę jego domu przy ulicy Sandomierskiej. Z szoferki wysiedli dwaj mężczyźni i zaczęli rozmawiać z lokatorem domu. Powiedzieli, że zbliża się i Majka i trzeba zabrać do malowania ciężką żelazną i porzucić ją przy bramie, gdyż inaczej spadnie na mieszkańców domu kara administracyjna. Mieszkańcy pokiwali ze zdumieniem głowami i pomogli dwóm panom wynieść i załadować bramę na wóz. Odjechali. Była to, jak się miało okazać, szajka złodziei, którzy łupem padło już ośmiennasto różnych łódzkich bram i która sprzedawała ten niecodzienny towar budującym się go-

spodarcom w województwie. Kiedy wyszło sztydo z worka, nikt z lokatorów domu przy ul. Sandomierskiej nie potrafił podać niemu samochodu, którym brama odjechała w stronę gaj. I wówczas właśnie na chwilę wszystkich swoją bystrością i pamięcią ośmiolił Jacek. Ludzie podawali wymyślone numery w stu różnych wersjach. Jacek natomiast zapamiętał ów właściwy sześciocyfrowy numer. Po nite do Kłębka i brama, wciąż pordzewiała i brudna, wróciła na stare miejsce, zaś złodzieje trafili do aresztu.

Jacek dostał za swój udział w akcji — badmingtona, pochwałę od MO i wyróżnienie w szkole.

W przyszłości? Jacek chciałby zostać militeantem albo perkusistą w zespole big-beatowym. Ojciec Jacka twierdzi, że chłopiec ma wybitne poczucie rytmu, toteż trudno dziś przewidzieć co z niego będzie w przyszłości. Jacek ma hobby — to jest zawodem.

mowy o sukcesie. A bez sukcesu nie ma pieniędzy, bez pieniędzy upadają kluby, itd.

Pytanie: Jak Pan ocenia dzisiejszy skład ŁKS?

Odpowiedź: Wbrew niskiej lokacie jest to drużyna środka tabeli z tendencją zwyżkową. Dobra obrona, dobry Suski i dobry Sadek. Poziłki — rzecz jasna — potrzebne, konieczne! I to szybko.

Pytanie: Skąd je wziąć? MKS — Hala Sportowa produkuje (przepraszam za słowo) młodych piłkarzy, ale rzadko oglądamy ich na ligowych stadionach.

Odpowiedź: Bo nie od razu taki młodzieniec zostaje dobrym piłkarzem. Musi pograć przedtem w składach rezerwowych, w spotkaniach towarzyskich, ograć się z boiskiem i widownią. A niektórzy chcą, żeby puszczać takie od razu w ligowy bój, gdzie przy ogólnym obciążeniu odpowiedzialnością i treścią — zostaje najczęściej manekinem i korzyści zespołowi nie przynosi — najwyżej szkodę. Nie zgadzam się także z teorią, że można zasiląć ŁKS tylko wychowankami MKS Hala Sportowa, że to wystarczy. Na zabski „Górnik” pracuje cały Śląsk. Na ŁKS powinno pracować całe miasto i województwo, wszystkie kluby. I w miarę możliwości — należy także szukać posłtów w innych okęgach.

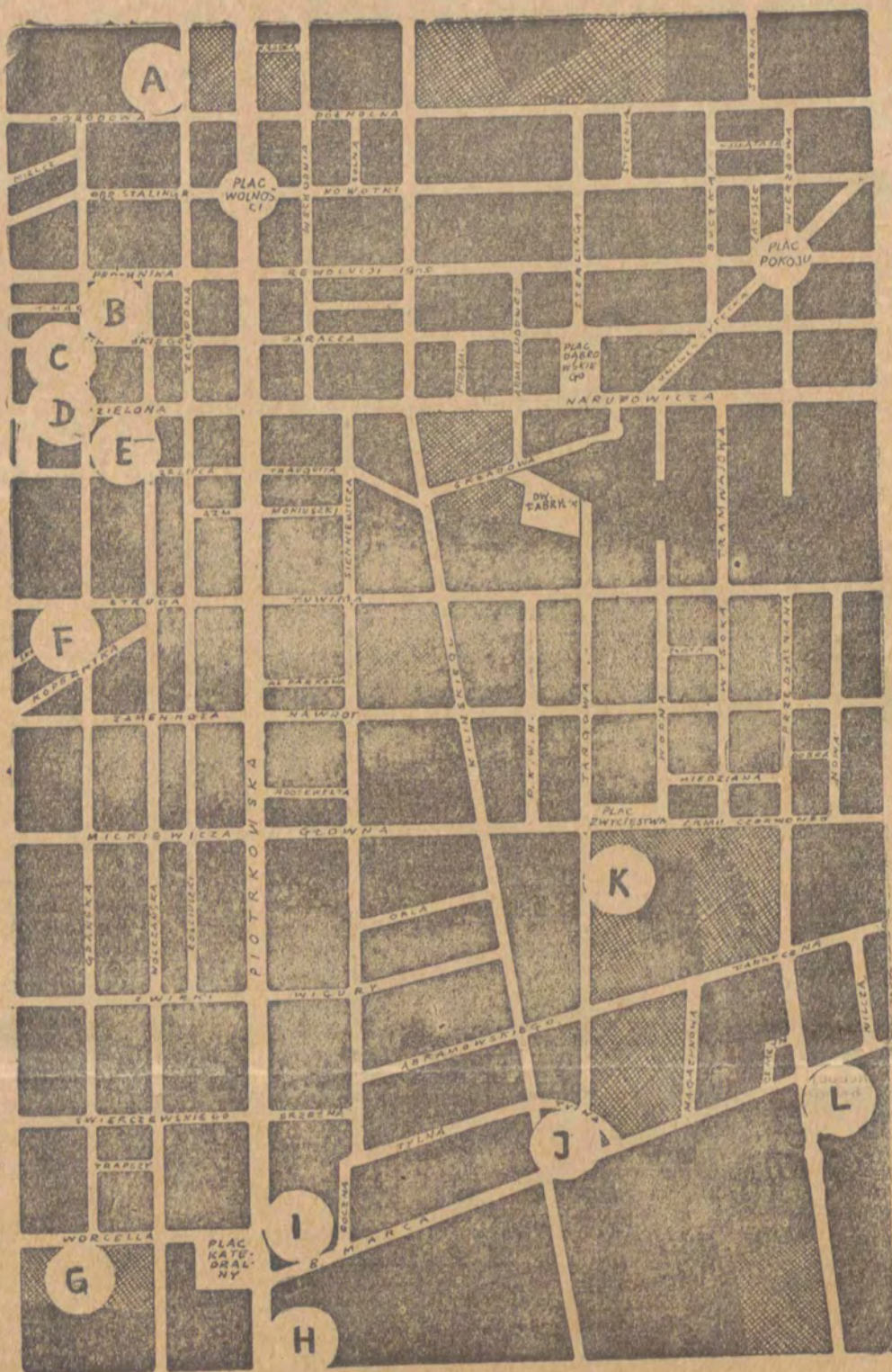
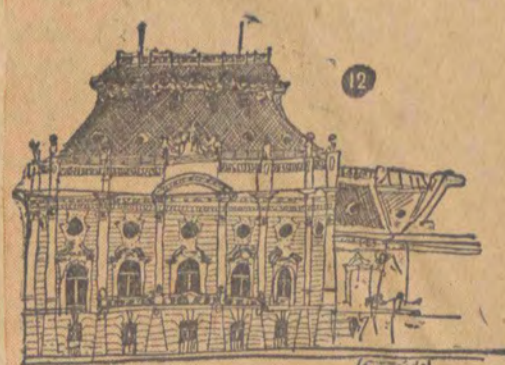
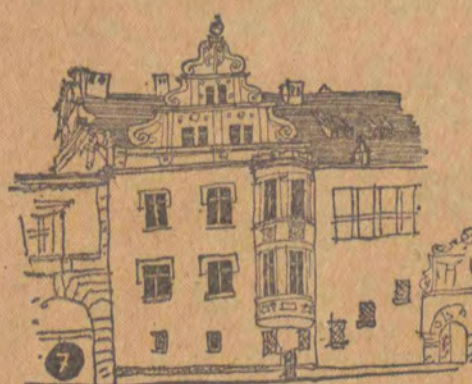
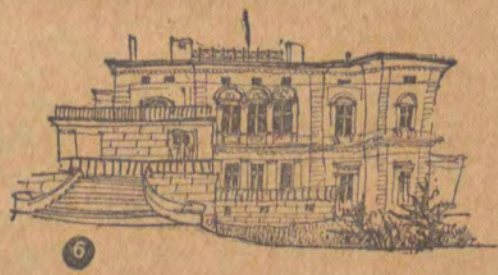
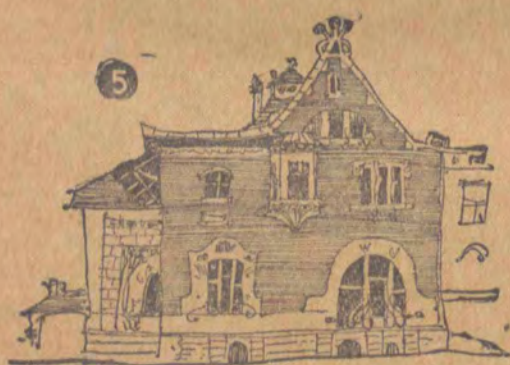
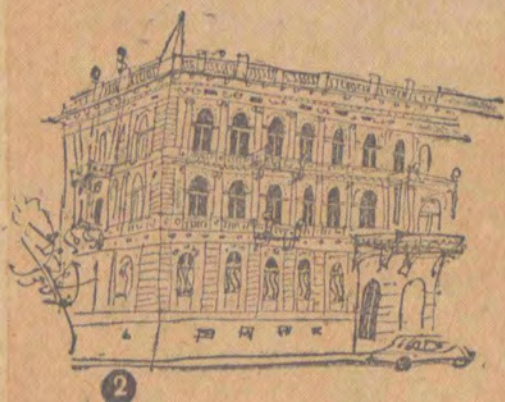
Pytanie: Jak Pan zapatruje się na problem zawodowstwa?

Odpowiedź: Dobrze byłoby podwójne zawodowstwo, a więc także, kiedy człowiek przestaje pracować w zawodzie piłkarza, byłby przygotowany do zawodu majstra, inżyniera, czy też urzędnika. To wymaga od sportowca dużego samozaparcia i ambicji, ale jest bez wątpienia możliwe.

MACIEJ WYSOCKI

KONKURS

Czy znasz łódzkie pałacyki?



Nasz konkurs składa się z dwóch elementów: schematycznego planu miasta, na którym oznaczono symbolami literowymi lokalizację niektórych łódzkich pałacyków, będących — zdaniem miłośników łódzkiego pejzażu — wartościowym i godnym zachowania elementem krajobrazu naszego miasta oraz z rysunków tych właśnie pałacyków, dzieła znanego łódzkiego artysty plastyka Wacława Kondka, opatrzonych symbolami cyfrowymi.

By znaleźć trafne rozwiązanie naszego konkursu trzeba bądź nieprzeciętnej wiedzy o zabawkach Łodzi bądź też — co doradzamy — wybrać się w okresie świątecznym przy, miejmy nadzieję, pięknej pogodzie na parę spacerów, jakie dzięki zamieszczonej mapce mogą się stać wyprawami odkrywczymi. Następnie, na kuponie, przy odnośnym symbolu cyfrowym, należy umieścić właściwy symbol literowy i całość przelać, do dnia 5 stycznia 1968 roku, na adres redakcji „Odgłosów”: Łódź, ul. Piotrkowska 96, III p., z adnotacją: „Konkurs świąteczny”.

Za trafne rozwiązania czekają następujące nagrody:

- I — PATEFON DWUGŁOŚNIKOWY
- II — RADIO TRANZYSTOROWE
- III — WYCISKARKA DO OWOCÓW

oraz trzy nagrody pocieszenia.

KUPON

Imię

Nazwisko

Adres

- | | |
|---|----|
| 1 | 7 |
| 2 | 8 |
| 3 | 9 |
| 4 | 10 |
| 5 | 11 |
| 6 | 12 |

10843 - A

